

Skazani
na podział**RÓBMY
SWOJE**

m. c. k.

Kylie.   →

Tension Tour //
②②⑤



Atlas Arena - Łódź

 18 CZERWCA 

KYLIE.COM

BILETY:
TICKETMASTER.PL
LIVENATION.PL

LIVE NATION

Jeden naród, ale plemiona dwa



Jerzy Domański
MÓJ PRZEGLĄD

Pierwsze wnioski po kampanii wyborczej? Ten najbardziej oczywisty to wejście całego społeczeństwa na kolejny, jeszcze wyższy poziom podziałów i kłótni. Siedzimy na dwóch drabinach, które już prawie się nie stykają. Choć mówimy po polsku, do opisu sytuacji dobieramy różne słowa. Gdyby zrobić ranking wyrazów najczęściej używanych przez zwolenników Trzaskowskiego lub Nawrockiego, zobaczylibyśmy, jak wiele nas dzieli. Jak bardzo roz mijamy się nie tylko w ocenach sytuacji, ale też, co ważniejsze, w wyznawanych wartościach i preferowanych postawach. Długa kampania jeszcze bardziej to uwypukliła. Masowe poparcie dla Nawrockiego i odrzucenie wszystkich kryminalnych zarzutów wobec niego jest oparte na założeniu, że to, co o nim się mówi, jest kłamstwem i manipulacją obozu rządzącego.

PiS, a zwłaszcza Jarosławowi Kaczyńskiemu, udało się w ciągu ponad 20 lat tak wychować swoich zwolenników, że wierzą wyłącznie w to, co sam im ogłosi. Nie jest to oczywiście związane z jakimiś nadprzyrodzonymi cechami prezesa. Pracowały na to setki, jeśli nie tysiące osób powiązanych jednym celem – własnym interesem. W tym obozie znalezienie prawdziwego ideowca byłoby autentycznym cudem. Cynicy ścigają się z jeszcze

większymi cynikami. Potrafili trafnie zdiagnozować problemy tych grup społecznych, które najpierw porzuciła lewica, a później Platforma Obywatelska.

PiS miało więc do zagospodarowania wielomilionowy elektorat. Nie przeszkadzano mu w tym zbytnio, więc efekty były już w 2015 r. W przeciwieństwie do tych, którzy rządili po 1989 r., PiS nie wystawiło wyborców do wiatru. Zrealizowało większość obietnic socjalnych. Polacy mają to we wdzięcznej pamięci, bo zazwyczaj politycy zapominali o składanych obietnicach nazajutrz po wyborach. Rafał Trzaskowski startował z kamieniem u szyi w postaci mizernego dorobku rządu koalicyjnego. Miałby jeszcze trudniej, gdyby Kaczyński nie bał się postawić na któregoś z liderów PiS.

Nawrocki jako kandydat na głowę państwa kompletnie nie mieści się w prezydenckich ramach. O takich jak on Polacy czytali dotąd w rubrykach kryminalnych. Choć coraz więcej wiemy o tej mrocznej postaci, sądzę, że to zaledwie wierzchołek tego, co dopiero wypłynie. Jeśli może być jeszcze gorzej, spodziewamy się, że będzie. Wiem, że nie brzmi to optymistycznie, ale lepiej mówić o faktach. A te są takie, że pół Polski głosowało na Nawrockiego w przekonaniu, że jest dobrym kandydatem na prezydenta RP. Ciągłe trudno w to uwierzyć.

BĄKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Polskie wojny plemion**
– rozmowa z prof. Lechem Szczegółą
- 13 Rzeczpospolita partyjna**
Dojna zmiana za dojną zmianą
- 16 Miał być bank rolny**
Kredyty preferencyjne dla rolników
- 20 Darwinizm edukacyjny**
Wnioski z egzaminów klas ósmych
- 22 Mamy poczucie wartości**
3. Kongres Nauka dla Społeczeństwa
- 22 Chcemy programować neurony**
– rozmowa z dr Ewelina Kurtys
- 24 Więcej niż stowarzyszenie**
Pół wieku historii „Kuźnicy”
- 26 „Sztandar Młodych”:**
historia publikacji postulatów gdańskich

OPINIE

- 28 Piotr Kimla**
Donald Trump i teoria szaleńca

SPORT

- 30 Pociąg do mistrzostwa**
Podsumowanie sezonu Ekstraklasy

ZAGRANICA

- 34 Baby boom w Pradze**
Czeski sposób na dzietność
- 37 Co dalej z Węgrami?**
Przyzwolenie na autorytaryzm

OBSERWACJE

- 40 Grand Press Photo**
Zdjęcie Roku i nie tylko
- 56 Finezja smętku tej koziej mordy**
Narodziny Koziołka Matołka
- 59 Zaraza konkwistadorów**
Kolonizację ułatwiały epidemie

NAUKA

- 42 Moim największym odkryciem są miłośnicy astronomii**
– rozmowa z Michałem Kusiakiem

KULTURA

- 46 Muzyka rodzi się z ciszy**
Korespondencja z Rzymu
- 50 Teatr, który wciąż się wtrąca**
80-lecie warszawskiego Powszechnego
- 53 Kulturalia**
- 66 Idąc na Czarodziejską Górę**
Julity Malinowskiej refleksja nad życiem

ZWIERZĘTA

- 54 Nie tylko komary**
Drobne meszki – duże utrapienie

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Jeden naród, ale plemiona dwa
- 19 Jan Widacki**
Skąd nagle Braun miał tylu wyborców?
- 33 Roman Kurkiewicz**
Jeszcze zatęsknimy?
- 45 Tomasz Jastrun**
Kipiel emocji
- 49 Wojciech Kuczok**
Wołanie o przemoc

22

KRAJ

CHCEMY PROGRAMOWAĆ NEURONY

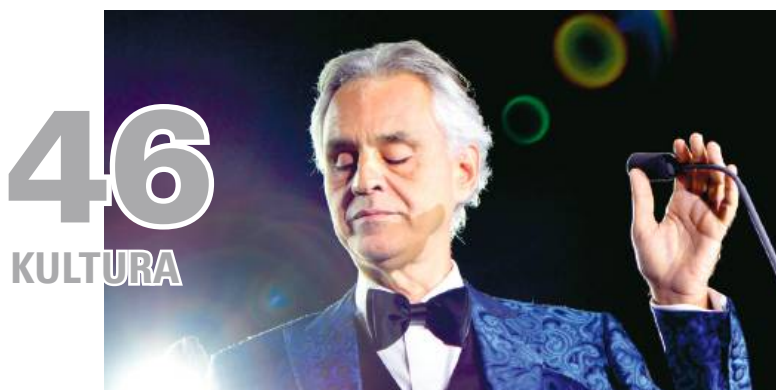
– rozmowa
z dr Ewelina Kurtys



40

OBSERWACJE

GRAND PRESS PHOTO
Zdjęcie Roku i nie tylko



MUZYKA RODZI SIĘ Z CISZY
Korespondencja z Rzymu

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

RYS. A. MLECZKO





✉ Niepodległość i patrioci

Podziękowania dla prof. Andrzeja Romanowskiego za krótką powtórkę z historii Polski. Jest w niej jednak fragment, z którym zupełnie się nie zgadzam: „Prawdziwym końcem koniunktury (dla Polski) stał się

dopiero rok 1941 – zaproszenie do koalicji antyniemieckiej Związku Sowieckiego”. Otóż uważam, że to było właśnie otwarcie okienka koniunktury. Bo gdyby nie to „zaproszenie”, wojna niemiecko-radziecka (nie sowiecka, bo to rusycyzm), nasze okienko koniunktury zatrzęsłoby się jeśli nie na zawsze, to na bardzo długo. Chyba nie trzeba tego specjalnie uzasadniać. Przytoczę jednak dalszy fragment artykułu: „Dziś państwo polskie jest częścią Europy, i to w jej granicach karolińskich, czego nigdy przez tysiąc lat nie zaznaliśmy”. I nigdy byśmy nie zaznali, gdyby nie ten „prawdziwy koniec koniunktury w 1941 r.”.

Jerzy Cichot



Jak pan profesor nawiązuje do wyborów powszechnych prezydenta RP, pisząc: „Odgrzana w roku 1990, z przyczyn czysto koniunkturalnych, tradycja ta stała się jednym z grzechów pierworodnych III Rzeczypospolitej”, to tracę resztki wiary, że nasza rachityczna demokracja może się wzmocnić. Moim zdaniem wybory pośrednie w Sejmie, gdzie nie ma autentycznych przedstawicieli wyborców, a jest totalitaryzm partyjny, gdzie partyjne mafie tworzą prawo zgodne z własnym zapotrzebowaniem i zamówieniem pewnych grup niereprezentujących społeczeństwa, byłyby dalszą marginalizacją demokracji. Totalitaryzm partyjny na to się nie zgodzi, ale wolałbym, aby prezydent RP stanowił władzę wykonawczą. Jest

wybierany w wyborach powszechnych, naród go wybiera, więc powinien być zależny mandatem wyborczym od narodu. Jako władza wykonawcza prezydent powinien powoływać skład rządu, stać na jego czele i odpowiadać przed narodem za prace tego rządu. W obecnej ordynacji wyborczej – obojętnie, czy wybrany w wyborach pośrednich, czy bezpośrednich – jest albo „długopisem” dla swoich towarzyszy, albo warchotem walczącym z premierem lub ministrami z innej partyjnej mafii o samolocik, o stołki, lub wkładającym kij w szprychy.

Józef Brzozowski

✉ „Tragiczne okoliczności” zamiast mordu

Z uwagą przeczytałem artykuł Bohdana Piętki na temat stosunków polsko-ukraińskich w perspektywie historycznej. W ostatnich latach pojawiło się wiele wypowiedzi na temat naszych relacji wojennych i powojennych. Większość autorów przytacza fakty, że to Polacy w czasie II wojny byli z ogromnym okrucieństwem mordowani przez Ukraińców, bez względu na to, czy ci ostatni reprezentowali jakąś organizację, np. UPA, czy też nie. Część mojej rodziny, a także rodzin moich kolegów z pracy, pochodzi z Galicji Wschodniej i z ich opowiadań wiem, że lud ukraiński żył tam w niewolniczych warunkach stworzonych przez polskich panów – obojętnie, czy na wsiach, czy w małych miasteczkach. Te ziemie to była nasza kolonia przez kilkadziesiąt lat. W końcu skumulowana nienawiść wybuchła. Tak, to mogła być nie „jakaś”, ale prawdziwa wojna chłopska.

Marek Dankowski



ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Strajk okupacyjny studentów Uniwersytetu Warszawskiego. Od rektora żądają tanich stołówek i nowych akademików, a postulat tworzenia jadalni studenckich w całej Polsce kierują też do resortu nauki i szkolnictwa wyższego. 30 maja 2025 r.



Limit finansowy na promocję dla kandydatów na prezydenta wynosił w tych wyborach **24,6 mln zł**. A limit dla jednego wpłacającego **69 990 zł**. Kandydat na prezydenta mógł wpłacić **209 970 zł**, ale nie odnotowano takiego przypadku.

Prawie **2 mln Polaków** w podeszłym wieku mieszka samotnie.

Według Najwyższej Izby Kontroli Karol Nawrocki jako prezes IPN **fałtał ustawę** o zamówieniach publicznych, przekazywał granty znajomym, kierował znaczne sumy do zewnętrznych kancelarii prawnych, a przez 26 miesięcy korzystał z pokoju gościnnego w jednym z budynków IPN. **Zakwestionowano wydatki na prawie 30 mln zł**.

Trybunał Konstytucyjny Świączkowskiego na wniosek posłów PiS orzekł, że przepisy rozporządzenia ministra edukacji o niewliczaniu oceny z religii do średniej ocen uczniów są niezgodne z konstytucją. Z powodu niezgodnienia tej zmiany z Kościołami i innymi związkami wyznaniowymi.

Czym się kierował **plk Krzysztof Wacławek, szef ABW** w latach 2016-2023, gdy w 2021 r. mimo negatywnych opinii funkcjonariusza ABW z Gdańska przyznał Karolowi Nawrockiemu poświadczenie bezpieczeństwa? Już wówczas zastrzeżenia ABW budziły zakup mieszkania pana Jerzego i związki Nawrockiego ze światem przestępczym. Zastrzeżeń nie miał prezydent Duda, który zrobił plk. Wacławka swoim doradcą.

W USA siedzi w więzieniach z wyrokami śmierci 2,3 tys. skazanych. W Alabamie wyrok przez uduszenie azotem wykonano po 32 latach pobytu skazanego w celi śmierci.

Departament Stanu USA wyraził zgodę, by Polska kupiła 1,4 tys. szybujących bomb lotniczych, które umożliwiają prowadzenie ataków na silnie chronione cele punktowe. Zapłacimy za to 180 mln dol.

1292 duchownych było zatrudnionych na państwowych etatach w 2023 r. W szpitalach – 833, w służbie więziennej – 182, w Wojsku Polskim – 166.

Kaja Puto objęła stanowisko redaktorki naczelnej dziennika KrytykaPolityczna.pl. Jest autorką reportaży, wywiadów oraz analiz społecznych i politycznych.

4,8 tys. tytułów prasowych ukazywało się w Polsce w 2024 r.

Około **18 mld zł** wydano w 2024 r. **na produkty dla dzieci**. Z okazji Dnia Dziecka o te portfele walczyli reklamodawcy w mass mediach i w internecie.

Szacuje się, że na koniec 2023 r. **żyło w Polsce 5046 wilków**, podczas gdy w 2014 r. ich populacja wynosiła 1276 osobników. W Unii Europejskiej jest ok. 20 tys. wilków.

Od 2005 r. 3,3 tys. lokalnych czasopism zniknęło z amerykańskiego rynku prasowego.

PiS płaci 52 tys. zł miesięcznie za ok. 500 m kw. przy ulicy Nowogrodzkiej, gdzie znajduje się siedziba władz partii.

PRZEBŁYSKI

Nawrocki w „Kilerze”

Kuba Sienkiewicz w czasie koncertu z Elektrycznymi Gitarami na warszawskim Torwarze zaśpiewał nową zwrotkę znanego przeboju „Kiler”. Wprost nawiązuje do wyczynów Karola Nawrockiego:

*Już tylko Kiler i tylko tyle,
oddaj zabawki, stań do ustawki,
do męskiej walki albo do pralki,
zamień gangsterkę na kawalerkę,
bo wyludzenie jest jak zbawienie,
nalot i pogrom zdradzieckim mordom,
jak się należy, tak, panie Jerzy,
niech pan uwierzy, aj-aj...
Już tylko Kiler...*



Skwieceński o odkupieniu Kaliningradu

Organ Dudy (Piotra), odwiecznego szefa Solidarności, czyli „Tygodnik Solidarność”, przegarnął Piotra Skwieceńskiego. Postać dość tajemniczą. Ni to dziennikarz, ni dyplomata, ni polityk, ale zawsze na wygodnych posadach. I tak już od 30 lat. Musi mieć jakiegoś ekstrapatrona. A może to tylko szczęście albo przypadek? Przypadkiem chyba jednak nie jest artykuł Skwieceńskiego „Operacja »Königsberg«” o wynurzeniach plk. Jeffery’ego M. Fritza z US Army w Estonii. Zaproponował on, by Stany Zjednoczone naciskały na Niemców, by odkupili od Rosji za 50 mld dol. obwód kaliningradzki. Ekipa Trumpa słynie z głupoty i chęci kupowania jak nie Grenlandii czy Gazy, to innych obszarów. Dlaczego jednak Skwieceński wyciągnął ten niedorzeczny pomysł plk. Fritza? Może chce pokazać, że Trump nie jest obrzydliwy. Dla dobrego interesu dogada się z Niemcami. Ponad głowami tych polityków, którzy są przydupasami Amerykanów.

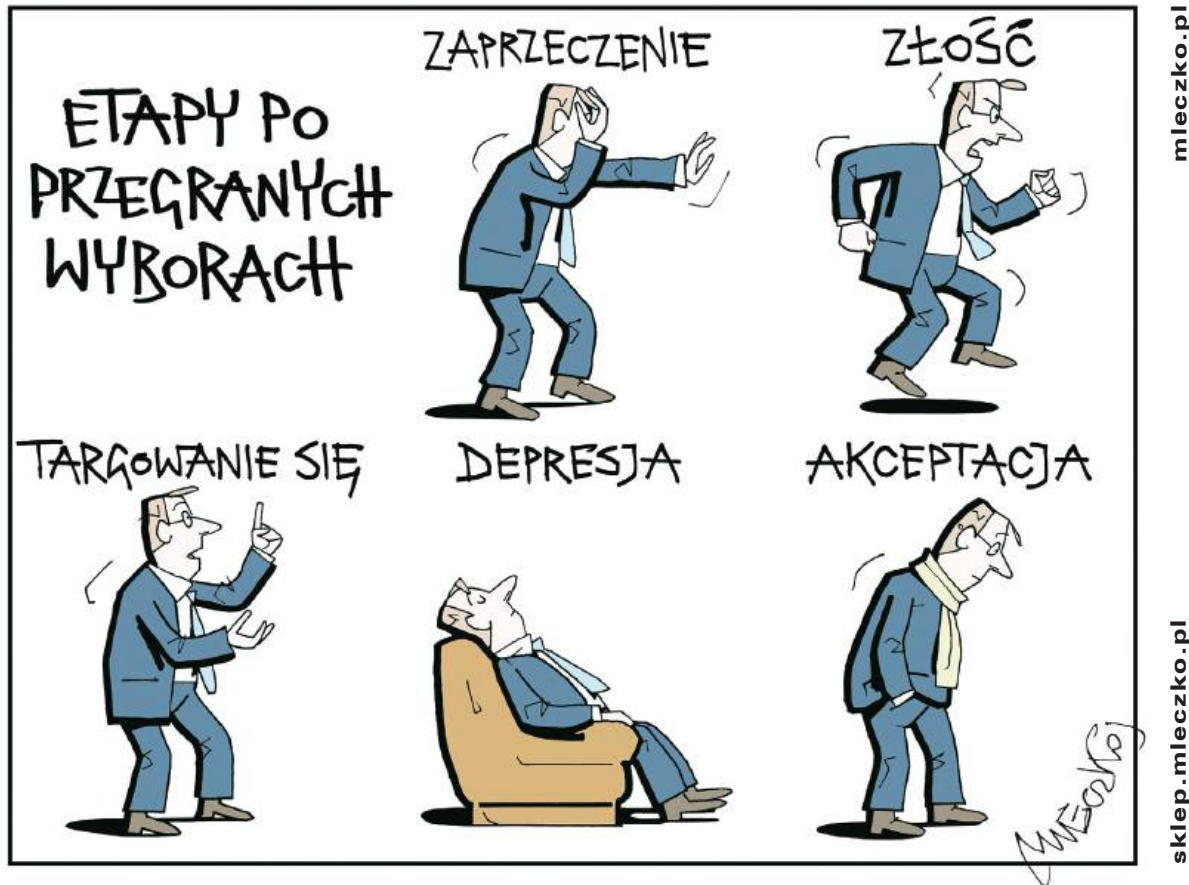
Woch w prokuraturze

Marek Woch z Kąkolewnicy, którego w wyborach prezydenckich poparło 18,3 tys. osób, to dla jednych zwykły łachudra, a dla drugih prawdziwy sztukmistrz. Dlaczego? Bo żeby startować, musiał zebrać ponad 100 tys. podpisów i jakoś tych ludzi zaczarował. Jak widać, na krótko. Nie poparli go nawet mieszkańcy rodzinnej Kąkolewnicy. Choć im akurat się nie dziwimy. Znają Wocha i wiedzą, że taki z niego bezpartyjny samorządowiec jak z Nawrockiego opiekun staruszków. Co obu łączy? Prokuratura. Bada ona, jak to było u Wocha z niewypłacaniem pracownikom pensji, straszeniem ich i stosowaniem przemocy. Woch „ludzi traktuje jak zwierzęta albo gorzej” („Rzeczpospolita”).



Maniery biskupa Mastalskiego

Janusz Mastalski, biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, był rektor krakowskiego seminarium i profesor teologii, urozmaica sobie nudne życie duchownego występami w parafiach. Można te popisy obejrzeć na filmikach w sieci. W stylu kaprała drwi sobie i robi jaja z proboszczów. Młodzież zebrana na bierzmowaniu ma dodatkową lekcję pt. „Proboszcz biskupowi nie podskoczy”. Biskup może go ośmieszać, krytykować i poniżać do woli. Bp Mastalski ma od kogo się uczyć tych chamskich manier. Abp Jędraszewski słynie przecież z podobnego traktowania ludzi. Gdzieś się zapodziały w kurii krakowskie maniery.



PYTANIE TYGODNIA

Dlaczego nie słuchamy osób kompetentnych, tylko ulegamy demagom?

DR MAGDALENA GAWIN,
filozofka, UW

Najprostsza odpowiedź na to pytanie jest taka, że została zatarta różnica między kompetencją a demagogią. Należy odróżnić wiedzę o faktach od opinii. Fakty mają charakter despotyczny – albo coś miało miejsce, albo nie. Opinie – przeciwnie – wszak na bazie tych samych faktów możemy wyciągnąć różne wnioski. Opinie oznaczają pluralizm, który jest właściwy ustrojowi demokratycznemu. Obecnie głównym problemem jest, jak sądzę, osiągnięcie jakiegokolwiek zgody na poziomie faktów. Możliwości, jakie daje internet, demokratyzują dostęp do wiedzy, co jest zjawiskiem ze wszech miar pozytywnym. Niemniej jednak procesowi temu towarzyszy destrukcja wszelkich punktów orientacyjnych. Cóż, nihil novi – zdobycie wiedzy wymaga czasu i cierpliwości, demagogia potrzebuje jedynie emocji i narracji.

DR JOANNA GUTRAL,
psycholożka, USWPS

Duży wpływ na tę sytuację ma szybkość dostarczania informacji, przez którą cierpi weryfikacja kompetencji. Mielismy przypadki, że ekspert tytułujący się lekarzem wcale nim nie był. To osłabia zaufanie społeczne. Dodatkowo część ekspertów mówi w sposób skomplikowany, nie daje czarno-białych odpowiedzi, bo nauka jest oparta na prawdopodobieństwie. A to często nie satysfakcjonuje przeciętnego odbiorcy. Proste odpowiedzi, które mają pozór związków przyczynowo-skutkowych, są łatwiej przyswajalne. Tym demagodzy wygrywają ze specjalistami. Wiele z nich ma olbrzymie kompetencje miękkie i to jest coś, czego często nie ma na szkoleniach dla ekspertów. Szarlatani są świetni w budowaniu wizerunku i strategiach marketingowych. Eksperci, często zmęczeni masą obowiązków, nie mają na to przestrzeni.

MIRON NALAZEK,
komunikolog, filozof

Zachód od lat doświadcza tzw. kryzysu autorytetów. Ludzie zaczęli w nie wątpić już przy upowszechnianiu się samodzielnego czytania. Współcześnie przyspieszył to rozwój technologii. Merytoryczność została zastąpiona internetową wersją ludowych prawd. Funkcjonujemy w paradygmacie ilości, a nie jakości. Najprawdziwsze jest to, co ma więcej polubień. To uitorowało drogę siewcom społecznego fermentu. Widzieliśmy to podczas pandemii. Winna jest też telewizja, której język przez dekady upraszczano, aż zgłupiał. Nie pomagają też medialna pycha. W czasie uroczystości rozdania jednej z dziennikarskich nagród wszyscy opowiadali o szukaniu prawdy. Prawd jest dziś wiele. Dziennikarz powinien zaś ustalać fakty, bo tym najbliższe do obiektywizmu wpisane jest etos tej profesji. Zanik autorytetów jest zjawiskiem niebezpiecznym. Jak twierdziła Hannah Arendt, tylko autorytet może sprawować władzę bez przemocy.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

POLSKIE WOJNY PLEMION

Nic się nie połączy, nic się nie zszyje, Polska jest skazana na podział

Rozmawia
Robert Walenciak

Panie profesorze, czy jesteśmy jako naród bardzo podzieleni, czy mieszcimy się w europejskiej normie?

– Jesteśmy podzieleni, ale to staje się normą. Nie tylko europejską, bo wiemy, jak wygląda sytuacja w Stanach Zjednoczonych. Podział robi się ostry.

Po czym poznajemy ten podział? Czy tylko po tym, że politycy i inni ludzie są brutalni w mediach społecznościowych lub występując w rozmaitych programach?

– Ten podział przybrał formę plemiennych tożsamości, opartych na wrogich emocjach wobec drugiej strony. Mamy do czynienia z dezintegracją – społeczną, polityczną i podziałem światopoglądowym, polaryzacją postaw, wartości i oczekiwań. Na temat tej plemienności napisano już bardzo dużo, ale sądzę, że powinniśmy się do wyjaśnienia natury tego fenomenu. Proszę zauważyć, kolejne wybory bardzo wyraźnie pokazują, że podział w Polsce przebiega na linii duże aglomeracje miejskie-małe miejscowości.

Centra versus peryferie?

– Szokująca jest trwałość tego podziału. Ilustruje ją fakt, że gdyby dziś głosowali tylko wyborcy wsi, mielibyśmy już w pierwszej turze prezydenta Nawrockiego. A gdyby głosowali wyłącznie mieszkańcy dużych miast, prezydentem byłby jego rywal. To bardzo charakterystyczna dana! Wiemy, że od wielu lat Prawo i Sprawiedliwość nie może wygrać wyborów w żadnym mieście



PROF. LECH SZCZEGÓŁA

– socjolog i politolog, profesor w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Badacz form świadomości politycznej i postaw obywatelskich. Autor książki „Droga do wojny kulturowej. Ideologia Dobrej Zmiany”, aktualnie pracuje nad jej drugą częścią.

powyżej 100 tys. mieszkańców. A mieszkańcy wsi i Polski powiatowej dają tej partii większość, czasem prawie konstytucyjną.

To nie jest podział absolutny, PiS ma swoje enklawy w dużych miastach, ale np. w gminach wiejskich wyborca PO stanowi już rzadkość.

Na to nakładają się oczywiście geograficzne różnice kulturowe między wschodnią i zachodnią Polską.

Ale nawet w Rzeszowie czy w Lublinie obywatele głosują odwrotnie niż mieszkańcy mniejszych miejscowości tych województw.

Polska nie jest zamkniętym krajem. Prawie każdy ma rodzinę i w dużym mieście, i w małej miejscowości.

Większość Polaków ma korzenie wiejskie. Co więc się dzieje? Synowie wyparli się rodziców?

– Logika polskiej transformacji oraz procesy globalizacji zmieniły ekonomiczne i kulturowe warunki życia w małych miejscowościach. I nie były to zmiany korzystne. Mieszkańcy prowincji mają często poczucie, że przegrywają cywilizacyjnie, a beneficjentami korzyści z wejścia do Unii Europejskiej i dokonujących się zmian są duże miasta. Wśród mieszkańców Polski lokalnej narasta resentyment wobec progresywnych trendów, mentalności i sposobów mówienia o Polsce prezentowanych przez rzeczników opcji liberalnej, proeuropejskiej.

Wciąż mnie to dziwi.

Przecież ci ludzie spotykają się na wspólnych uroczystościach rodzinnych,

weselach, pogrzebach itd. Nie są sobie obcy. Dlaczego zatem podział jest tak twardy?

– Mnie również to dziwi, ale te dane są mocne i trwałe, z wyborów na wybory. Jeżdżę na prowincję i mam okazję rozmawiać z członkami mojej rodziny. Dostrzegam narastające poczucie, że wszystko, co dobre, zgarnęły do siebie miasta: tam rozwija się infrastruktura, jest lepszy rynek

pracy, oferta kulturalna. A prowincja nie dość, że się wyludnia, to jeszcze staje się ofiarą wykluczenia komunikacyjnego i zamykania szkół. To są obiektywne procesy. Wystarczy pojechać trochę dalej za opłatki dużego miasta, aby spotkać społeczności, których postawy organizuje resentment. O jego politycznych przejawach i funkcjach świetną książkę napisał niedawno politolog z Uniwersytetu Warszawskiego Filip Pierzchalski.

Jesteśmy podzieleni, ale to staje się normą.

To jest negatywna emocja podsztyta pewną zazdrością, zawiścią i frustracją. Nawet nie ekonomiczną, bo często klasa średnia na prowincji materialnie prosperuje całkiem dobrze. Ale oni czują, że ich świat, małych środowisk lokalnych, krok po kroku się kończy. Przez migrację najbardziej dynamicznych ludzi, kobiet do większych miejscowości i rosnące koszty dostępu do usług, który tak łatwy jest w mieście.

Politycy podkręcają te nastroje? Badania w Stanach Zjednoczonych wykazały, że po każdej kampanii wyborczej podziały na demokratów i republikanów były coraz mocniejsze, ludzie stawiali się coraz bardziej zawzięci, nastawieni przeciw tym drugim.

– Ten podział ma charakter uniwersalny. Jeżeli spojrzymy na Węgry, Turcję – gdzie partia dominująca nie ma szans wygrać wyborów na burmistrza ani w Ankarze, ani w Stambule – na Francję, Niemcy, Stany Zjednoczone, widzimy analogie. Na amerykańskiej prowincji nosi się czerwoną czapkę z dumą. W Nowym Jorku człowiek w takiej czapce byłby obiektem kpin.

Istnieje globalna tendencja tych podziałów plemiennych. Spora część literatury na temat populizmu podkreśla fenomen podziału kulturowego, utraty zaufania do demokracji i elit przez mieszkańców peryferyjnych środowisk społecznych, żyjących w poczuciu relatywnej, a często realnej deprivacji potrzeb.

Polska nie jest tutaj wyjątkiem. Ale wskażę pewien moment. 10 lat temu w wyborach prezydenckich w dużych miastach typu Kraków, Wrocław, Poznań, Gdańsk jedynymi komisjami wyborczymi, w których Duda – a nawet Kukiz – wygrywał z Komorowskim, były te zlokalizowane w miasteczkach akademickich. Studenci pochodzący z mniejszych miejscowości, bo tacy mieszkają w akademikach, głosowali przeciwko prezydentowi reprezentującemu

tę prozachodnią, liberalną, zadowoloną Polskę.

Osiem lat pracy Jacka Kurskiego i całej elity PiS podsycało i utwardzało podział, wedle którego na prowincji mieszkają prawdziwi Polacy, a w dużych miastach kosmopolity, w zasadzie nawet wyborcy agentów zagranicy, „lemingi”, które nie wiedzą, czym jest polskość, tradycja, wiara.

To powoduje też, że zamykamy się w swoich bańkach informacyjnych. Czyli coś, co powiedział ktoś

Osiem lat pracy Jacka Kurskiego i elity PiS utwardziło podział, wedle którego na prowincji mieszkają prawdziwi Polacy, a w dużych miastach „lemingi”.

z dużego miasta, dla mieszkańca małej miejscowości z założenia jest nieprawdą.

– Media stały się niestety tożsamościowe. Widzowie Republiki oraz TVN mają zupełnie odmienne widzenie tego, co w Polsce się dzieje albo może się stać.

Pewnie też odmienne oczekiwania.

– Upieram się, że narracja PiS ma cechy ideologii, która wytworzyła przekaz, że prawdziwa Polska, patriotyczna, wierna korzeniom i tradycji, to ta „mniejsza”. A Trzaskowski i Tusk są reprezentantami grupy, która „wypisała się” z polskości.

Ale przecież ludzie z małych miejscowości posyłają dzieci do dużych miast, żeby tam studiowały, robiły karierę. Czyli – mogą złośliwie

skomentować – w tym momencie są niepatriotyczni.

– Logika pragmatyczna tak nakazuje. Ale ci studenci z małych miejscowości mają trudniej niż ich kole-dzy z roku, wracający po zajęciach do rodzinnego domu, do mieszkania, które kiedyś mogą odziedziczyć, np. w centrum dużego miasta. Ci z prowincji nie mają kontaktów ułatwiających zawodowy start, chociażby w zawodzie prawnika czy lekarza.

Czy ten podział da się zasypać? Ludzie przestaną na siebie wrogo patrzeć?

– Jestem pesymistą. Polaryzacja, kulturowa wojna plemion ma obiektywne źródła, także demograficzne. Nie da się wyrównać sytuacji życiowej i perspektyw osób mieszkających w mniejszych miejscowościach oraz tych, które korzystają z atutów dużego miasta, rynku pracy i szans, jakie ono oferuje. Ucieczka w pewnym sensie najlepszego potencjału z małych społeczności rodzi poczucie, że świat idzie w złą stronę. To buduje tęsknotę za powrotem do przeszłości, o której tak umiejętnie opowiedział Amerykanom Trump.

Może jednak da się coś zrobić, przekonać tych ludzi, że są takimi samymi ważnymi Polakami jak ci z dużego miasta?

– Zasypanie tej różnicy wymagałoby pojawienia się w polskiej polityce talentu na miarę Aleksandra Kwaśniewskiego.

Nie ma takiego.

– Obserwując peregrynacje Trzaskowskiego do Polski powiatowej, od czego zaczął swoją kampanię, widziałem dysonans. Przyjeżdża uśmiechnięty polityk z Warszawy i opowiada ludziom, że jest dobrze i będzie fajniej. Miałem poczucie, że ci ludzie żywią odwrotne przekonanie – że nie jest fajnie, a może być gorzej. Nawrocki umiał tego typu lęki czy obawy podsycać. Jego narracja



Debata TV Republika w Końskich przed drugą turą wyborów prezydenckich, 28 maja 2025 r.

Jest w Polsce coraz większy podział. Co z tym zrobić?

DR ANNA MATERSKA-SOSNOWSKA,
politolożka, UW

Jak widać, politykom ten podział bardzo odpowiada. A kiedy już się okazuje, że starają się wyjść poza wąskie ramy swoich bloków, to z kolei wyborcy nie do końca to przyjmują. Bardzo dobrym przykładem próby wyjścia poza własną bańkę jest piwo, które Mentzen wypił z Sikorskim i Trzaskowskim. Kandydat Konfederacji z jednej strony dostał dużo aplauzu, a z drugiej równie dużo hejtu. Nie zamykałabym jednak tego zjawiska w szufladce pod hasłem plemiennosc. Nie jest to też taki prosty duopol, jak określają to niektórzy dziennikarze i komentatorzy. Dużo zależy od zewnętrznych wpływów. Konferencja CPAC jest przykładem pewnych prób przyporządkowania się do większych ideologii, które przetaczają się obecnie przez świat.

Zupełnie naturalny w Polsce jest podział na my i oni. My, znaczy społeczeństwo, oni, czyli władza. My – ta strona, oni – tamta strona. I jest to zjawisko dosyć oczywiste. Na tym polegają partie polityczne, które dokładnie w ten sposób organizują nam rzeczywistość. Bez względu na to, czy mamy system dwupartyjny, czy wielopartyjny, ten podział będzie istniał. Problem polega na tym, że gdy politycy wywołują tak głęboki podział, który wyłącza myślenie, a pozostawia jedynie emocje, i to wzmocnione epitetami, wówczas nie ma żadnej racjonalnej rozmowy. To już nawet nie jest spór ideologiczny, tylko walka o to, kto będzie miał rząd dusz.

Na pytanie, czy możliwe jest wyjście z tej sytuacji, odpowiedź brzmi: tak. Widać to po tym, jak zagłosowali ludzie młodzi oraz osoby, które głosowały na partie skrajne. Przy czym chodzi nie o skrajność poglądów, lecz o usytuowanie w spektrum naszej sceny politycznej. To poparcie dla szeroko rozumianych trzecich partii skrajnych pokazuje, że społeczeństwo chce wyjść poza obecny duopol. Jest jeszcze inny element, który dało się zaobserwować podczas tej kampanii. Głównym zarzutem wobec Trzaskowskiego był fakt, że jest od Tuska. Nawrockiemu zarzucano, że jest kandydatem Kaczyńskiego. Można przez to rozumieć, że kiedy odejdą ze sceny dwaj główni oponenci, ten podział również będzie wyglądał inaczej.

DR HAB. WOJCIECH PESZYŃSKI,
politolog, UMK

Po pierwsze, nie tworzymy kolejnych pól konfliktu typu powszechne bezpośrednie wybory prezydenta w Polsce. Jak ładnie określił to prof. Dudek, zostały one zamienione w prezydenckie igrzyska. Tym sposobem sprowadzają się one do kolejnej kłótni o to, czy wolimy majonez Winiary, czy Kielecki. Po drugie, podoba mi się koncepcja przeniesienia części sporów politycznych z poziomu centralnego na samorządowy. To odciąży w dużej mierze politykę krajową. Warto jednak zauważyć, że nasz naród od zawsze był konfliktowy i spolaryzowany. Wystarczy pomyśleć, co się działo w Polsce przed II wojną światową. Podziały były wtedy jeszcze większe. Przypomnę

odwoływała się do nastroju, że my coś przegrywamy, coś tracimy, coś nam zagraża. Zwłaszcza jeśli zwycięży rywal.

A młodzież? Czy młode pokolenia wchodzi w te koleiny podziału?

– Wiemy z analiz głosowania w pierwszej turze, że młodzież szuka alternatywy. Wygrywają wśród młodych inni kandydaci, czyli Mentzen i Zandberg. Ale, co podkreślają w badaniach socjolożki z mojego instytutu, ludzie młodzi w swoich orientacjach są silnie zróżnicowani. Poza tym wyborców w przedziale 18-29 lat jest o połowę mniej niż za naszych czasów studenckich.

Oni rzeczywiście nie chcą już duopolu, który świetnie się trzyma w starszej generacji, ale widzimy, że każda propozycja trzeciej drogi na razie wyraźnie przegrywa. Perspektywa, że ci młodzi wyborcy stworzą w krótkim czasie jakąś masę krytyczną, jest odległa. Tym bardziej że u części młodzieży męskiej coraz bardziej widoczny staje się rys

konserwatywny i zwrot ku twardym wartościom. Piątka Mentzena, cokolwiek by o niej mówić, to był mocny chwyt.

Chwyt na młodych mężczyzn.

– Wśród młodych mężczyzn kończy się tolerancja na płynność nowoczesności. Oni oczekują twardych i prostych reguł w tym chaotycznym świecie, gdzie perspektywy sukcesu życiowego stają się niejasne.

Kaczyński, nauczony dekadą porażek, przejął frazeologię ludowo-narodową i reanimował endeckie kody kulturowe.

Chcieliby powrotu do sytuacji, w której mężczyzna ma przewagę na rynku matrymonialnym i na rynku pracy. Ta opcja, którą politolog Yascha Mounk nazywa prawicowym reakcjonizmem, przyciąga część młodszych wyborców, nie tylko u nas.

A kobiety?

– Kobiety wydają się bardziej elastyczne, otwarte i lepiej

przystosowane do zmian. Częściowo prezentują spojrzenie bliższe liberalno-lewicowemu centrum. Ale wiadomo, że części bliski jest tradycyjny model rodziny i podziału ról społecznych. Nadal zatem opcja progresywna, może poza dużymi miastami, gdzie mają wsparcie środowiska, jest chwiejna. Ale podkreślam: nie mówmy o młodej generacji jako o czymś jednolitym.

Rozumiem, że Polska jest podzielona i podział nie zostanie zasypany. Ważne jest więc, czy nauczymy się współistnieć. I ten z dużego miasta będzie wiedział, że musi okazać temu z mniejszej miejscowości szacunek, uwzględnić jego obawy. A ten z małej miejscowości powie: OK, ty jesteś z dużego miasta, masz swoje fanaberie, nie pochwalam

tylko, że zabito wówczas prezydenta i dokonano zamachu stanu. Gdyby nie wojna, sytuacja by eskalowała. A po wojnie nadal się kłóciliśmy. Zarówno w okresie PRL, jak i na początku III Rzeczypospolitej.

Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że gdyby w którymkolwiek wspomnianym okresie był dostęp do mediów społecznościowych, to byłoby gorzej niż współcześnie. W całym tym obrazku pocieszające jest to, że chociaż okładamy się werbalnie pałkami, rzadko kiedy dochodzi do jakichś starć z przemocą fizyczną w tle. Dziś mamy spektakl polityczny, jednak te rany w naszym społeczeństwie będą się zblizniać przynajmniej do kolejnych wyborów parlamentarnych, a wtedy znów się pokłócimy. Jednocześnie będziemy musieli poukładać się ze sobą w codziennym życiu. Warto po prostu robić swoje i nie narzucać innym swojej woli. Trzeba szukać tego, co nas łączy, a nie dzieli. Jest tyle sfer aktywności międzyludzkiej, że jeśli nie zgadzamy się w polityce, to możemy dyskutować na wiele różnych tematów, jak chociażby sport, jedzenie, podróże. Nie patrzmy na człowieka o innych poglądach jak na wroga. Piwo Mentzena z Trzaskowskim pokazało, że można z kimś się nie zgadzać, ale można też pięknie się różnić.

DR AGNIESZKA KWIATKOWSKA, *socjolożka, politolożka, USWPS*

W Polsce obserwujemy podział polityczny, który od przynajmniej 10 lat funkcjonuje na bardzo wysokim poziomie, z kulminacjami w momentach wyborów lub spięć na linii rząd-opozycja lub rząd-społeczeństwo (najsilniej w 2020 r.). W zasadzie nie możemy liczyć na to, że w najbliższym czasie ten podział

zniknie: w dalszym ciągu algorytmy rządzące mediami społecznościowymi będą nam wyświetlać newsy z naszej bańki informacyjnej, media tradycyjne będą nam serwowały skandale z udziałem przeciwników politycznych, a politycy będą wzbudzać negatywną mobilizację społeczną dla własnych interesów. W zasadzie wszystkie wydarzenia z ostatnich lat, które powodowały osłabienie sporów i poczucie solidarności przekraczającej afiliacje polityczne, miały bardzo negatywne konsekwencje (pandemia, wojna w Ukrainie).

Możemy mieć jednak nadzieję na stopniowe naturalne znikanie tego podziału w dalszej przyszłości, ze względu na zmianę pokoleniową. Obecny główny konflikt polityczny zachodzi na osi PO-PiS i angażuje przede wszystkim pokolenie wyborców w średnim wieku i starszych. Grupy te charakteryzują się wysoką pozytywną i negatywną identyfikacją partyjną, a więc mają zarówno partię, z którą czują się związani emocjonalnie, jak i partię, do której czują głęboką niechęć. Zwłaszcza dla najstarszych wyborców ta duża niechęć do przeciwników politycznych jest czynnikiem silnie motywującym.

Młodszy wyborcy znacznie mniej angażują się emocjonalnie w dominujący podział polityczny PO-PiS. Porównując międzypokoleniowo, w pierwszej turze wyborów prezydenckich na kandydatów tych partii głosowało 87% wyborców w grupie wiekowej 60+ i tylko 23% najmłodszych wyborców (18-29 lat). Nie oznacza to jednak, że najmłodsze pokolenie jest wolne od podziałów politycznych, po prostu mają one inny charakter. Bardzo widoczny jest podział między lewicowymi kobietami (najwięcej ich głosów otrzymał Zandberg) i prawicowymi mężczyznami (co drugi głosował na Mentzena).

► **tego, ale toleruję. Możliwe jest obniżenie temperatury sporu?**

– Politykom opłaca się polaryzacja i podgrzewanie nastrojów. Ono łatwiej się upowszechnia w mediach społecznościowych, które są ukrytym bohaterem naszej dyskusji. Obserwując rolę kanałów komunikacji

nasz dawny prezydent nie rodzą się na kamieniu.

Czyli wszystko będzie źle, z wyborów na wybory będzie coraz większa niechęć i coraz większy podział?

– Dopóki marketing polityczny odkrywa zalety grania emocjami

reakcyjną formację alternatywnej prawicy. I nie będą skłonni do kompromisu z następcami Donalda Tuska.

Kaczyński, Macierewicz urodzili się w Warszawie, Morawiecki we Wrocławiu. To wszystko są miastowi. Dlaczego prowincja ma im ufać?

– Można by tu użyć określenia populizm cyniczny. Kaczyński, nauczony dekadą porażek, dostrzegł, że szansę na pokonanie wielkomiejskich elit daje mu tylko czerpanie z elektoratu Andrzeja Leppera i Ligi Polskich Rodzin. Przejął frazeologię ludowo-narodową i reanimował endeckie kody kulturowe. Ideologia, którą się posługuje jego obóz, jest wyłącznie instrumentem. Oni sami w nią nie wierzą. Ale dopóki to narzędzie działa, gwarantuje udział w duopolu, dopóty będzie używane.

Nie widzimy wyjścia z klinczu.

– Żadna pociecha, ale to jest uniwersalna sytuacja w Europie, w Turcji, w Stanach. Niemal wszędzie. Nie jesteśmy sami w tym piekle.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Ideologia, którą posługuje się obóz PiS, jest wyłącznie instrumentem. Oni sami w nią nie wierzą.

politycznej, widzimy, że pana pytanie jest dzisiaj retoryczne.

Mówił pan, że gdyby pojawił się taki polityk jak Aleksander Kwaśniewski, byłaby szansa na złagodzenie różnic. Innymi słowy, podziały są coraz głębsze, ale gdyby się znalazł polityk, który potrafiłby wyjść poza nie, odniósłby sukces, a my z nim.

– Na razie nie mamy precedensu. Próbę pójścia środkiem drogi podjął Macron we Francji i widzimy, jakie są rezultaty. Ten manewr chciał powtórzyć Hołownia. Tacy politycy jak

i kampanii negatywnych, szansa na zwycięstwo opcji integrującej jest niewielka.

A jest szansa, że te dwie wrogie opcje dojdą do wniosku, że pewnych granic nie powinniśmy przekraczać? Czy to możliwe?

– Możemy sobie wyobrazić sytuację, w której za kilka lat, po odejściu z polityki Kaczyńskiego i Tuska, otworzy się okno nowych możliwości. Ale, obserwując polityków młodej generacji po prawej stronie, mogę przyjąć, że Szefernaker, Ziobryści, konfederaci stworzą



DKMS
POKONAJMY NOWOTWORY KRWI

**Dzień Dawcy szpiku
w Twoim miejscu pracy**

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem
czyjejś szczęśliwej historii –
zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!

dkms.pl

Zeskanuj QR kod
i dowiedz się więcej

Rzeczpospolita partyjna

Przez 35 lat demokratycznej Polski nie udało się zwalczyć nepotyzmu i partyjniactwa w spółkach skarbu państwa i instytucjach publicznych



Janusz Kotowski, były prezydent Ostrołęki, z wykształcenia katecheta, został członkiem zarządu Elektrowni Ostrołęka. Nz. spotkanie z premierem Mateuszem Morawieckim w 2018 r.

Andrzej Sikorski

Jednym z 21 słynnych postulatów sierpniowych ogłoszonych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy w 1980 r. było wprowadzenie „zasady doboru kadry kierowniczej na zasadach kwalifikacji, a nie przynależności partyjnej”. PRL nie była państwem demokratycznym, więc władza musiała mieć wpływ na obsadę wszelkich stanowisk. III RP szczyli się szeroko rozwiniętą demokracją, ale mechanizm doboru kadry kierowniczej się nie zmienił. Aby zajmować dobrze płatne posady, nie trzeba mieć wcale gruntownego wykształcenia ani doświadczenia zawodowego

– wystarczą przynależność partyjna, koligacje rodzinne i znajomości.

Nieskuteczna ustawa antykorupcyjna

Premier Tadeusz Mazowiecki zakazał swoim urzędnikom zasiadania we władzach spółek i posiadania w nich udziałów. Zakaz ten uchylił Jan Krzysztof Bielecki. Dopiero w czerwcu 1992 r. solidarnościowy parlament uchwalił tzw. ustawę antykorupcyjną. Zgodnie z prawem urzędnicy państwowi wysokiego szczebla i parlamentarzyści nie mogli w czasie sprawowania funkcji być członkami zarządów, rad nadzorczych lub komisji rewizyjnych spółek prawa handlowego (zakaz ten

nie dotyczył osób reprezentujących skarb państwa w spółkach, w których państwo miało udziały). Wymienione osoby nie mogły też być zatrudnione w spółkach ani wykonywać w nich innych zajęć, być członkami zarządów fundacji prowadzących działalność gospodarczą ani posiadać udziałów, jeśli byłoby to sprzeczne z ich obowiązkami lub budziło podejrzenie o interesowność.

Za naruszenie zakazów groziło wyrzucenie z pracy bez terminu wypowiedzenia, choć nie było to obligatoryjne. Czyli dolegliwość była niewielka. Nowe prawo nie mówiło natomiast nic o działaczach partyjnych, którzy tłumnie zasilili kadry zarządcze państwowych firm i instytucji. Ustawa antykorupcyjna miała ►

► wiele luk. Nie wiadomo było, kto miał czuwać nad jej przestrzeganiem.

W 1994 r. ówczesny minister sprawiedliwości i prokurator generalny Włodzimierz Cimoszewicz ogłosił akcję „Czyste ręce”. Szef resortu sprawiedliwości zwrócił się do szefów urzędów państwowych – m.in. ministrów, prezesów Najwyższej Izby Kontroli i Narodowego Banku Polskiego, szefa Kancelarii Prezydenta RP – o skontrolowanie, czy ich podwładni łamią ustawę antykorupcyjną, czerpiąc zyski z pracy w spółkach. Inicjując „Czyste ręce”, Cimoszewicz chciał poznać skalę patologicznego zjawiska występującego na styku polityki i biznesu, a także rozpocząć dyskusję na temat kryteriów delegowania kadry menedżerskiej do spółek skarbu państwa. Akcja zakończyła się

bowiem w swoich szeregach polityków, którzy byli na bakier z uczciwością i ustawą antykorupcyjną.

Bezhołowie pod kuratelą PiS

Niemal każda partia, idąc do wyborów, zapowiadała transparentność w doborze kadr w spółkach i instytucjach państwowych, ale na deklaracjach się kończyło. Jednak to, co działo się przez ostatnie osiem lat rządów PiS, było niespotykane. Kilka tysięcy działaczy partyjnych, znanych i członków rodzin polityków obozu rządowego objęło dobrze płatne stanowiska, nie mając ku temu żadnych kwalifikacji. Na przykład członkiem zarządu Elektrowni Ostrołęka został Janusz Kotowski, były prezydent Ostrołęki, z wykształcenia

Raczyńska-Weinsberg w ciągu niecałych dwóch lat pracy w Pekao SA miała zarobić ok. 3,3 mln zł. Jarosław Olechowski, jeden z funkcjonariuszy propagandy PiS w TVP (teraz pracuje w Telewizji Republika), jako doradca w Pekao SA w ciągu 11 miesięcy zarobił ok. 1,4 mln zł. Agnieszka Piesiewicz, żona prezesa PKOl, w zaledwie kilka miesięcy zarobiła ponad 1 mln zł. Dodajmy, że pani Piesiewicz, zanim trafiła do banku, zajmowała się handlem artykułami biurowymi.

W 2018 r. prezesem Agencji Rozwoju Przemysłu (ARP) został Cezariusz Lesisz, działacz opozycji antykomunistycznej, współzałożyciel Solidarności Walczącej, były kierowca i osobisty sekretarz Kornela Morawieckiego. Pod koniec lat 80. Lesisz wyjechał do USA, gdzie prowadził firmę budowlaną, która zbankrutowała. Biznesmen pozostawił niespłaconych wierzycieli i długi na kilkadziesiąt tysięcy dolarów, ale według polityki kadrowej PiS była to odpowiednia rekomendacja do objęcia stanowiska prezesa potężnej instytucji państwowej. Lesisz traktował ARP jak prywatny folwark. Nowe władze ARP po przeprowadzonym audycie oszacowały skalę nadużyć na ponad 400 mln zł. Do prokuratury złożono kilkanaście zawiadomień o popełnieniu przestępstwa, a dotyczą one niegospodarności, fałszerstwa intelektualnego i przestępstw przeciwko wiarygodności dokumentów. W ARP miały też być zatrudniane fikcyjnie osoby z pensjami wynoszącymi nawet 30 tys. zł miesięcznie, specjalnie dla tych osób utworzono również fikcyjne działy.

„To były kuriozalne i bardzo dziwne działy w agencji. Między innymi takie, które miały teoretycznie za zadanie poprawę efektywności w agencji. A w praktyce byli tam zatrudniani ludzie z bardzo wysokimi pensjami, niepotrafiący uzasadnić zakresu swoich obowiązków i przedstawić efektów pracy. Dodatkowo zastaliśmy w spółce osoby, które miały tak skonstruowaną umowę, żeby po jej rozwiązaniu miały jeszcze płacone za sześć miesięcy wypowiedzenia. Tyle że w żaden sposób nie wynikało to z ich stażu zatrudnienia. W mojej ocenie wyglądało to na

Aby zajmować dobrze płatne posady, nie trzeba wykształcenia ani doświadczenia. Wystarczą przynależność partyjna, koligacje rodzinne i znajomości.

spektakularną klapą, ale inaczej być nie mogło, skoro deklaracje o uczciwości składali sami zainteresowani, czyli urzędnicy, a nikt nie sprawdzał, czy mówili prawdę. Na kilkadziesiąt tysięcy osób wykryto ledwie kilkadziesiąt przypadków złamania ustawy antykorupcyjnej, a i tak nikt nie poniósł konsekwencji.

Co prawda, politycy wszystkich partii potępiali wykorzystywanie stanowisk publicznych do dodatkowego zarobku, lecz zawsze dodawali jakieś „ale”. Jedynie Konfederacja Polski Niepodległej (KPN) była nieugięta, domagając się surowych kar dla polityków i urzędników łamiących ustawę antykorupcyjną – pozbawienia stanowisk państwowych oraz nakazu zwrotu nielegalnie zarobionych pieniędzy, i to z odsetkami. „O łączeniu funkcji państwowych z działalnością gospodarczą KPN mówiła od dawna. Zawsze jednak robiono z nas wariatów, nie było żadnych reakcji”, grzmiał z trybuny sejmowej poseł Dariusz Wójcik, dodając, że działo się tak z powodu „zmowy milczenia”. Według Wójcika zawiązały ją wszystkie partie, każda miała

katecheta. Prezesem Zakładów Chemicznych Nitro-Chem w Bydgoszczy, produkujących m.in. trotyl, mianowano Krzysztofa Kozłowskiego, który zajmował się sprzedażą ryb egzotycznych i zakładaniem akwariów. Na czele innej spółki zbrojeniowej, produkującego m.in. hełmy i kamizelki kuloodporne Maskpolu, ulokowano Ładysława P., syna Bolesława Piaseckiego, przedwojennego polskiego faszysty, założyciela Obozu Narodowo-Radykalnego, i Marka PP, byłego prezesa Centrum Duszpasterstwa Archidiecezji Warszawskiej. Nie możemy podać personaliów menedżerów, bo zasiadają na ławie oskarżonych. Prokuratura zarzuca im liczne nadużycia, których mieli się dopuścić w Maskpolu.

Władza PiS była tak zdemoralizowana, że działacze partyjnych oraz krewnych i znajomych królika na masową skalę zatrudniano na fikcyjnych posadach, tzn. brali pieniądze, ale nie wykonywali żadnej pracy. Zarząd Pekao SA miał 18 doradców. Jednym z nich była Małgorzata Raczyńska-Weinsberg, propisowska dziennikarka i przyjaciółka Jadwigi Kaczyńskiej.

zabieg, by na wypadek zmiany rządu i wymiany kierownictwa w ARP te osoby pobierały jeszcze przez pół roku pieniądze”, powiedział prezes ARP Michał Dąbrowski w rozmowie z Wirtualną Polską.

W Totalizatorze Sportowym fikcyjnie jako doradca zarządu miała być zatrudniona Danuta Dmowska-Andrzejuk, ministra sportu w dwutygodniowym rządzie Mateusza Morawieckiego. Od kwietnia 2021 r. do listopada 2023 r. „doradczyni” Dmowska-Andrzejuk zarobiła prawie 440 tys. zł. Zdaniem nowych władz Totalizatora Sportowego „z uwagi na wyniki analizy aktywności pracowniczej zachodzi uzasadnione podejrzenie, że zawarcie umowy o pracę miało charakter pozorny”.

Fikcyjnie zatrudnieni mieli być także prywatni ochroniarze Jarosława Kaczyńskiego, którzy dostali lewe etaty jako instruktorzy szkolenia specjalistycznego w Oddziale Specjalnym Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim. Do kuriozalnej sytuacji doszło zaś w spółce PKP Cargo, nad którą kontrolę wspólnie z politykami PiS przejęli działacze Solidarności. W wyniku złego zarządzania firma została doprowadzona do bankructwa, m.in. poprzez zatrudnianie ludzi na kilku fikcyjnych etatach. Jedna z pracownic oddziału w Tarnowskich Górach oprócz etatu w biurze (gdzie faktycznie pracowała) miała jeszcze podpisane umowy na stanowiska... maszynisty, rewidenta i mechanika. Dzięki temu co miesiąc dostawała na rękę ok. 20 tys. zł.

Morały Szymona Hołowni

Partie demokratyczne przed wyborami w 2023 r. obiecywały Polakom odpolitycznienie spółek, przegonienie „tłustych kotów” prezesa PiS i zastąpienie ich profesjonalistami. O potrzebie zmian najbardziej gardłował Szymon Hołownia. „Nie ma miejsca na nepotyzm czy kolosistwo. Majątek pozostający we władaniu państwa jest majątkiem nie polityków, a wszystkich obywateli i obywateli – w związku z tym należy dokończyć wszelkich starań, by zarządzanie nim powierzyć profesjonalistom

i niezależnym ekspertom”, deklarowała Polska 2050. Współpracownicy marszałka Sejmu przygotowali nawet stosowny projekt ustawy o odpartyjniowaniu spółek, który jednak utknął w Sejmie. Gdy sami dorwali się do władzy, pokusa objęcia dobrze płatnych stanowisk była silniejsza od deklaracji.

Jeszcze koalicyjny rząd nie okrzepł, a już Maria Thun, córka europosłanki Róży Thun, dostała dyrektorską posadę w podległym Ministerstwu Cyfryzacji Centralnym Ośrodku Informatyki. Wybuchł skandal, ale nie dlatego, że doszło do nepotyzmu. „Gazeta Wyborcza” piórem Dominiki Wielowieyskiej podniosła larum, że na polecenie premiera Donalda Tuska córka polityczki musiała pożegnać się z posadą, zanim na dobre rozpoczęła pracę, choć ma bogate doświadczenie zawodowe, a jej wyrzucenie z COI odbyło się ze szkodą dla Polski (sic!). Tyle że Maria Thun nigdy nie zajmowała się informatyzacją ani usługami cyfrowymi. W swojej stosunkowo krótkiej karierze zawodowej opiekowała się ludźmi bezdomnymi, uzależnionymi od alkoholu i narkotyków, pracowała na niskich stanowiskach administracyjnych na uniwersytecie, w instytucie badawczym oraz w korporacjach finansowych. Według doniesień medialnych Maria Thun miała tak skonstruowaną umowę w COI, że choć przepracowała ledwie kilka godzin, i tak otrzymała gigantyczną odpłatę – 250 tys. zł.

Zaraz po wpadce z Marią Thun Szymon Hołownia ogłosił na portalu X: „Zakaz powoływania pracowników partii do zarządów i rad spółek. Zakaz powoływania parlamentarzystów i samorządowców do zarządów i rad spółek. Zakaz finansowania partii przez członków zarządów i rad spółek. Zmiany zaczynamy od siebie. Żadna osoba zatrudniona czy należąca do Polski 2050 nie otrzyma nominacji do rad nadzorczych. Jeśli dziś takie osoby tam są, podadzą się do dymisji”.

Wbrew tym zapewnieniom liczni działacze Polski 2050 i różni znajomkowie w ramach podziału łupów politycznych obsadzili nie tylko spółki skarbu państwa, ale też urzędy

i agencje podległe Ministerstwu Funduszy i Polityki Regionalnej (nadzorowanemu przez ministrami Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz oraz Ministerstwu Klimatu i Środowiska (na czele którego stoi Paulina Hennig-Kloska). Są to m.in. Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) i jego 16 oddziałów wojewódzkich, Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska (GDOŚ) i jej 16 oddziałów wojewódzkich, Krajowy Zespół Nieruchomości (KZN) czy Centrum Projektów Europejskich (CPE).

Wiceprezesem NFOŚiGW został Robert Gajda, szef okręgu Polski 2050 w Koninie, wcześniej prezes Miejskiego Zakładu Wodociągów i Kanalizacji w Kole. Konin to okręg wyborczy ministrowi Hennig-Kloski. Radna z Konina, była kandydatka Polski 2050 do Sejmu, Emilia Wasielewska, została wiceszefową rady nadzorczej NFOŚiGW. Do rady nadzorczej funduszu trafili również Krzysztof Pałka, szef Polski 2050 w Świdnicy, oraz Ewa Patalas, niedoszła posłanka, która do Sejmu startowała z listy partii Szymona Hołowni w Wielkopolsce. Patalas jest także szefową Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Bydgoszczy. W Krakowie wiceprezesem WFOŚiGW został Piotr Gąsiorowski, doktor teologii systematycznej, pastor Ewangelicznego Kościoła Metodystycznego w Polsce i współzałożyciel Polski 2050, autor książek religijnych „Pan Bóg Pyta!”, „Wybaczyć Bogu”, „Niebezpieczny Chrystus”. W Kielcach na stołku wiceprezesa WFOŚiGW ulokowano Arkadiusza Kubca, byłego zastępcę wójta gminy Górno i wiceprezydenta Kielc, w Katowicach Iwonę Gejdel-Targosz, była radną powiatu mikołowskiego, a w Poznaniu Agnieszkę Lewandowską, szefową koła partii Hołowni w stolicy Wielkopolski. Można by tak wymieniać bez końca.

Jak widać, w Polsce zmienia się władza, a dobrze płatne stanowiska przechodzą z rąk jednej siły do drugiej. Polityczni nominaci na państwowych posadach w krótkim czasie zbijają gigantyczne fortuny. Zwykli Polacy zatrudnieni na umowach z tzw. średnią krajową musieliby pracować na takie pieniądze nawet 40 lat.

Andrzej Sikorski

Miał być bank rolny

W Polsce musi być państwowa instytucja finansowa wyspecjalizowana w obsłudze rolnictwa

Grzegorz Rudnik

5 maja br. mogliśmy przeczytać oficjalny komunikat o sprzedaży przez Banco Santander 49% udziałów w Santander Bank Polska austriackiej Erste Group Bank AG, jednemu z największych dostawców usług finansowych w Europie Środkowo-Wschodniej. Austriacy zapłacili Hiszpanom za akcje polskiego banku 6,8 mld euro oraz 0,2 mld euro za 50% udziałów w Santander TFI. Zarząd Banco Santander wyjaśnił decyzję o sprzedaży potrzebą realizacji długofalowych planów dotyczących wzmocnienia swojej pozycji w Ameryce Północnej i Południowej.

Erste Group obsługuje ponad 16 mln klientów w ponad 2 tys. oddziałów na terenie siedmiu krajów. Jej początki sięgają 4 października 1819 r. Wtedy to w Leopoldstadt na przedmieściach Wiednia powstała Erste österreichische Spar-Casse – pierwszy austriacki bank oszczędnościowy działający na terenie Europy. Dla Erste Group przejęcie trzeciego pod względem wartości aktywów i liczby placówek banku w Polsce oznacza wyraźne umocnienie pozycji w europejskim sektorze finansowym – z pewnością jesteśmy większym i bardziej atrakcyjnym rynkiem niż Węgry, Czechy, Słowacja, Rumunia czy Chorwacja.

Polska utraciła zaś okazję do powołania na bazie Santandera banku rolnego z prawdziwego zdarzenia. Informacja o planach sprzedaży udziałów w banku była znana od dawna. Jednak zabrakło w kraju wyobraźni i woli politycznej, by stworzyć instytucję finansową, która wsparłaby polskie rolnictwo i związany z nim przemysł.

Potrzeba powołania banku rolnego w Polsce jest szczególnie pilna

w sytuacji, kiedy jesteśmy wystawieni na konkurencję ze strony ukraińskich firm działających w obszarze rolnictwa i przetwórstwa produktów spożywczych. Przecież przy niższych kosztach produkcji u naszego wschodniego sąsiada oraz przy skali tej produkcji nasze gospodarstwa i przedsiębiorstwa rywalizacji w dłuższej perspektywie nie są w stanie wygrać.

Po co komu bank rolny?

Tylko w 2024 r. wielkość dopłat bezpośrednich przekazanych właścicielom gospodarstw rolnych wyniosła 15,74 mld zł. Do tego należy dodać 3,54 mld zł przekazanych w ramach płatności obszarowych, co łącznie daje kwotę 19,28 mld zł. A to nie wszystko. W ramach ekoschematów wypłacono polskim rolnikom 1,1 mld zł. Są jeszcze kredyty preferencyjne, których wartość tylko

Polska utraciła okazję do powołania na bazie Santandera banku rolnego z prawdziwego zdarzenia – zabrakło wyobraźni i woli politycznej.

w zeszłym roku wyniosła 6,1 mld zł. Dodać do tego trzeba zwykłe kredyty, z których korzystają mieszkańcy wsi – ich wielkość także należy liczyć w miliardach.

W Polsce ukształtował się system, w którym dotacje unijne i inne formy wsparcia trafiają do rolników za pośrednictwem banków komercyjnych. W 2015 r. ostatecznie przestał istnieć Bank Gospodarki Żywnościowej (BGŻ), wchłonięty przez francuski PNB Paribas Bank Polska.

Można powiedzieć, że BGŻ był zwykłym bankiem komercyjnym i z obsługą rolnictwa miał tyle wspólnego, co inne banki. Jeśli jednak

wcześniej zapadłaby decyzja polityczna, by we współpracy z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa zajął się obsługą całości funduszy unijnych, które trafiają na polską wieś, byłoby to o wiele łatwiejsze niż dziś, gdy nie istnieje żadna instytucja finansowa wyspecjalizowana w obsłudze rolnictwa i związanego z nim przemysłu.

Tym trudniej to zrozumieć, że po wejściu Polski do Unii Europejskiej i otwarciu zachodnich rynków na polską żywność rolnictwo dokonało niezwykłego postępu. Wartość polskiego eksportu produktów rolnych rosła w ostatnich latach średnio o 10% rocznie. I działa się to w sytuacji, gdy nasi rolnicy i przedsiębiorcy zajmujący się przetwórstwem produktów rolnych mieli znacznie gorsze warunki działania niż ich francuscy, niemieccy czy włoscy konkurenci. O Holendrach i Duńczykach nie warto wspominać, bo ci farmerzy

oraz producenci żywności, maszyn i urządzeń rolniczych to zupełnie inna, znacznie wyższa liga.

Tamtejsze rządy chuchają i dmuchają na ten sektor. Każdy francuski kandydat w wyborach prezydenckich fotografował się w gumiakach i z widzami na tle obory, by w ten sposób demonstrować przywiązanie do ziemi, solennie przy tym obiecując wsparcie dla farmerów, producentów serów i wina, bez których Francja nie byłaby Francją.

Dwa lata temu prezydent Emmanuel Macron osobiście potępił ukraińską spółkę sprzedającą po wybitnie konkurencyjnych cenach



Spotkanie ministra rolnictwa Czesława Siekierskiego z przedstawicielami Krajowego Związku Spółdzielni Mleczarskich Związku Rewizyjnego, luty 2024 r.

mięso drobiowe do supermarketów. Interweniowali u niego francuscy producenci drobiu. Wszak kogut galijski jest obok Marianny jednym z symboli Republiki Francuskiej. Z kogutem galijskim na koszulce gra reprezentacja Francji w piłce nożnej, a młode kurczęta karmione kukurydzą uchodzą w świecie za najlepsze w smaku i są jednym z filarów kuchni francuskiej. O serach, winach, szampanach i koniakach nie ma co tu się rozpisywać, dość powiedzieć, że ich eksport jest elementem budowy prestiżu kraju na arenie międzynarodowej.

Największą spółdzielczą instytucją finansową na świecie jest bank Crédit Agricole, który zaczynał pod koniec XIX w. od obsługi rolników i gospodarstw rolnych. Również polska gospodarka i nasze rolnictwo potrzebują banku rolnego, który zaoferowałby rolnikom, producentom żywności i spółkom działającym w otoczeniu rolnictwa jak najlepsze warunki. Rzecz w tym, że politycy, czego dowiodła zakończona kilka dni temu kampania prezydencka, kompletnie tego nie rozumieją. A jedyne, na co ich stać, to fotografowanie się na tle odzianych w stroje ludowe pań z kół gospodyń wiejskich.

Tani kredyt dla rolników – mit czy rzeczywistość?

18 lutego 2025 r. Zarząd Krajowej Rady Izb Rolniczych zwrócił się z wnioskiem do ministra rolnictwa i rozwoju wsi Czesława Siekierskiego o wprowadzenie powszechnych kredytów preferencyjnych inwestycyjnych i obrotowych, w szczególności dla rolników utrzymujących zwierzęta.

Reprezentanci izb rolniczych domagali się wdrożenia mechanizmu kredytu o preferencyjnym oprocentowaniu na poziomie 1% dla gospodarstw posiadających ponad 210 krów lub ponad 1,5 tys. świń. Wskazywali, że produkcja zwierzęca jest jedną z najbardziej kapitałochłonnych i ryzykownych gałęzi rolnictwa i zмага się z niedostatkiem adekwatnych instrumentów finansowych.

Ich zdaniem brak wsparcia w postaci korzystnych warunków kredytowych znacząco obciąża budżety gospodarstw, ograniczając możliwości rozwoju oraz utrzymania stabilności finansowej. Postulowali przykładem – obecnie średnie koszty kredytów dla rolników w Polsce wynoszą ok. 10%, podczas gdy we Francji rolnicy mają możliwość

korzystania z kredytów już przy oprocentowaniu na poziomie 2%.

19 marca br. odpowiedzi udzielił im wiceminister rolnictwa Stefan Krajewski, wskazując, że nie jest tak źle, a „oprocentowanie płacone bankowi przez kredytobiorcę w zależności od banku wynosi od 5,5811% do 5,5945%”.

Problem w tym, że nadal jest to dwa razy więcej niż nad Sekwaną. Podobnie sprawy mają się w Niemczech. Nad Renem oprocentowanie kredytów dla rolnictwa oscyluje między 2% a 3%. Niższa jest też marża bankowa – w Polsce to średnio od 2,5% do 3,5%, a w Niemczech od 0,8% do 1,2%.

Dla działających w Polsce banków komercyjnych obsługa preferencyjnych kredytów dla rolnictwa to pewny interes. W roku ubiegłym z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa współpracowało dziewięć takich banków, które udzieliły łącznie 48 165 kredytów o wartości 6,1 mld zł.

Największą aktywność wykazała SGB-Bank SA (Spółdzielcza Grupa Bankowa) z Poznania, która udzieliła łącznie 16 029 kredytów preferencyjnych, tuż za nią były Bank BPS SA, druga spółdzielcza grupa bankowa, ▶

z 18 656 kredytami oraz BNP Paribas Bank Polska z 10 280 kredytami. Pod względem wartości udzielonych kredytów liderem była SGB-Bank SA z kwotą ok. 1,9 mld zł, za nią Bank BPS SA z 1,89 mld zł.

Duże banki komercyjne, takie jak Crédit Agricole Bank Polska z 1315 kredytami o wartości 195 mln zł, następnie PKO BP z 246 kredytami o wartości 167 mln zł, oraz Santander Bank Polska z 531 kredytami o wartości 109 mln zł, pozostały z tyłu. Najwyraźniej kredyty preferencyjne dla rolników to nie ich profil.

Dla porównania – w Niemczech system kredytów dla rolnictwa opiera się na założonym w roku 1949 Landwirtschaftliche Rentenbank oraz landowych bankach spółdzielczych. Landwirtschaftliche Rentenbank wspiera rolnictwo, obszary wiejskie i sektor rolno-spożywczy. To instytucja publiczna, niemająca akcjonariuszy, a jej kapitał został utworzony przez sektor rolniczy i leśny.

Nasi rolnicy i przedsiębiorcy zajmujący się przetwórstwem produktów rolnych mieli znacznie gorsze warunki działania niż ich francuscy, niemieccy czy włoscy konkurenci.

Jeśli w Polsce 62% kosztów preferencyjnych kredytów dla rolnictwa pokrywa budżet państwa, to w Niemczech wskaźnik ten wynosi 23%, a dopłaty pochodzą z Landwirtschaftliche Rentenbanku. Przykład ten dobrze ilustruje, jak ważne dla budżetu państwa jest posiadanie wyspecjalizowanych w obsłudze tego sektora gospodarki instytucji finansowych.

Kolejne czynniki odróżniające na korzyść system niemiecki od polskiego to stabilność oprocentowania kredytów i okres, na jaki są one udzielane. Nad Renem kredyty dla rolników mają stałą stopę procentową i są udzielane średnio na 15-25 lat, podczas gdy nad Wisłą ich oprocentowanie jest zmienne i są one udzielane na 10-15 lat.

Postulat udzielania rolnikom kredytów o preferencyjnym oprocentowaniu 1% nie powinien dziwić. Jeśli dyskutowane są plany wprowadzenia dopłat do kredytów mieszkaniowych, które sprawiłyby, że kupujący

lokal płaciłby od 1% do 2% odsetek, dlaczego nie spełnić oczekiwań rolników?

Cóż, o ile młodzi ludzie pragnący wprowadzić się do własnych mieszkań to elektorat perspektywiczny, o którego interesy warto zadbać, o tyle mieszkańcy wsi są głównie słuchaczami „Rydzijka” i fanami Telewizji Republika, a w wyborach prezydenckich głosują na „kandydata obywatelskiego”. Dlatego realizacja rolniczych postulatów ma mizerne perspektywy.

System, głupcze!

Przy ulicy Nowogrodzkiej 50 w Warszawie stoi solidny budynek w stylu petersburskiego klasycyzmu, wzniesiony w latach 1926-1928 według projektu Mariana Lalewicza. Przed II wojną światową był siedzibą Państwowego Banku Rolnego (PBR), jednej z najważniejszych instytucji finansowych II Rzeczypospolitej.

PBR powołano niecały rok po odzyskaniu niepodległości. Przedmiotem jego działalności było udzielanie kredytów krótkoterminowych i długoterminowych drobnym i średnim rolnikom, przy czym znaczna część jego aktywności była nakierowana na zabezpieczenie finansowe realizowanej w II RP reformy rolnej. Waga Państwowego Banku Rolnego była tym większa, że polska gospodarka w okresie międzywojennym opierała się na rolnictwie. Na wsi mieszkała większość obywateli, a przemysł dopiero zaczynaliśmy budować. PBR przetrwał do 1950 r., kiedy to został postawiony w stan likwidacji. Jego obowiązki w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej przejął Bank Rolny, który w 1975 r. przekształcono w Bank Gospodarki Żywnościowej.

Po roku 1989 rolnictwo i wspierające je instytucje finansowe – czyli BGŻ i banki spółdzielcze – nie interesowały rządzących. W efekcie wykształcił się system, w którym

realne wsparcie udzielane rolnikom właściwie nie istniało. Lata 90. XX w. były dla polskiej wsi wyjątkowo trudne. Sytuacja zmieniła się w roku 2004, po wejściu Polski do Unii Europejskiej, gdy pojawiły się dopłaty bezpośrednie i preferencyjne kredyty. Rolnictwo ożyło, wzrosła liczba gospodarstw towarowych produkujących wysokiej jakości żywność. Wieś zaczęła inwestować. Niestety, utrwalił się model, w którym nie było wyspecjalizowanych we wspieraniu rolnictwa instytucji przypominających te w Niemczech i innych państwach zachodnich. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, główna agencja płatnicza, działała za pośrednictwem banków spółdzielczych i komercyjnych, które przekazywały środki rolnikom i udzielały im kredytów, do których państwo dopłacało.

Jeszcze gorzej wygląda sytuacja z ubezpieczeniami dla rolników. Firmy ubezpieczeniowe odmawiają sprzedawania polis, szczególnie dotyczy to upraw sadowniczych. Problem ten nasila się, jeśli firma ubezpieczeniowa musiała wypłacić rolnikowi odszkodowanie w poprzednim roku – wówczas odmawia zawarcia umowy w roku kolejnym. Jednym z przykładów dyskryminacji rolników jest tzw. franszyza integralna, czyli określona w umowie ubezpieczenia wartość strat w pło- nach, po przekroczeniu której firma ubezpieczeniowa wypłaci odszkodowanie. Powiedzmy, że rolnik zgłasza szkodę w uprawie zbóż spowodowaną suszą – ubezpieczyciel stwierdza jedynie 18% ubytku w plonie, czyli poniżej określonej w polisie franszyzy 25% i odmawia wypłaty, mimo że zgodnie z innymi dowodami nie było do tego podstaw.

Mamy w Polsce obecnie sytuację, że tylko 20-30% strat w gospodarstwach rolnych z tytułu katastrof jest objętych ochroną ubezpieczeniową w ramach systemów publicznych, prywatnych lub wzajemnych, w tym wspieranych przez Wspólną Politykę Rolną. I nie zanosi się na zmiany na lepsze. Taki mamy system. Ale to już inna historia.

Grzegorz Rudnik

Z Galicji



Jan Widacki

Skąd nagle Braun miał tylu wyborców?

Właściwie od razu powinienem sprostować tytuł felietonu. Wcale nie „nagle”. Braun zawsze ich miał. W jakichkolwiek wyborach startował, zbierał tych głosów wiele. Czy to były wybory do Sejmu, czy do europarlamentu. Jednak ten wynik w wyborach prezydenckich w pierwszej chwili przerażał. Ponad 6% polskich wyborców podziela antysemityzm, antyeuropejskość, antyukraińskość i rasizm swojego kandydata? Jego archaiczne poglądy obyczajowe, seksizm? Nacjonalistyczną interpretację patriotyzmu i jej kabotyńskie propagowanie? Nie przeszkadza im to, że jego poglądy i działania, zwłaszcza antyeuropejskość czy antyukraińskość, są obiektywnie na rękę Rosji? Zaiste, fenomen ów będzie zapewne przedmiotem badań socjologów i politologów.

Nie czekając na wyniki ich badań, na własną rękę i do własnych celów próbowałem to zjawisko wyjaśnić. Przyszło mi to tym łatwiej, że niektórzy moi podhalańscy sąsiedzi nie tylko na Brauna głosowali, ale też jego podobizną ozdabiali swoje płoty i wrota stodół.

Pytani o przyczyny takiego wyboru, odpowiadali tak samo, jakby się umówili. Bo to jedyny wśród kandydatów na prezydenta „prawdziwy Polak”. Dopiero przed drugą turą odkryli, że jest jeszcze drugi „prawdziwy Polak”. Nawet taki „najbardziej prawdziwy”, a jak na mój gust to nawet za bardzo „prawdziwy”. I to na niego chcą teraz oddać głos. Ale to dopiero przed drugą turą, w pierwszej liczył się wyłącznie Braun!

Jedna z sąsiadek, którą znam od zawsze i zawsze wydawała mi się rozsądną, rozwodząc się nad pochodzeniem kandydatów, wyraziła przekonanie, że Zandberg i Mentzen to... Żydzi. Trzaskowski to kandydat niemiecki, inni (w pierwszej turze) niegodni uwagi, został tylko Braun! Próbowałem dociekać: skoro Zandberg i Mentzen to z racji nazwisk oczywiście Żydzi, a Braun oczywiście aryjczyk (nie znała tego słowa, więc użyłem określenia „nie-Żyd”), to może jest jakimś krewnym Ewy Braun albo von Brauna? Ale trafiłem kulą w płot (ten z afiszem Brauna), bo ani Ewa Braun ani von Braun z niczym jej się nie kojarzyli. Z czego wnosi o tej ekskluzywnej polskości kandydata Brauna? Bo mówi, że Polska ma być Polską, a nie Ukrainą. Wypędma z Sejmu Żydów (tą gaśnicą) i dobrze robi, bo co się będą Żydzi panoszyć

w polskim Sejmie! A wszystkie przemówienia zaczyna od staropolskiego „Szczęść Boże!”. No i jest przeciwny Unii, która chce zniszczyć polskiego rolnika Zielonym Ładem, który nie pozwoli polskiemu rolnikowi na uprawę ziemniaków. Co prawda, na Podhalu już od kilkudziesięciu lat nikt nie uprawia ziemniaków, ale groźba zakazu ich uprawy, wynikająca rzekomo z Zielonego Ładu, została tu potraktowana bardzo poważnie.

Drugi mój sąsiad także głosował w pierwszej turze na Brauna, ale motywację miał mniej skomplikowaną. „Bo un syćko zocyno tak piknie: »Szczynść Boże!«”. Bój się Boga, Józek, próbuję perswadować sąsiadowi, ale wiesz, co on mówi dalej, po tym „Szczęść Boże”? Józek, szczerzy chłop, odpowiada: „No nie wim”. I tu jest, zdaje się, sedno sprawy.

To bardzo łatwe obrażać się na społeczeństwo, mówić, że jest ono ciemne. Nawet jeśli tak by było, kto

jest temu winien? Poziom życia między miastem a wsią w III Rzeczypospolitej w znacznym stopniu się wyrównał. Ale poziom edukacji jeszcze nie. Czyja to wi-

na? Czy w ogóle ktoś czuje się tu winny? Nie słyszałem. A winnych temu stanowi rzeczy jest wielu.

Powtarzającym się argumentem przeciw Unii Europejskiej jest Zielony Ład. Czy ktoś (rząd, Kościół, elity, w tym dziennikarze) próbował prostym ludziom wytłumaczyć, na czym ma on polegać? Że ma ratować planetę, a nas razem z nią, że opowieści o rzekomym zakazie sadzenia ziemniaków czy przymusie jedzenia robaków to wierutne kłamstwo? Czy ktoś próbował wyjaśnić, że obiektywnie nasza gospodarka nie potrafi się obejść bez pracy imigrantów, że cudzoziemcy stanowią już ponad 7% mieszkańców Polski, a popełniają mniej niż 5% wszystkich przestępstw, że większość z nich pracuje legalnie i płaci podatki, mając swój wkład w nasz dochód narodowy? Czy wreszcie rząd prowadzi jakąś politykę informacyjną, czy w jakikolwiek inny sposób niż tweetowanie przez premiera kontaktuje się ze społeczeństwem? Dlaczego ten rząd nie ma rzecznika prasowego? I czy nie jest rolą Kościoła pokazywać sprzeczność między „Szczęść Boże” na początku wypowiedzi a jej szczującą treścią? To nie wina prostych ludzi, że dają się nabrać Braunowi czy Nawrockiemu. To wina rządu, Kościoła, elit. Cokolwiek teraz się stanie z Polską, to ich wyłączna wina. ■

**Cokolwiek teraz się stanie z Polską,
to wyłączna wina rządu, Kościoła i elit.**



DARWINIZM EDUKACYJNY

Egzaminy klas ósmych pokazują,
że w powszechnej edukacji są równi i równiejsi

Kornel Wawrzyniak

Weryfikacja wiedzy na koniec podstawówki to dla części rodziców początek wyścigu szczurów, do którego zaganiają swoje dzieci. Wszak dobry wynik egzaminu klas ósmych to szanse na lepsze liceum, a to już trampolina do prestiżowych studiów i świetlanej przyszłości. Takie myślenie, choć złudne, szybko się kończy korepetycjami już w szkole podstawowej. Dzieci zmagają się z ogromnym stresem, bo przecież są wychowywane na geniuszy. Z danych opublikowanych przez Centralną Komisję Egzaminacyjną wynika tymczasem, że ósmoklasiści radzą sobie z egzaminem raczej średnio.

Zdany na 0%

Przystąpienie do egzaminu ósmoklasisty jest obowiązkowe, żeby ukończyć szkołę podstawową, ale okazuje się, że nie da się go nie zdać. Aby ułatwić sobie robotę, resort edukacji nie ustanowił minimalnego progu zdawalności. Maksymalna

liczba punktów, jaką można zdobyć, wynosi 100 za wszystkie trzy przedmioty. Ale co do zasady wystarczy przejść. Punkty oczywiście stanowią najważniejszy element w późniejszej rekrutacji do szkół średnich, stworzono jednak furtkę, aby podstawówkę w Polsce skończył każdy.

Większość uczniów podchodzi do tematu z większą ambicją niż tylko złożenie podpisu, lecz wyniki nie są najlepsze. W zeszłym roku co trzeci ósmoklasista nie dostał na egzaminie z matematyki nawet 30% punktów. Kuleje również ortografia na polskim, podobnie zadania weryfikujące umiejętność logicznego myślenia, co dotyczy wszystkich trzech egzaminów. Na grudniowym próbnym egzaminie CKE ósmoklasiści najlepiej wypadli z angielskiego, a najgorzej z matematyki. Z języka polskiego uczniowie uzyskali średni wynik 55%. Z matematyki średnia wyniosła 38%, a z angielskiego 70%.

Widać jak na dłoni, że nasz system edukacji matematyki „nie dowozi”. Problemy z wynikami klas ósmych z tego przedmiotu powtarzają się w przypadku maturzystów.

Dyrektor CKE Marcin Smolik stwierdził w zeszłym roku, że mamy do czynienia z matematyką dwóch prędkości, o czym świadczy rozkład wyników. „Z jednej strony jest duża grupa dzieci z poważnymi brakami w matematyce, takich, które mają problem z najprostszymi zadaniami. To uczniowie, którzy opuszczają szkołę z minimalnymi umiejętnościami. Jest też druga wyraźna grupa, dla której spora część zadań na egzaminie okazała się zbyt prosta”, komentował na łamach „Dziennika Gazety Prawnej”.

Wnioski CKE z grudniowego egzaminu próbnego są takie, że uczniowie mają problem z napisaniem poprawnie tekstu i po polsku, i po angielsku, a poza tym z formułowaniem wniosków. Jeśli chodzi o matematykę, dzieci przede wszystkim mylą pojęcia powierzchin bryły z objętością, nie radzą sobie też z wykonywaniem działań na potęgach. „Widoczny jest brak umiejętności uczniów w zakresie rozwiązywania zadań dotyczących uzasadniania. Równie trudne są zadania z geometrii płaskiej i przestrzennej, w których uczniowie

niewłaściwie identyfikują krawędzie (...)", opisują specjaliści z CKE.

Braki w wyciąganiu wniosków

Języki idą lepiej niż matma, ale i tu zdarzają się trudniejsze momenty. „Zdecydowanie słabiej uczniowie radzą sobie z zadaniami z zakresu kształcenia językowego lub zadaniami wymagającymi stworzenia krótszego lub dłuższego tekstu, poprawnego pod względem kompozycyjnym i językowym”, czytamy w opublikowanej przez CKE informacji na temat języka polskiego. Bardzo wyraźny jest problem z formułowaniem wniosków, być może z powodu nieprzemyślanego stosowania w podstawówkach formuły testowej. Część uczniów przygotowuje się, drukując gotowe testy – dokładnie te same, które nauczyciele pobierają ze strony wydawnictwa zapewniającego podręczniki. Dzieci uczą się tylko, czy zaznaczyć A, B, czy C. Może przyzwolenie na takie praktyki powoduje, że nie potrafią wyrazić własnego zdania ani poprawnie wyciągać wniosków.

– Dziecko, które w kółko tłucze testy, gdy usłyszysz: „uzasadnij”, nie wie, co ma zrobić. W klasie piątej czy szóstej bez zastanowienia, dzieci mówią: „nie wiem”, zanim pomyślą, o co je zapytano – zwraca uwagę Anna, nauczycielka klas cztery-osiem.

W zeszłym roku na egzaminie ósmoklasiści również mieli problem z zakresu kształcenia językowego. Chodziło o zastąpienie sformułowania charakterystycznego dla polszczyzny użytkowej wyrazem lub formułą z zakresu polszczyzny wzorcowej. Tego typu kłopotów by nie było, gdybyśmy jako społeczeństwo byli bardziej czytani.

Luksus dobrej szkoły

– Tu nie chodzi o to, czy szkoła jest płatna. Po prostu trzeba się orientować, czy szkoła w rejonie do czegoś się nadaje, i ewentualnie wysłać dziecko do innej. Moja córka dojeżdża do innej dzielnicy, bo to najlepsza podstawówka w mieście – opowiada jedna z matek. Takie strategie to zaledwie początek drogi, na którą wstępują ambitni rodzice (bo

dzieci przecież nie mają wyboru). Od lat wiadomo, że polska edukacja korepetycjami stoi. Według CBOS w 2022 r. udział w płatnych zajęciach deklarowało 65% dzieci.

Paradoksem jest, że dostanie się do dobrej szkoły nie oznacza większej pomocy ze strony nauczycieli. Duża część tzw. najlepszych placówek to szkoły, które całą odpowiedzialność za edukację zrzucają na uczniów. Najstabsi są po cichu eliminowani, czyli nakłanianiani do zmiany szkoły. Wszystko, aby nie niszczyć prestiżu szkół opartego na dobrych wynikach.

Jednocześnie rodzice wiedzą, że edukacja zamieniła się w kolejną usługę. Podczas zeszłorocznego egzaminu klas ósmych Szkoła w Chmurze urządziła rodzicom strefę komfortu, w której mogli czekać, aż ich pociechy skończą pisać egzamin. Ten przykład wydaje się dość zabawny, ale to tylko czubek góry lodowej, o którą polska edukacja wreszcie się rozbije i utonie jak Titanic.

Jeśli sami nie zrobimy sobie w polskiej szkole Finlandii, to ministra Nowacka tym bardziej tego nie załatwi.

Pod koniec 2024 r. media alarmowały o nowym trendzie wśród rodziców. W wielu przychodniach lekarskich dochodziło do awantur między personelem a rodzicami, którzy przychodzili do lekarza po zaświadczenie dające dziecku więcej czasu na egzaminie ósmoklasisty. W skali kraju uczniów, którzy z różnych powodów – m.in. dysgrafii czy dysleksji lub choroby przewlekłej – mają takie zaświadczenia, jest 2%. W województwie podlaskim dostało je aż 16% uczniów.

„Przychodnie podstawowej opieki zdrowotnej po pierwszych wrześnieowych wywiadówkach przeżywają Armagedon. Rodzice ósmoklasistów, ale i maturzystów przychodzą do nas i naciskają na wydanie zaświadczeń lekarskich, na których podstawie przedłuża się o pół godziny czas trwania egzaminów. W telefonach mają zdjęcia tablic szkolnych, na których nauczyciele piszą tekst mający się znaleźć na zaświadczeniu.

Dostają też wydrukowane paski z taką treścią”, mówiła Interii Joanna Zabielska-Cieciuch, specjalistka medycyny rodzinnej i prezes Podlaskiego Związku Lekarzy Pracodawców Porozumienie Zielonogórskie. Jeśli nie uda się w przychodni, pozostaje oczywiście załatwienie dziecku zaświadczenia prywatnie.

Jak wskazuje prezeska PZLPPZ, wszystko dzieje się za przyzwoleniem szkół, które same podpowiadają, jak takie zaświadczenie zdobyć. A Ministerstwo Edukacji Narodowej, zamiast zająć się patologią, zaproponowało wydłużenie czasu na egzamin o 25%. Jak czytamy w projekcie rozporządzenia, zmiana ta ma przeciwdziałać praktykom ubiegania się o wydanie zaświadczeń lekarskich, na których podstawie przedłuża się czas egzaminu ósmoklasisty. To jednak niczego nie załatwi.

Sprawę skomentował założyciel serwisu Dealerzy Wiedzy, Robert Górniak: „Argument o zmniejszeniu przypadków załatwiania przedłużeń

to prawdziwe kuriozum. Niech to dotrze do wszystkich, że te przedłużenia są załatwiane nie dlatego, że uczniowie tego potrzebują, ale dlatego, że rodzice uważają, że skoro ktoś inny mógł sobie »załatwić«, to ich dziecko też ma mieć dłużej i już. Dla zasady”.

Szkoda, że nikomu nie przychodzi do głowy, aby z takim samym zapałem, jak załatwia się lewe zaświadczenia, skrzyknąć się i jako grupa naciskać na Ministerstwo Edukacji Narodowej, aby wreszcie przyłożyło się do sensownych, a nie pozorowanych zmian w edukacji. Jeśli sami nie zrobimy sobie w polskiej szkole Finlandii, to ministra Nowacka tym bardziej nam tego nie załatwi. Rok jej działań pokazuje, że podejmuje jedynie kroki populistyczne, które mogą się przysłużyć rządowi i tymczasowo poprawić notowania wyborcze. A i to z marnym skutkiem.

k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

3. KONGRES NAUKA DLA SPOŁECZEŃSTWA

MAMY POCZUCIE WARTOŚCI

W jakim stanie jest polska nauka?

Prof. Henryk Skarżyński, organizując po raz trzeci Kongres Nauka dla Społeczeństwa, był jak Midas. Dzięki niemu mieliśmy okazję zobaczyć, nad iloma innowacjami pracują instytuty badawcze i uczelnie z całej Polski oraz start-upy, mogliśmy także wysłuchać najlepszych polskich naukowców, również pracujących na Zachodzie.

– Te dwa dni pokazały coś niezwykle ważnego: że w Polsce mamy ogromny potencjał intelektualny. Pokazaliśmy 57 wdrożeń – konkretnych, namacalnych, działających – które służą ludziom, zmieniają rzeczywistość, poprawiają jakość życia. To już nie tylko deklaracje, to fakty. Ten kongres był wyjątkowy także dlatego, że spotkaliśmy się jako środowisko: naukowcy, praktycy,



decydenci. Zbudowaliśmy wspólną przestrzeń do rozmowy, bo nauka łączy Polaków. Cieszy mnie również obecność wybitnych rodaków, którzy swoje kariery rozwijają za granicą, a dziś są ambasadorami polskiej myśli naukowej na świecie. Ich głosy były ważnym

przypomnieniem, że warto sięgać wysoko i dzielić się swoimi osiągnięciami. Istotnym efektem tegorocznego kongresu będzie też powstanie Księgi Najważniejszych Wdrożeń Osiągnięć Twórczych XXI w. – dokumentu, który zbierze najcenniejsze dokonania polskich naukowców. Zostanie ona przekazana Ministerstwu Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz innym instytucjom jako dowód realnego potencjału, jaki mamy w Polsce, i tego, że nauka to inwestycja, a nie koszt – mówi. prof. Henryk Skarżyński.

Chcemy programować neurony

Za 10 lat będziemy mieli miliardy zysku

Rozmawia Robert Walenciak

Zajmuje się pani „żywymi komputerami” – tak prezentowała je pani podczas kongresu.

– Firma FinalSpark istnieje od 2014 r. Na początku jej założyciele prowadzili badania fundamentalne w dziedzinie sztucznej inteligencji – chcieli zbudować myślący komputer, używając technologii cyfrowej. Dopiero ok. 2020 r. zmienili tę strategię, opierając ją na żywych neuronach.

Dlaczego?

– Stwierdzili, że nie ma sensu rozwijać AI, używając technologii cyfrowej, bo pożera to za dużo energii. Dlatego zdecydowaliśmy się na neurony.

Zwróciliście więc wzrok w stronę biologii. I hodujecie neurony?

– To są prawdziwe, żywe neurony. Normalnie takie eksperymenty prowadzi się w dziedzinach medycznych, żeby zrozumieć, jak działa mózg, by znajdować nowe leki. My

stosujemy praktycznie te same techniki, ale w innym celu – chcemy je programować.

Jak je programujecie?

– Umieszczamy je na elektrodach. Tego typu badania prowadzi się od wielu lat w dziedzinie elektrofizjologii. Także po to, by znaleźć nowe leki. My robimy to po to, by móc programować neurony. Obecnie jesteśmy na wczesnym etapie, udało się nam zachować w tych neuronach jeden bit informacji. Na razie wszyscy, którzy z nami pracują, prowadzą badania fundamentalne nad tym, jak neurony przetwarzają informacje. To jest właściwie matematyka – przetwarzanie sygnałów.

Z jednej strony jest matematyka, a z drugiej – żywe ciało.

– Wszyscy, którzy pracują nad tym projektem, muszą rozumieć inżynierię, matematykę i biologię. Właściwie jednak jest to wyzwanie inżynieryjne. Bo neurony muszą być zdrowe, trzeba je w odpowiedni sposób hodować. Ale to są wszystko



DR EWELINA KURTYS

– naukowczyni pracująca nad komputerami biologicznymi, ekspertka w zakresie neuronauki oraz komercjalizacji nowych technologii, jedna z panelistek debaty 3. Kongresu Nauka dla Społeczeństwa.

standardowe rzeczy, to nie jest rewolucja. Prawdziwą rewolucją jest przetwarzanie sygnałów. Jeżeli będziemy wiedzieli, jak programować neurony, będzie to ogromna rewolucja dla biokomputerów, ale też dla medycyny. Bo nikt jeszcze nie wie, jak neurony kodują informację, nikt nie wie, jak ją dokładnie przetwarzają na fundamentalnym poziomie. Ta wiedza przyczyniłaby się również do postępu w medycynie i pomogła leczyć różne choroby neurologiczne.

Przewaga biokomputerów polega na tym, że zużywać będą, w porównaniu z komputerami klasycznymi, bardzo mało energii.

– Tysiąc razy mniej! Biokomputer będzie zużywał tysiąc razy mniej energii, ale niekoniecznie będzie szybki. Możemy podejrzewać, obserwując nasz mózg, że neurony nie będą szybkie. Współczesne komputery cyfrowe są bardzo szybkie – jeśli chodzi o prędkość obliczeń, o ilość pamięci – tu nie możemy z nimi konkurować. Możemy natomiast oczekiwać, że neurony będą analizować bardziej skomplikowaną informację. To jest oczywiście nasze założenie, bo ten komputer jeszcze nie działa tak, by to sprawdzić eksperymentalnie. Ale możemy, patrząc na ludzki mózg, spodziewać się, jakie cechy będzie miał żywy komputer.

Będzie działał podobnie jak ludzki mózg?

– Tego się spodziewamy. Chociaż dopóki go nie zbudujemy, tak naprawdę nie będziemy tego wiedzieć.

A co stoi na przeszkodzie zbudowaniu go?

– Największym wyzwaniem jest uczenie się *in vitro* – jak to zrobić, jak programować neurony. Chcemy im wysyłać sygnał elektryczny i chemiczny, w taki sam sposób, jak komunikują się w mózgu neurony – zapisując informacje za pomocą sygnałów elektrycznych i neurotransmiterów. Chcemy to odtworzyć, wysyłając różne sygnały elektryczne i transmittery i odbierając od nich informacje. Naszym celem jest to, by mieć sensowne relacje pomiędzy tym, co wysyłamy, a tym, co otrzymujemy. To największa bariera. By ją pokonać, najważniejsza jest praca ludzka. Dlatego rozmawiamy

obecnie z inwestorami na temat inwestycji w badania – potrzebujemy 50 mln euro. Im więcej osób będzie pracowało nad problemem, tym większa szansa, że zostanie on szybciej rozwiązany.

Dlaczego ludzie są tak ważni?

– Musimy przeprowadzić wiele eksperymentów. Potrzebujemy ludzi, by myśleli nad tym, jak zaprojektować następny eksperyment, jak zrozumieć dane, jak na tej podstawie rozwijać badania. Potrzebni są ludzie, którzy potrafią programować, którzy rozumieją też, jak działa neuron. Potrzebujemy osób o szczególnych kwalifikacjach.

Kiedy mniej więcej będziecie wiedzieć, że to idzie w dobrym kierunku? Że nie jest to ślepa uliczka?

– Pierwszym etapem, nad którym pracujemy, jest uczenie się *in vitro*, czyli tego, jak programować

Jeżeli będziemy wiedzieli, jak programować neurony, będzie to ogromna rewolucja dla biokomputerów, ale też dla medycyny.

neurony, żeby wykonywały jakąkolwiek sensowną pracę. I to, mam nadzieję, uda się nam zrealizować w ciągu dwóch-trzech lat. Przewidujemy, że cały projekt będzie gotowy za ok. 10 lat.

Co taki biokomputer da?

– Przede wszystkim da siłę obliczeniową do przetwarzania informacji tysiąc razy bardziej wydajną, jeśli chodzi o energię, niż komputery cyfrowe. Inne rezultaty są trudne do przewidzenia. Tak jest z każdą nową technologią – trudno przewidzieć wszystkie jej konsekwencje.

Czym się żywi taki komputer?

– Tym, czym żywią się komórki w naszym ciele – przede wszystkim glukozą. Wszystkie składniki odżywcze, witaminy, znajdują się medium – to rodzaj specjalnego płynu, w którym jest też oczywiście woda – płyn ten przepływa przez neurony. Cały czas dostarczamy im nowych składników odżywczych i jednocześnie usuwamy metabolity, czyli te substancje, które neurony wydzielają.

Jeżeli wszystko się uda, będziecie mogli to monetyzować?

– Przewidujemy, że biokomputer będzie przynosił bardzo duży dochód. Robiliśmy symulacje, ile to wszystko będzie kosztować. Obliczyliśmy, że nawet jeżeli uda się nam w roku 2036 zdobyć 2% rynku generatywnego AI, i tak będziemy już mieli miliardy euro zysków – dlatego że będziemy mieli ogromną przewagę, jeśli chodzi o koszty. Nawet biorąc pod uwagę koszty utrzymywania komórek, odpowiednich laboratoriów, wykwalifikowanego personelu itd., i tak będzie to dużo tańsze niż serwery cyfrowe, które mamy dzisiaj.

Wasze laboratorium jest w Szwajcarii.

– Właściciele są Szwajcarami. Laboratorium właściwie mogłoby być wszędzie, można pod nie się podłączyć i zdalnie przeprowadzać eksperymenty na neuronach. Mamy

już klientów z całego świata. Szwajcaria jest dobrym ekosystemem, jeśli chodzi o badania naukowe. Jest tu bardzo dużo instytutów naukowych, są kierunki studiów łączące inżynierię i biologię. Poza tym Szwajcaria to ojczyzna patentów, co też jest ważne w sytuacji, kiedy tworzymy nowe technologie. Dziś, jeżeli mamy własność intelektualną i jesteśmy w stanie ją skomercjalizować, przynosi to o wiele większe profity niż praca niezawierająca IP (*intellectual property*). Za sam fakt, że ktoś użytkuje twoją technologię, musi ci płacić. W Szwajcarii badań, patentów jest bardzo dużo – to jeden z powodów, dla których ten kraj jest tak bogaty.

Mam nadzieję, że Polska też pójdzie tą drogą. Bo zmiany w Polsce są. To widać na tym kongresie. Dużo się mówi, żeby tworzyć różne produkty, nie poprzestawać na badaniach. Twórzmy więc na podstawie badań rozwiązania, patentujmy je – to dobry, dochodowy kierunek rozwoju.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Więcej niż stowarzyszenie

„Kuźnica” w 50-letniej historii ma czym się chwalić

Paweł Dybicz

Historia krakowskiej „Kuźnicy” niemalże jak w lustrze pokazuje ostatnie 50 lat dziejów Polski, polskiej lewicy, PZPR i kolejnych ugrupowań odwołujących się do lewicowości. Losy „Kuźnicy”, jej powstanie i działalność w pełni przeczą obrazowi PRL prezentowanemu przez IPN i nawiedzonych prawicowców.

28 kwietnia 1975 r. na rogu Rynku Głównego i ulicy Wiślniej w Krakowie odbyło się zebranie założycielskie Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”, zrzeszającego krakowską inteligencję lewicową, wywodzącą się głównie spośród członków PZPR i stronnictw sojuszniczych. Powstanie klubu nie byłoby możliwe bez ogromnego zaangażowania Tadeusza Hołuja. Ten pisarz i poseł na Sejm, były więzień Auschwitz, uczestnik obozowego ruchu oporu, był pomysłodawcą i inicjatorem, a także do śmierci w 1985 r. przewodniczącym „Kuźnicy”. Przez kilka lat przekonywał krakowskie władze partyjne – które musiały wyrazić zgodę na założenie klubu – że wielu członków

niespecjalnie się odnajduje w formule partyjnych zasiadówek i brakuje im miejsca do pozakomitetowej wymiany myśli.

Pozycja Hołuja, jego determinacja i fakt, że I sekretarzem KW PZPR był wówczas Józef Klasa, bez wątpienia zadecydowały o powstaniu klubu, do którego krakowscy ludzie kultury i nauki w sformalizowany już sposób przenieśli dyskusje toczące wcześniej przy stolikach w kawiarni Grand Hotelu. Ich przemyślenia i opinie o sytuacji w kraju czy działaniach władzy często były nie po myśli działaczy partyjnych, szczególnie centralnego szczebla. Później „Kuźnica” mogła liczyć na wsparcie Józefa Tejchmy, Wincentego Kraśki, Lucjana Motyki, a w latach 80. – Hieronima Kubiaka i Mariana Stępnia.

Wybuch społeczny i powstanie Solidarności członkowie „Kuźnicy” przyjęli z nadzieją na zmiany, ale nie bez obaw obserwowali radykalizację nowo powstałego związku zawodowego. Ogromna większość kuźniczan przyjęła stan wojenny ze zrozumieniem, jako konieczność zapobieżenia narodowej katastrofie. Nie uchroniło to jednak klubu przed

rozwiązaniem, a właściwie samorozwiązaniem, w styczniu 1983 r. Decyzja ta, wynikająca z tzw. cięcia po skrzydłach, miała wpłynąć na ograniczenie działalności partyjnego betonu i dla równowagi... reformatorów, w tym przypadku „Kuźnicy”. Ale, jak to zwykle w Polsce bywa, nic nie jest jednoznaczne i ostateczne. „Kuźnica” nie mogła działać, lecz dzięki przychylności krakowskich władz PZPR, mających wsparcie w Kazimierzu Barcikowskim, wyłonił się Ośrodek Kultury Krakowska Kuźnica.

Dorobek i ludzie

Z początkiem 1989 r. powołano do życia Stowarzyszenie „Kuźnica”, które ani strukturalnie, ani kadrowo nie podlegało żadnej partii politycznej. Istnieje jako stowarzyszenie ludzi o poglądach okołolewicowych.

W swojej 50-letniej historii „Kuźnica” może się pochwalić niemałym dorobkiem. Setki inicjatyw: spotkania, dyskusje, konferencje. Zebrania kuźniczan cechowały wysoka kultura i poziom merytoryczny wypowiedzi dyskutantów. Zawsze chodziło im o coś, co ich jednoczyło – o wizję lepszej Polski.

Znaczące w dorobku „Kuźnicy” było powołanie do życia pisma „Zdanie”. Periodyk był miesięcznikiem, półrocznikiem, ale odkąd „Kuźnicą” kieruje dr Paweł Sękowski (od 2018 r.), na rynku pojawia się raz na kwartał. Publikacje „Zdania” są dowodem, że na długo przed 1989 r. tamtejsze środowisko inteligencji partyjnej postulowało głębokie zmiany w Polsce, podważało pryncypia ustrojowe, jak choćby przewodnią rolę klasy robotniczej. Warto tu też wspomnieć o dorobku wydawniczym w postaci książek publikowanych w ramach serii Biblioteka „Kuźnicy”.

Krakowska „Kuźnica” może też się poszczycić ludźmi, których wyróżniła nagrodą Kowadła, przyznawaną od

Aleksander Kwaśniewski, członek honorowy „Kuźnicy”:

Mam cztery skojarzenia z „Kuźnicą”. Pierwsze to lewica, ale traktowana w sposób otwarty, nowoczesny. To nie przypadek, że jej środowisko było na kursie kolizyjnym z kierownictwem PZPR, a i później, w III RP, z partiami lewicowymi. Drugie to demokracja, o którą to środowisko upominało się na długo przed 1989 r., choć wtedy mówiło się o demokratyzacji. Trzecie to kultura, która buduje demokrację, jest jednym z elementów postępu, uczy wzajemnego poszanowania i zrozumienia innych. I czwarte skojarzenie – to Kraków, który tak wiele zawdzięcza „Kuźnicy”. Jej lewicowe elity, dodając swoją nowoczesność do tradycji Krakowa, jego mieszkańców, wpłynęły na obecny kształt i rolę miasta, ważnej europejskiej metropolii. I oby tak było w kolejnych 50 latach „Kuźnicy”.

Aleksander Miszański, współorganizator jubileuszu „Kuźnicy”:

„Kuźnica” dała dowód reformatorskiego wpływu na kierunki zmian w Polsce. Daje też przykład, jak należy mówić o sprawach narodowych i miasta. Należą się jej słowa uznania i podziękowania za szerzenie humanizmu i tolerancji, okazywanie troski o kraj i Kraków.



Janusz Gajos odbiera w Teatrze Stu Kowadło, nagrodę Stowarzyszenia „Kuźnica”.
4 października 2021 r.

Na spotkaniu „Kuźnicy”: Aleksander Kwaśniewski, z prawej prof. Jacek Majchrowski.



1976 r. Nie mam tu wystarczająco dużo miejsca, by wymienić wszystkich nagrodzonych, wspomnę więc tylko niektórych: Ryszard Kapuściński, Tadeusz Łomnicki, Jan Szczepański, Andrzej Wajda, Zygmunt Bauman,

Prezesi „Kuźnicy”: Tadeusz Hołuj, Hieronim Kubiak, Andrzej Urbańczyk, Andrzej Kurz, Jerzy Hausner, Paweł Sękowski.

Włodzimierz Cimoszewicz, Józef Hen, Krzysztof Jasiński, Aleksander Krawczuk, Jolanta Kwaśniewska, Jacek Kuroń, Olga Lipińska, Bronisław Łagowski, Ewa Łętowska, Aleksander Małachowski, Karol Modzelewski, Wiesław Myśliwski, Mieczysław Rakowski, Janusz Reykowski, Andrzej Romanowski, Adam Schaff, Andrzej Seweryn, Janusz Tazbir, Jerzy Treła, Marian Turski, Andrzej Walicki, Andrzej Werblan, Jerzy Wiatr, Jan Widacki, Jan Woleński. „Kowadłem” uhonorowany został również „Przegląd” i jego redaktor naczelny Jerzy Domański.

Nowe 50-lecie

Stowarzyszenie „Kuźnica” wkrocza w kolejne 50-lecie. Czym ma teraz być? Na to pytanie odpowiada prezes Paweł Sękowski: – Na pewno pozostaniemy stowarzyszeniem ludzi o poglądach lewicowych, centrolewicowych, będących członkami partii lewicowych, ale i niezwiązanych

z żadnym z tych ugrupowań. Chcemy skupiać elitę życia kulturalnego, naukowego i politycznego szeroko rozumianej lewicy, ale przyciągać także osoby niepochozące z tych środowisk. Nadal będziemy miejscem, gdzie rozmowa, dyskusja toczyć się będzie wokół najważniejszych spraw Polski, ale również Krakowa. „Kuźnica” na pewno nie będzie klubem elitarnym. Tak jak w minionych 50 latach chcemy być baczny obserwator i recenzentem działań partii lewicowych, ale także czynnikiem inspirującym dla ich myślenia i poczyną. W czasie naszych spotkań, zarówno wewnętrznych, jak i z udziałem zaproszonych gości, zawsze podejmujemy bieżącą tematykę, ale w dyskusji wiele miejsca zajmuje troska o przyszłość. Mamy świadomość, że dziś w lewicowych ugrupowaniach nie ma specjalnego oczekiwania na rady, pomoc, współpracę z takimi stowarzyszeniami jak nasze. Myślę jednak, że to się zmieni jesienią, bo w środowiskach lewicowych narasta swoisty bunt przeciwko ideowemu rozwodnieniu, rozproszeniu lewicy, a nawet

jej niemocy. Refleksja nad wynikami lewicowych kandydatów w wyborach prezydenckich wywoła, a raczej wymusi, dyskusje na temat kondycji lewicy, nie tylko tej parlamentarnej. Zaręczam, że „Kuźnica” weźmie w nich udział i wnieśli znaczący wkład.

Przed „Kuźnicą” stoją jeszcze dwa inne zadania: utrzymania pozakrakowskich filii oraz kontynuowania działań zmierzających do włączenia młodszych pokoleń do grona zasłużonych kuźniczan – nawet 20-latków.

Kiedy w 1990 r. rządy w Krakowie objęli ludzie z opozycyjnym, solidarnościowym rodowodem, pozbawiono „Kuźnicę” siedziby i pomocy materialnej. Mało tego, jak przypomniał wieloletni prezes stowarzyszenia Andrzej Kurz, samorząd miasta nakazał wyrwać ze ściany domu przy Rynku Głównym tablicę upamiętniającą Tadeusza Hołuj. Zorganizowane 29 maja uroczystości jubileuszowe w sali rady miasta, z udziałem prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego, byłego prezydenta Jacka Majchrowskiego i byłego prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego, są swoistym zadośćuczynieniem za to niegodne potraktowanie „Kuźnicy” i jej założyciela oraz docenieniem tego, co zrobiła dla Polski i Krakowa.

Redakcja i czytelnicy „Przeglądu” gratulują „Kuźnicy” pięknego jubileuszu, imponującego dorobku i konsekwencji w politycznych wyborach.

**Jerzy Domański
i zespół „Przeglądu”**

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

„Sztandar Młodych”: historia pierwszej publikacji postulatów gdańskich

Z opóźnieniem przeczytałem artykuł red. Pawła Dybicza o „Sztandarze Młodych” – gazecie, która odegrała wielką rolę w historii polskiego dziennikarstwa, polityki i społeczeństwa w okresie Polski Ludowej („Sztandar Młodych” – więcej niż kuźnia talentów”, „Przegląd” nr 19/2025). Znalazłem w nim przypomnienie wydarzenia, jakim było opublikowanie przez ten dziennik 21 postulatów gdańskich. Fakt, że „SM” jako pierwszy opublikował te postulaty, jest częścią jego dziejów i powodem do satysfakcji dla ówczesnego zespołu i jego naczelnego, Jacka Naczyty.

Paweł Dybicz wątpi jednak, by „była to samodzielna decyzja kierownictwa redakcji”, ponieważ „trudno uwierzyć, że ogłoszenie drukiem tych postulatów nie odbyło się za zgodą czynników wyższych niż redaktor naczelny”. I w zasadzie ma rację. W zasadzie, do pamiętnej publikacji bowiem doszło nie za zgodą „czynników wyższych”, lecz z ich inspiracji. „Był to – pisze dalej Dybicz – z pewnością wynik walki kadrowej toczonej już na szczytach partyjnej władzy”. I tu już racji nie ma. Nie był, a i szczyty władzy to nie były. Co najwyżej jej średni szczebel.

Być może trudno dziś w to uwierzyć, ale rzecz cała zaczęła się w gmachu przy Nowym Świecie 6, czyli w tzw. Białym Domu. Pracowałem wówczas w Wydziale Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, a moim bezpośrednim przełożonym był nieżyjący już niestety dr Mieczysław Krajewski. Nie tylko zwierzchnik, ale też przyjaciel i mentor. W dniu poprzedzającym pamiętne wydanie „SM” w trakcie codziennej porannej odprawy poinformowano nas, że na kierownictwie partii, obradującym w tamtych dniach permanentnie, pojawił się pomysł ewentualnego desantu na Stocznę Gdańską w celu spacyfikowania strajku. Brzmiało to strasznie. Po odprawie Mietek zaciągnął mnie do swojego pokoju, zamknął drzwi na klucz i poruszony powiedział coś, co brzmiało mniej więcej tak: „Wiesz, możesz ciężko przepracować całe życie i nie

zrobić nic ważnego. Ale czasem się zdarzy inaczej. I jeśli tej okoliczności nie dostrzeżesz, to nigdy już sobie tego nie wybaczysz. To jest właśnie taka sytuacja. Coś musimy zrobić, bo jeśli dojdzie do przerwania strajku siłą i kolejnych ofiar, jak przed dekadą, to konsekwencje będą nie do wytrzymania”.



Mieczysław Krajewski używał słów dużo bardziej emocjonalnych, już ich dokładnie odtworzyć nie potrafię, pamiętam tylko klimat tej rozmowy, właściwie jego monologu, i kolejne kroki, jakie wykonaliśmy. Gorączkowo, bo nie mieliśmy czasu, szukaliśmy rozwiązania będącego na nasze możliwości, aż Mietek wpadł na pomysł, że trzeba upublicznić postulaty gdańskie, od kilku dni już znane, choć wciąż niepublikowane, w których nie ma nic (poza naiwnością, by nie rzec głupotą w niektórych przypadkach), co uzasadniałoby rozwiązania siłowe. Mieliśmy nadzieję, że to wykluczy czarny scenariusz. Jawność jest bronią.

Zaczęliśmy rozważać, w której gazecie można by to zrobić, by rzecz nie wydała się przed czasem, bo wtedy z pomysłu nici. Padło na „Sztandar Młodych”, z którym byliśmy zaprzyjaźnieni i który nam partyjnie podlegał. Istniała jednak cenzura, która bez zgody kierownictwa partii nie dopuściłaby do takiej publikacji. Najpierw zatem poszukaliśmy tam sojusznika. Osobą, której mogliśmy zaufać, była Irena Karska, szefowa Departamentu Prasy Głównego Urzędu Kontroli Prasy,

Publikacji i Widowisk. Zaryzykowała bez wahania, a ryzykowała wszystko (ona też odczuła to potem najdotkliwiej). Gdy gazeta szła do druku, odwołała cenzora z planowego dyżuru w drukarni (bodaj DSP) i sama wzięła ten dyżur. Żaden cenzor nie zwolniłby takiej gazety do druku bez politycznej zgody.

Potem spotkaliśmy się w redakcji „SM” u naczelnego Jacka Naczyty, który też nie miał wątpliwości. I tylko on oraz jeden z jego zastępców, Waldemar Mickiewicz, znali od początku wszystkie okoliczności sprawy. Wiedzieliśmy, że im więcej osób wtajemniczonych, tym większe ryzyko niepowodzenia. Kierownictwo redakcji zaplanowało czołówkę gazety (byliśmy przy tym), mieszcząc w niej dla równowagi, oprócz postulatów z wybitym hasłem „Socializm tak – wypaczenia nie!”, reportaż z posiedzenia Centralnej Rady Związków Zawodowych w charakterze politycznego alibi. Wydawało nam się to wtedy niebywale mądre i przebiegłe, choć było dość naiwne i czytelne jak książeczka dla dzieci. W tej fazie tajemnicy już być nie mogło. Aby wyciszyć pojawiające się w redakcji obawy o konsekwencje, Mieczysław Krajewski dokonał też w sumie naiwnej mistyfikacji: wykonał udawany telefon do cenzury. Kontakty z cenzurą nie odbywały się w taki sposób, a już na pewno nie w sprawach ważnych. Sam urząd był trzymany żelazną ręką przez Stanisława Kosickiego, prezesa GUKPPIW, a taki telefon oznaczałby oczywistą „dekonspirację”. Rzecz się udała, chociaż część nakładu została wycofana z kiosków.

Czy miało to wpływ na bieg sierpniowych spraw? Wątpię. Postulaty gdańskie i tak zostałyby w końcu opublikowane, a w kierownictwie PZPR obok radykałów byli ludzie z wyobraźnią, którzy zdawali sobie sprawę z konsekwencji, jakie przyniosłyby próby stosowania skrajnych rozwiązań. Nie było już wtedy innej drogi niż polityczne rozwiązanie konfliktu, którego zakres i charakter bardzo się różniły od wydarzeń z Grudnia 1970. Z socjalizmem

też nie miało to wiele wspólnego, bo myśleliśmy przede wszystkim o tym, aby nie doszło do kolejnego politycznego kataklizmu i narodowego nieszczęścia.

Miało to natomiast wpływ na nasze życie. Wiele wtedy o ludziach się dowiedzieliśmy. Następnego dnia już nie pracowaliśmy (Mietek, Irena, ja) i czekaliśmy na Centralną Komisję Kontroli Partyjnej, a podległe nam redakcje zostały przed nami ostrzeżone. I tak, czekając „na topór”, doczekaliśmy się zmiany władzy

postulaty, ale rozłożoną, bo wtedy widać też CRZZ. W konsekwencji kazano nam iść precz, czyli wracać do roboty.

Przypominam tę sprawę w dużym skrócie i tylko dlatego, żeby podkreślić, że autorskie prawo do tego epizodu mają w pierwszym rzędzie Mieczysław Krajewski, pomysłodawca i motor całego przedsięwzięcia, oraz Irena Karska i Jacek Nachyła, który podejmował ostateczną decyzję, z pełną świadomością ryzyka i odpowiedzialności. Bez

I jeszcze jedna uwaga: druk postulatów gdańskich nie miał związku z odwołaniem Jacka Nachyły z funkcji naczelnego. Powodem bezpośrednim było – i tu zgoda – zamieszczenie wywiadu z Jackiem Kuroniem. Trzeba przy tym pamiętać, że jesień 1981 r. to był już zupełnie inny czas. Konflikt polityczny narastał dramatycznie, towarzyszyły mu niebывале emocje społeczne, a i stawka tego konfliktu była inna. Tu chodziło już nie o korektę polityki społecznej czy socjalnego ustroju państwa, lecz wprost o jego byt i nasze wspólne bezpieczeństwo.

Historię pierwszej publikacji postulatów sierpniowych opisałem skrótowo kilka lat temu (2017) w „Dzienniku Trybuna” w odpowiedzi na próbę pisania jej na nowo i nie całkiem zgodnie z rzeczywistością oraz na wystawianie piersi do nie swoich orderów (autora tamtej próby pominę). Teraz ten przyczynek do dziejów „Sztandaru Młodych” podrzucam „Przeglądowi” z nadzieją, że może przyda się badaczom, zainteresuje niektórych przynajmniej czytelników, no i dlatego, że historia „Przeglądu” zazębia się w jakiś sposób z historią „Sztandaru Młodych”.

Jerzy Stabicki

Autorskie prawo do tego epizodu mają przede wszystkim Mieczysław Krajewski, pomysłodawca przedsięwzięcia, oraz Irena Karska i Jacek Nachyła, który podejmował ostateczną decyzję.

i wszystko wróciło do „normy”. Ale to już na inną opowieść. Przypomnę tylko anegdotę z Jackiem Nachyłą w roli głównej. Kilka dni po zmianie ekipy zostaliśmy w trójkę wezwani do Jerzego Waszczuka, sekretarza KC i zastępcy członka Biura Politycznego. I to wtedy Nachyła uczył go, jak się czyta gazetę: nie złożoną wpół, kiedy widać tylko bijące po oczach

tej trójki rzecz by się nie wydarzyła. Nie pozycja „Sztandaru Młodych” na rynku medialnym – jak chce Paweł Dybicz – lecz odwaga, wyobraźnia i rozum polityczny redaktora naczelnego zadecydowały o powodzeniu całej akcji. Niczego to nie ujmuje „Sztandarowi Młodych”. Odwrotnie, pokazuje, jak świetnych szefów miewała ta gazeta.

wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka,
podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

DONALD TRUMP I TEORIA SZALEŃCA

Ta teoria przynosi profity chyba jedynie Korei Północnej, która konsekwentnie ją stosuje

Piotr Kimla

Sformułowanie teoria szaleńca brzmi obrazoburczo, ale jest to teoria od dawna zadomowiona w nauce o stosunkach międzynarodowych. Ściślej, od momentu przełamania monopolu USA na posiadanie bomby atomowej i przejścia świata do tzw. ery atomowej. W erze atomowej pomimo

Tego typu kwestie zaczęli rozważać u schyłku lat 50. minionego wieku dwaj uczeni – Daniel Ellsberg i Thomas Schelling. Ten pierwszy zasłynął przekazaniem „New York Timesowi” tzw. Pentagon Papers – ściśle tajnego raportu Departamentu Obrony na temat zaangażowania USA w Wietnamie i ukrywanych przed opinią publiczną wątpliwości wysokich przedstawicieli amerykańskiego rządu, czy wygranie

znaleźć u Machiavellego w „Rozważaniach nad pierwszym dziesięcioleciem historii Rzymu Liwiusza”, w których słynny Florentczyk stwierdza, że „czasami jest rzeczą niezwykle roztropną symulować szaleństwo”. A chcąc raz potraktować sprawę fundamentalnie, należałoby się zwrócić do myślicieli starożytnych, bo trzeba zakładać, że tam znajduje się początek tej idei, zgodnie z twierdzeniem Arnolda Gehlena, że „Grecy wszystko wiedzieli i można pośród nich znaleźć prekursora każdej ważnej myśli”.

Wedle Harry’ego Robbinsa Haldemana, szefa personelu Białego Domu za prezydentury Richarda Nixona, właśnie prezydent Nixon bezpośrednio powoływał się na teorię szaleńca i tym samym wprowadził ją do amerykańskiej praktyki politycznej. W pamiętnikach opublikowanych w 1978 r. pod tytułem „The Ends of Power” Haldeman wskazuje, że prezydent Nixon celowo wysyłał do Moskwy

Już w trakcie pierwszej kadencji prezydent Trump wykazywał symptomy przywiązania do strategii szaleńca.

istnienia potężnych arsenałów nuklearnych użycie broni atomowej okazało się jak dotąd niemożliwe z uwagi na potencjalną całkowitą destrukcję wojujących stron, a przy okazji prawdopodobnie całej Ziemi. W związku z tym żaden zdrowy na umyśle przywódca państwa atomowego nie wciśnie przycisku uruchamiającego atak nuklearny. Nie może też wiarygodnie grozić oponentowi/oponentom takim atakiem.

Co jednak, jeśli przywódca nie jest zdrowy na umyśle, a przynajmniej uda mu się przekonać przeciwnika, że nie wszystko z nim w porządku? Czy decydenci polityczni w państwie, wobec którego zostaną sformułowane groźby nuklearne przez przywódcę uchodzącego za nie zrównoważonego, irracjonalnego czy wręcz szalonego, nie będą skłonni do ustępstw?

wojny wietnamskiej jest możliwe. Ten drugi w 2005 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii (wraz z Robertem Aumannem) za ukazanie możliwości zastosowania teorii gier w naukach społecznych i mikroekonomii. Ellsberg przedstawił przyczynki do teorii szaleńca w wykładzie „The Political Uses

Czy zastosowanie teorii szaleńca może być skutecznym narzędziem osiągnięcia celów? To wątpliwe.

of Madness”. Schelling w pracy „The Strategy of Conflict”. Oczywiście ani Ellsberg, ani Schelling nie namawiali amerykańskiego prezydenta do prób stosowania teorii szaleńca.

Dodam jeszcze na marginesie, że historycy myśli politycznej łatwo wskażą, iż załóżki tej teorii da się

i Hanoi sygnały, że jest „szaleńcem” zdolnym do każdego irracjonalnego czynu, łącznie z użyciem broni jądrowej, w celu przełamania impasu i zmuszenia strony komunistycznej do negocjacji. „Nazywam to teorią szaleńca, Bob – relacjonuje słowa prezydenta Haldemana – chcę, aby Wietnamczycy z Północy

uwierzyli, że doszedłem do momentu, w którym mogę zrobić wszystko, żeby zakończyć wojnę. Rozpuściliśmy wśród nich plotkę, że »na miłość boską, wiecie, iż Nixon ma obsesję na punkcie komunizmu. Nie będziemy potrafili go powstrzymać, gdy się wścieknie, a trzyma palec na nuklearnym przycisku«, i Ho Chi Minh osobiście w ciągu dwóch dni stawia się w Paryżu, błagając o pokój” (H.R. Haldeman, J. DiMona, „The Ends of Power”, s. 82-83).

Teoria szaleńca od początku drugiej kadencji Donalda Trumpa przeżywa renesans zainteresowania ze strony amerykańskich uczonych i publicystów. Jednak symptomy przywiązania do tej strategii Trump wykazywał już wtedy, gdy pierwszy raz rezydował w Białym Domu. Jako przykład mogą służyć instrukcje dawane przez niego Robertowi Lighthizerowi, przedstawicielowi USA ds. handlu, kiedy negocjowana była amerykańsko-południowokoreańska umowa handlowa. „Powiedz im (przedstawicielom Korei Południowej – przyp. P.K.), że ten facet (Donald Trump – przyp. P.K.) jest tak szalony, że zaraz wycofa się z umowy... Powiedz im, że jeśli natychmiast nie zgodzą się na koncesje, ten szalony facet zrezygnuje z umowy” (zob. Daniel W. Drezner, „Does the Madman Theory Actually Work?”, foreignpolicy.com/2025/01/07/madman-theory-international-relations-unpredictability/).

Obecnie teoria szaleńca powraca w kontekście ceł nakładanych i cofanych przez prezydenta Trumpa. Zdaniem sekretarza skarbu USA Scotta Bessenta jest to element amerykańskiej strategii negocjacyjnej. Czy jednak stosowanie teorii szaleńca może być skutecznym narzędziem osiągania celów? Jest to wątpliwe. Po pierwsze, ktoś, kto chce ją zastosować, nie może otwarcie mówić, że ją stosuje. Trump już to zrobił. Po drugie, przywódcy innych państw poznali się na tej strategii w trakcie pierwszej kadencji amerykańskiego prezydenta i wyciągnęli wnioski. Podobnie jak Rosjanie poznali się na strategii Nixona i się na nią nie nabrali. Po

trzecie, nawet jeśli nacisk „szaleńca” robi wrażenie na stronie naciskanej i byłaby ona skłonna ulec, to zadaje ona sobie pytanie, jakie będzie miała gwarancje, że „szalenię” dotrzyma umowy, którą swoim „szaleństwem” wymusił. Po czwarte i ostatnie, wyrobić sobie opinię szaleńca wśród własnych obywateli, własnych wyborców to popełnić polityczne harakiri. Obywatele nie chcą, by ich przywódca był szalony,

(zob. history.state.gov/historicaldocuments/frus1969-76v34/d59). Jeśli któremuś państwu na świecie teoria szaleńca przynosi profity, to chyba jedynie Korei Północnej, która pozostaje konsekwentna w jej stosowaniu. W każdym razie, jak obecnie się dowiadujemy, Stany Zjednoczone zdecydowały się na budowę za badońskie sumy Złotej Kopuły chroniącej to mocarstwo przed zagrożeniem zwłaszcza

Co, jeśli przywódca nie jest zdrowy na umyśle albo uda mu się przekonać przeciwnika, że nie wszystko z nim w porządku? Rozważali to Daniel Ellsberg i Thomas Schelling.

a nawet uchodził za szalonego. Dlatego Nixon usilnie dbał o to, aby Amerykanie nie dowiedzieli się, że w polityce zagranicznej stosuje strategię szaleńca.

Trudno zatem się dziwić, że Nixon zaprzeczył cytowanym wyżej słowom Haldemana. W wywiadzie udzielonym historyczce Joan Hoff w 1984 r. wyparł się użycia terminu teoria szaleńca i generalnie stwierdził, że rzadko dyskutował z Haldemanem o zasadniczych kwestiach związanych z polityką zagraniczną

ze strony Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej. Kwestią na osobną dyskusję pozostaje, czy zbudowanie takiej kopuły jako skutecznej ochrony jest wykonalne, gdy mowa nie o Izraelu, ale o państwie wielkości USA.

Prof. dr hab. Piotr Kimla pracuje w Katedrze Stosunków Międzynarodowych i Polityki Zagranicznej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego

POROZRYWANE STANY



Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy” i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney,
dziennikarka i pisarka
związana z Polską i USA



58 zł

 Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nienależnym Poczta Polska.

Pociąg do mistrzostwa

Podsumowanie sezonu Ekstraklasy

Wojciech Kuczok

Sensacji nie było. Przed rozpoczęciem sezonu eksperci typowali, że mistrzem Polski zostanie drużyna, która rozegra... najmniej meczów. Tak też się stało, o mistrzostwo biły się do końca ekipy Lecha Poznań i Rakowa Częstochowa, niewykluczone w rozgrywki europejskie, w dodatku obie solidarnie odpuściły Puchar Polski już w pierwszej jesiennej rundzie.

W mentalności naszego środowiska piłkarskiego europejskie puchary są „pocafunkiem śmierci”, albowiem żaden polski klub organizacyjnie ani budżetowo nie jest w stanie unieść walki na kilku frontach jednocześnie. Tym oto sposobem od pięciu sezonów nikt w Polsce nie potrafi obronić tytułu mistrzowskiego. Po wynalezieniu Ligi Konferencji mistrz Polski naprawdę musiałby się postarać, żeby nie awansować do rozgrywek grupowych, bo przegrywając eliminacje Champions League, spada do kwalifikacji Ligi Europy, a przegrywając i tutaj, musi przejść ledwie jednego rywala w drodze do najniższego rankingu kontynentalnego pucharu – mistrzostwo Polski zatem niejako skazuje na jesień pucharową i decyduje o wiosennej abdykacji, bo strat poniesionych wskutek przeciążonego kalendarza odrobić się nie da.

Już dzisiaj można więc śmiało obstawiać, że w przyszłym roku po tytuł mistrza Polski sięgnie ktoś spoza kwartetu: Lech, Raków, Jagiellonia i Legia. Co wcale nie musi być taką sensacją, biorąc pod uwagę przejęcie łódzkiego Widzewa przez milionera Roberta Dobrzyckiego i zapowiedziane zbrojenia transferowe.

Tymczasem jednak to Lech po raz dziewiąty świętuje majstra, choć dopiero ósmy raz wygrał ligę –

po ostatniej kolejce wiosny 1993 r., kiedy Legia i ŁKS na choma licytowały bramki strzelane przekupionym rywalom, PZPN ostatecznie przyznał tytuł trzecim w tabeli poznaniakom. Tym razem w pełni sobie na ten zaszczyt zasłużył, pomimo wczesnowiosennej zadyszki i domowej porażki z najgroźniejszym rywalem o tron. Lech grał piłkę najmiłszą oku, najbardziej ofensywną, no i w przeciwieństwie do najgroźniejszych rywali z Częstochowy regularnie wystawiał w polu także Polaków, ba, nasi rodacy grali w drużynie pierwszoplanowe role.

Lech grał piłkę najmiłszą oku, najbardziej ofensywną, no i w przeciwieństwie do najgroźniejszych rywali z Częstochowy regularnie wystawiał w polu także Polaków.

Niejako poznańską tradycją jest wychowywanie i eksportowanie do Europy zdolnej młodzieży – w tym roku na młode gwiazdy Kolejorza wyrosli absolutnie bezcenny w drugiej linii Antoni Kozubal i świetnie sobie radzący w defensywie Michał Gurgul. Z obydwojma wiążemy wielkie nadzieje co do rozpoczynających się już niebawem Mistrzostw Europy U-21, które zostaną rozegrane na Słowacji. Bramkarz Lechitów, Bartosz Mrozek, kapitalnym sezonem zasłużył już sobie na powołanie do seniorskiej kadry narodowej.

Jednak najjaśniej rozbłyśły w ekipie nowe gwiazdy z importu. Ali Gholizadeh, reprezentant Iranu, nie zawodził w decydujących meczach, w tym dwukrotnie strzelał gole w derbach Polski, zarówno jesienią w Poznaniu, gdy Lech poniewierał Legię 5:2, jak i w niedawnym rewanżu przy Łazienkowskiej, kiedy zdobył technicznym strzałem wyjątkowej urody jedyną bramkę.

Portugalczyk Afonso Sousa niemal jednogłośnie został zaś uznany za najlepszego pomocnika sezonu i na Gali Ekstraklasy odebrał stosowną statuetkę. Obaj potrzebowali czasu i cierpliwości, żeby zabłysnąć na miarę swoich talentów – Irańczyk dopiero pod koniec drugiego sezonu w Lechu stał się graczem absolutnie kluczowym, a Sousa, grający w Lechu o rok dłużej, na początku był niemiłosiernie wygwizdywany za nieporadność w ofensywie.

Siłą poznaniaków była także stabilność składu: wielu piłkarzy z obecnej kadry zdobyło z Lechem

mistrza przed trzema laty i oprócz rezerwowego obecnie bramkarza Bednarka (brat naszego reprezentacyjnego stopera) wciąż stanowią trzon składu Kolejorza: Chorwat Antonio Milić, Szwedzi Alex Douglas i Mikael Ishak, Portugalczyk Joel Pereira oraz nasi rodacy Bartosz Sallamon i Radosław Murawski.

Lech stał się najbardziej skandynawską drużyną w historii Ekstraklasy – oprócz czterech Szwedów ma w składzie Duńczyka, Norwega, Finę i Islandczyka, a prowadzi go trener z Danii i asystent z Norwegii. Jak na nasze standardy coach Lecha Niels Frederiksen jest szkoleniowcem z więcej niż nienagannym CV. To nie żaden sparzony poważną ligą „spadochroniarz”, który próbuje się odbudować w lidze o kiepskiej renomie. Frederiksen ze stabiutkim Esbjerg fB wyszedł z grupy w Lidze Europy, potem prowadził przez lata duńską młodzieżówkę, a przed przybyciem do Poznania odzyskał



Piłkarze Lecha Joel Pereira i Radosław Murawski po strzeleniu gola w meczu Ekstraklasy z Radomiakiem; z prawej trener Lecha Niels Frederiksen. 24 października 2024 r.

– po 16 latach – mistrzostwo Danii dla Brøndby IF. To fachowiec wciąż na fali wznoszącej, jeśli uda mu się z Lechem zawojować Europę, trudno będzie go w Polsce zatrzymać.

Piłka skandynawska kojarzyła się nam z solidnością na boisku i pewnością siebie, która tę solidność potęgowała. Tymczasem paradoksalnie, jeśli w Lechu coś ostatnio szwankowało, to właśnie kwestie psychologiczne: z ośmiu ligowych porażek (sporo jak na mistrza) Lech aż sześć poniósł, tracąc pierwsze goła. Odrabianie strat nie było najmocniejszą stroną tej drużyny, na szczęście w porę przełamała słabość, wyciągając w przedostatniej kolejce szalenie ważny punkt na nowym stadionie GKS Katowice, mimo że dwukrotnie przegrywała z rewelacyjnym beniaminkiem – Kolejorz wrócił na mistrzowski tor.

Po koronacji bezstronni kibice odetchnęli z ulgą, bo z całym

szacunkiem dla warsztatu Marka Papszuna trudno nie zauważyć, że jego ekipa uprawiała futbol, by tak rzec, zimny – Raków dbał o zabezpieczenie tyłów i często przepychał jednobramkowe zwycięstwa. Bez tego trenera Raków jest ligowym szaraczkiem – wystarczyło, że Papszun

Pięknie się rozwinął w Rakowie Kacper Trelowski, golkeeper naszej młodzieżówki, jedyny rodzimy pewniak w składzie. Po długiej przerwie spowodowanej rekonstrukcją więzadeł wrócił do gry i formy Ivi López, ale najlepszym strzelcem pod Jasną Górą okazał się kuzyn Erlinga

Pogoń miała dwie olbrzymie szanse w maju. Pierwszą był finał Pucharu Polski przeciw Legii: wspaniały, otwarty futbol z obu stron, na poziomie, którego nie powstydzilyby się czołowe ligi europejskie.

zniknął na jeden sezon, i drużyna pod wodzą Dawida Szwargi popadła w przeciwność. Po powrocie Papszun zaliczył kolejne podium (czwarte w ciągu pięciu lat!), choć w Częstochowie nikt z tego się nie cieszy, bo mistrzostwo było na wyciągnięcie ręki i wymknęło się dopiero przez fatalną końcówkę sezonu (osiem straconych punktów w ostatnim miesiącu).

Haalanda Jonathan Braut Brunes. W najlepszym ligowym bloku defensywnym prym wiódł grecki stoper Stratos Svarnas.

Jagiellonia Białostok odpadła z rywalizacji o tytuł dopiero kilka kolejek przed końcem i ostatecznie zdołała zachować miejsce na podium. To fantastyczny sukces, bo należy pamiętać, że Jaga aż do kwietnia grała na dwóch frontach, ►

► docierając w Lidze Konferencji aż do ćwierćfinału, co mogłoby zaprzeczyć teorii o niemożności pogodzenia gry w lidze i w Europie, gdyby nie stanowiło chlubnego wyjątku. Liderem drużyny od lat pozostaje Jesús Imaz, wedle wielu najlepszy z wielkiej fali pierwszorzędnych piłkarzy drugorzędnymi z Hiszpanii, która zalewa Ekstraklasę z obopólnym pożytkiem – za słabi na Primera División, przed zmierzchem kariery wybierają Polskę i z miejsca stają się gwiazdami ligi.

Najbardziej żał byłoby Pogoni, gdyby nie fakt, że ta drużyna ma w swój los wpisane wieczne niespełnienie – Portowcy nigdy niczego nie wygrali, to polskie „Neverkusen”, które wciąż czeka na przełamanie. W tym roku znów było bardzo blisko – szczecinianie mieli dwie olbrzymie szanse w maju. Pierwszą był finał Pucharu Polski przeciw Legii, bodaj najpiękniejszy w XXI w. Wspaniały, otwarty futbol z obu stron, na poziomie, którego nie powstydziliby się czołowe ligi europejskie. Minimalna porażka 3:4 nie odzwierciedla

jednak przewagi Legii, wyraźnie w tym meczu lepszej. W ostatniej kolejce Pogoni wystarczyło wygrać w Białymstoku, aby zdobyć medal – do sukcesu zabrakło ok. 20 minut.

W Pogoni oprócz niezmordowanego Kamila Grosickiego (ligowy mistrz asyst – aż 12 ostatnich podań!) błysnął Grek Eftimis Kuluris. Nowy król strzelców Ekstraklasy zakończył sezon z 28 bramkami – od 29 lat nikt na naszych boiskach nie strzelił więcej goli – to w ogóle trzeci wynik w powojennych rozgrywkach, więcej trafiali tylko Józef Kohut w 1948 r. dla Wisły i Marek Koniarz w 1996 r. dla Widzewa, tyle samo goli zdobył jeszcze Nemanja Nikolić dla Legii w 2006 r.

W Warszawie zgodnie z tradycją każdy wynik inny niż mistrzostwo jest traktowany jak porażka – dlatego portugalskiemu trenerowi Legii nie pomogło zdobycie Pucharu Polski i dotarcie do ćwierćfinału Ligi Konferencji, gdzie warszawianie odpadli dopiero po zmierzeniu się z Chelsea, późniejszym triumfatorom tych rozgrywek. W moim przekonaniu

pozbycie się Portugalczyka jest błędem, Legia potrzebuje „zakapiora”, bo piłkarze w najbogatszym polskim klubie nadzwyczaj łatwo się rozleniwiają i psują. Gonçalo Feio podpadł tu i tam nieokrzesaniem, ale miał za sobą do końca zarówno drużynę, jak i trybuny – teraz wszystko znowu będzie budowane na nową modłę i coś mi mówi, że nieodwzajemniony od pięciu sezonów pociąg do mistrzostwa przedłuży się w stolicy o kolejne lata.

Dopiero drugi raz w historii przytrafił się spadek drużynie, która w poprzednim sezonie zdobyła ligowe srebro, zresztą Śląsk podobnie jak Tychy w 1976 r. przegrał mistrzostwo wyłącznie stosunkiem bramek. Drastyczny upadek drużyny z Wrocławia jest największą sensacją sezonu – na pocieszenie kibice ze stolicy Dolnego Śląska mogli w minioną środę na stadionie spadkowicza podziwiać finał Ligi Konferencji, w którym Chelsea Londyn rozbiła Betis Sewilla 4:1.

Wojciech Kuczek

Z HUMOREM I REFLEKSJĄ

42. Finał Ogólnopolskiego Turnieju Małych Form Satyrycznych przeszedł do historii



24 maja br. w Bogatyni odbył się 42. Finał Turnieju Małych Form Satyrycznych – najstarszy i jeden z najważniejszych przeglądów kabaretowych w Polsce.

Honorowy patronat nad turniejem objął Wojciech Dobrowicz – burmistrz miasta i gminy Bogatynia, nagrody ufundowało Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a organizacją zajmowało się Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych w Bogatyni.

Patronat medialny nad konkursem sprawowały m.in. „Przeгляд”, Polskie Radio Program III, „Gazeta Wrocławska” oraz lokalne media: bogatynia.info.pl i Telewizja Kablowa Tomków.

Jury w składzie: Natalia Grzeszczyk, Artur Andrus, Filip Jaślar, Zdzisław Justyński i Stanisław Zygmun wyłoniło zwycięzców:

I miejsce i tytuł Księcia Łgarzy A.D. 2025 zdobyła Joanna Gryziewicz z Wilkasów koło Giżycka za tekst „Nadzieja”. Otrzymała także prestiżową statuetkę Złotego Kosy oraz nagrodę finansową.

II miejsce przypadło Krzysztofowi Szczepańskiemu za „Świąteczną przygodę”.

III miejsce zdobył Jan Czesław Kozakowski za „Opowieści z szafki”.

Wyróżnienia honorowe otrzymali: Łukasz Dukowicz („WeleLicho”) oraz Witold Pelka („Autouczucia”).

Tytuł Króla Łgarzy A.D. 2025, statuetkę Kozła i nagrodę główną otrzymał Kabaret z Konopi z Domaszowic. II miejsce zajął Kabaret Konkubenci z Rzeszowa, a III miejsce ex aequo Arkadiusz Jakszewicz z Lidzbarka Warmińskiego oraz Tomasz Biskup z Jędrzejowa. Nagroda Szczupłego Andrzeja przyznawana przez publiczność również trafiła do Kabaretu z Konopi.

Wysoki poziom występów, świetnie dobrane teksty, zaangażowani artyści i doskonała organizacja sprawiły, że tegoroczna edycja nie zostanie szybko zapomniana.

Henryk Izydorczyk

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Jeszcze zatęsknimy?

Pisanie, jak by nie patrzeć, politycznego felietonu przed poznaniem wyników głosowania w wyborach prezydenckich, którymi w ostatnich miesiącach żyliśmy wszyscy, jest z jednej strony karkołomne, z drugiej – inspirujące. Państwo wszyscy jesteście bogatsi w informacji z niedzielnego wieczoru i wyniki exit poll, late poll, a być może już po podaniu oficjalnych wyników przez Państwową Komisję Wyborczą. Wszak są to najłatwiejsze do policzenia wybory: głosy na Trzaskowskiego, głosy na Nawrockiego, głosy nieważne, puste, białe kartki. Ja, kiedy piszę te słowa, nie mam żadnych przekonujących, wiarygodnych wskazówek, żeby móc „wiedzieć”, kto wygra. W chaosie prawno-politycznym nie wiadomo nawet, czy zakończenie aktu głosowania i policzenie głosów zakończy ostatecznie całą procedurę wyborczą. Zadbał o to głównie poprzedni obóz władzy z obecnym prezydentem na czele.

Kampania, a bardziej nawet profile kandydatów wprowadziły ewidentnie nową, w mojej ocenie gorszą, jakość procesu wyboru i wartości instytucji. Należę do tych, którzy, od zawsze krytykując instytucję prezydenta, zauważali równocześnie, że akty prawne obudowujące procedury wyborcze, zdolności kandydatów, warunki brzegowe wyboru nie przewidywały żywiołu politycznej degrengolady, a na pewno nie nadały za dynamiką wypierania kandydatów lepszych przez gorszych. I nie chodzi tu o ocenę identyfikacji politycznych, poglądów ani programów. Po tej kampanii zostajemy na dłużej z pytaniem, kto tak naprawdę, i spełniając jakie kryteria, winien móc kandydować na to stanowisko. Gołym okiem widać, że brakuje kryteriów, które uniemożliwiłyby startowanie w tym wyścigu osobom, których cele (niezależnie od realnych szans) są całkowicie sprzeczne z rangą urzędu.

W tych wyborach można by użyć przykładu osoby barwnej i nie aż tak kontrowersyjnej, czyli Krzysztofa Stanisłowskiego. Stanisłowski, szef i właściciel imperium medialnego Kanał Zero, otwarcie deklarował, że kandyduje dla jaj, i apelował, żeby go nie wybierać, bo się nie nadaje, jak większość innych kandydatów. Akurat w tej roli przekłuwacza balonu wykazał się – i nawet to doceniam. Wniosek mógłby być taki, że w przyszłości jednak nie powinno to mieć miejsca. Rzeczą już nie tak krótkowzroczną jest niepokojące wymieszanie ról: kandydata i „dziennikarza”, co zaowocowało spektaklami debat „zerowych”, w których debatował kandydat i zarazem dziennikarz z innymi kandydatami. Byłże Stanisłowski wówczas twórcą i twórczym, dopytywaczem i kandydatem, dawcą bezcennego czasu antenowo-cyfrowego, który zresztą monetyzował w swoim interesie prywatnym?

Tu pojawia się kluczowe pytanie, czy państwo powinno dawać możliwość takiego prywatnego zarobku kosztem powagi procedury wyborczej, zakotwiczonej w konstytucji. To nie wydarzyło się pierwszy raz, pamiętam doskonałą kampanię i wybory w 1995 r., kiedy realnie starli się Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski, ale w wyścigu wziął udział także człowiek, który produkował wkładki do butów. Ówczesne „surowe” reguły czasu antenowego traktowały ich identycznie. Dzisiaj, kiedy mamy niekontrolowaną de facto przestrzeń przekazów medialnych, żadnej „sprawiedliwości” czasowej już nie ma. Poszkodowanymi są zresztą głównie kandydatki i kandydaci lewicy, którzy – choć zbierają pochwały za kompetencję i prawdomówność – okazji do przedstawiania poglądów mieli najmniej (także, co bolesne, w mediach publicznych, co zostanie, mam nadzieję, policzone, zbadane i ocenione). Zresztą kasus Stanisłowskiego to najciekawszy przyczynek do refleksji nad

Może jednak demokracja musi być bolesna.

tym, dlaczego media publiczne nie mogłyby pokazywać kandydatów z takim rozmachem czasowym jak prywatny kanał internetowy. W miejsce wyczerpujących rozmów dostajemy w mediach publicznych produkty debatopodobne z kuriozalnymi zasadami i restrykcyjnymi ograniczeniami wypowiedzi (minuta).

Tym jednak, co przeraża najbardziej, z mojego punktu widzenia jest nasza wiedza na temat biografii kandydatów. Przykładem jest oczywiście kandydat nieobywatelsko-piśmowski Karol Nawrocki, czyli człowiek, na którego z żadnych powodów nie oddałbym głosu. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której po ujawnieniu choć ułamek podobnych „dokonań” kandydata z mojej bańki politycznej byłbym w stanie nie zważać na to, zamknąć oczy i oddać na niego głos. Tymczasem dynamika kampanii i skrajna polaryzacja polityczna budują nad osobą o takiej konduicie nieprzełamalną osłonę i sprawiają, że w ogóle może się znaleźć wśród kandydatów, a nawet zostać prezydentem Polski – jedynie dlatego, że zauroczyła Jarosława Kaczyńskiego.

Myślę, że jeśli demokracja potrafi sprawić nam przykrość, to nie z powodu wyniku wyborów, tylko tego, że ktoś taki jak Nawrocki w ogóle może zostać kandydatem jednej z głównych sił politycznych albo i wygrać te wybory. Może jednak demokracja musi być bolesna.

Nawet gdyby Nawrocki wygrał – nie zatęsknię za Andrzejem Dudą, oberwiemy bardziej, ale z całkiem innej strony. ■

Baby boom w Pradze

W Czechach nie ma 800+. Państwo inaczej wspiera rodziców, respektuje prawa i bezpieczeństwo kobiet. Efekt – Praga szczyti się dodatnim przyrostem naturalnym



Chrystian Ślusarczyk

Nasze dzieci nie będą mogły bezpiecznie się rodzić, „jeśli dzieciobójstwo będzie legalne i jeśli subsaharyjscy inżynierowie z nożami w zębach importowani wokół centrów integracji cudzoziemców zawładną naszym życiem” – tak wygląda powrót do demograficznej normalności według Grzegorza Brauna, prezesa Konfederacji Korony Polskiej. A to tylko wycinek jego wizji rozwiązywania nad Wisłą palących problemów demograficznych.

Prognozy demografów są znane i niepokojące: w 2060 r.

liczba mieszkańców Rzeczypospolitej skurczy się z obecnych 37,4 mln do 31 mln. Tymczasem w Czechach, gdzie normalność mierzy się w zupełnie innej skali, ktoś pokroju Grzegorza Brauna nigdy nie zebrałby wymaganej do startu w wyborach liczby podpisów. Nad Wełtawą jego poglądy na kwestie przyrostu naturalnego miałyby poparcie grupki nie większej, niż pomieściłby przeciętny praski pub.

W Czechach w kwestii demografii dzieje się sporo. Choć legalne jest „dzieciobójstwo”, jak to nazywa polityk wzdragający się przed świeckim

przywitaniem w języku polskim, w Pradze mieszkańców rodzi się więcej, niż umiera! Tym samym zatrzymany został trend powszechny w środkowoeuropejskich metropoliach, gdzie liczba mieszkańców zwiększa się, ale tylko dzięki procesom migracyjnym.

Kryzys demograficzny u naszych południowych sąsiadów zaczął się wcześniej niż w Polsce. Wcześniej też – i skuteczniej – zaczęto na niego reagować. Realne zmiany demograficzne w Pradze to efekt zupełnie innych niż pisowskie 500+ czy 800+, działań władz. Prażanie wolni są również od „rad” Kościoła, przynoszących u nas skutki odwrotne do oczekiwanych. Nad Wełtawą Kościół skupia się na swojej roli. Nikomu niczego nie próbuje narzucać – Czechom od dawna kojarzy się z weekendowym wypadem do mniej lub bardziej cennego zabytku architektury.

Konkretny dodatek rodzicielski

Jak podaje czeski urząd statystyczny (Český statistický úřad, ČSÚ), w 2024 r. liczba mieszkańców Pragi wzrosła o 13 148 osób i na koniec grudnia 2024 r. wyniosła

Nad Wełtawą kładzie się szczególny nacisk na dobrostan rodziny.

1,398 mln. ČSÚ dodaje także, co Czechów cieszy szczególnie, że w tym okresie w Pradze urodziło się 12 085 dzieci, a zmarły 11 792 osoby. Co oznacza, że urodzeń było o 293 więcej niż zgonów.

Warto zaznaczyć, że Praga to na razie jedyne miasto Czech, gdzie

możemy mówić o dodatnim przyroście naturalnym. Chociaż w innych dużych miastach, takich jak Brno i Pilzno, także rodzi się coraz więcej dzieci i wygląda na to, że ujemny przyrost naturalny i tam przejdzie do historii. A jeszcze 20-30 lat temu zarówno w Pradze, jak i w innych miastach notowano niepokojąco wysoki ujemny przyrost naturalny.

Jednym z podstawowych czynników przyczyniających się do wzrostu dzietności w Czechach jest *rodičovský příspěvek* (dodatek rodzicielski). Prawo do jego uzyskania mają rodzice do ukończenia przez dziecko czwartego roku życia, zatrudnieni na terenie Czech na umowę o pracę. Świadczenie to otrzymują wszyscy, bez względu na zarobki. W Czechach zatrudniona jest całkiem spora grupa Polaków, którzy również chwalą sobie *rodičovský příspěvek*. Jego wysokość to 350 tys. koron (ok. 60 tys. zł) na jedno dziecko i 535 tys. koron (ok. 91 tys. zł), jeśli okresie wypłacania świadczenia pojawi się druga pociecha. Dodatek rodzicielski wypłacany jest co miesiąc i to rodzice mogą zdecydować o wysokości miesięcznych transz.

W trakcie pobierania dodatku możliwe jest wykonywanie pracy zarobkowej pod warunkiem zapewnienia opieki nad dzieckiem (np. żłobek, opiekunka lub opieka innego członka rodziny).

W Czechach rodzice otrzymują też specjalne zasiłki (*přídavky*) na dziecko. Ich wysokość uzależniona jest od wieku dziecka: w przedziale 0-6 lat miesięczny *přídavek* wynosi 830 koron (143 zł), na dziecko w wieku 6-16 lat – 970 koron (167 zł), w wieku 15-26 lat – 1080 koron (184 zł). W przypadku rodziców o niskich zarobkach (to w Czechach rzadkie) zasiłek ten jest wyższy o ok. 500 koron miesięcznie (85 zł).

Droga Czechów do demograficznego sukcesu nie prowadzi przez nieustające „dosypywanie” kasy. Według Eurostatu w Polsce w 2020 r. na politykę prorodziną wydaliśmy 3,5% PKB, tymczasem w Czechach przeznaczono na nią 2,15% PKB.

Rodičovský příspěvek to spory zastrzyk finansowy dla młodych, choć coraz częściej zdarzają się rodzice

40+. Dodatek ten jest na tyle wysoki, że po urodzeniu dziecka większość czeskich matek zostaje w domu i sama wychowuje pociechę. Zjawisko to potwierdzają statystyki – u naszych południowych sąsiadów wskaźnik zatrudnienia kobiet z dziećmi do trzech lat jest jednym z najniższych w Europie! To bezpieczeństwo

oznacza stan spokoju, luzu, bezpieczeństwa, zadowolenia z życia. Czeskie pary, zarówno te, które urodziły się już w XXI w., jak i te 40+, uznają, że w obecnych czasach jednym z elementów tego stanu jest... spółdzenie dziecka. A najlepiej dwójki lub trójki. I to w możliwie niewielkim odstępie czasu. Czeši tłumaczą

Czeskie pary uznają, że w obecnych czasach jednym z elementów bycia *v pohodě* jest... spółdzenie dziecka.

i przewidywalność mają bez wątpienia kluczowy wpływ na podjęcie decyzji o posiadaniu dziecka.

Warto się przyjrzeć, w jaki sposób czeskie ministerstwo zachęca rodaczki do rodzenia: jeśli Czeszka szybko zdecyduje się na urodzenie kolejnego dziecka, to niewykorzystaną część zasiłku otrzymuje w formie jednorazowej wypłaty, a na następną pociechę – kolejne świadczenie. Jak widać, nad Wełtawą kładzie się szczególnie nacisk na dobrostan rodziny.

***Být v pohodě* a obywatelski obowiązek**

Být v pohodě – to czeski zwrot w zasadzie nieprzetłumaczalny na większość języków. W dużym skrócie

to tak: „Dzieci to szczęście, bo gdy jest nas więcej, jest raźniej, a przede wszystkim weselej, bo coś się dzieje i nikt się nie nudzi”.

Zawarcie tradycyjnego małżeństwa zdaniem wielu Czechów w żaden sposób nie wpływa na bycie *v pohodě*. Zapewne dlatego aż 49% dzieci rodzi się dzisiaj w związkach nieformalnych. Słychać też inną, nad Wisłą raczej niespotykaną w obecnych czasach argumentację, że „urodzenie dziecka to obywatelski obowiązek”. Jak widać, czeska obywatelstwo i sumienność zawładnęła również tym obszarem życia.

Být v pohodě z dwójką czy trójką dzieci pomaga stałe poczucie bezpieczeństwa i troski państwa zarówno o rodziców, jak i później ▶

KSIAŻKI

Wolfgang Münchau

Kaput

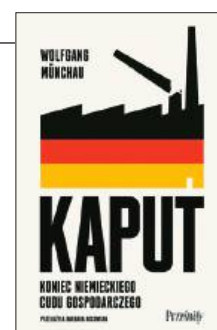
Koniec niemieckiego cudu gospodarczego

tłum. Barbara Kocowska

Prześwity, Warszawa 2025

Gospodarka niemiecka przez wiele lat uważana była za wzór dla niemal całego świata. Niemcy jawiły się jako symbol sukcesu gospodarczego i politycznego. Dziś *deutsche Wirtschaft* nie oznacza bezprzykładnego sukcesu gospodarczego, lecz kryzys o wymiarze systemowym. Jak do tego doszło? Autor dowodzi, że polityka gospodarcza ostatnich kanclerzy Niemiec – od Helmuta Kohla po Olafa Scholza – to w dużym stopniu ciąg nietrafionych decyzji: od uzależnienia się od taniego gazu od Putina, przez oddanie pola Chinom w nowych technologiach, takich jak samochody elektryczne, roboty, wiatraki czy panele słoneczne, po politykę permanentnego zaciśnięcia budżetowego pasa, która spowodowała, że Niemcy przestały w siebie inwestować. Wartość majątku publicznego w Niemczech w stosunku do PKB w ciągu ostatnich trzech dekad spadła o prawie połowę. Najbogatsze państwo Europy pozostało w tyle i nie jest w stanie dostosować się do cyfrowej rzeczywistości XXI w.

(es)



o ich pociechy. W Czechach, gdzie podobnie jak w całej cywilizowanej Europie do 12. tygodnia aborcja jest legalna, nikomu nie przyjdzie do głowy zwlekać z zabiegiem czy chować się za gwałcącymi prawo normami moralnymi. Lekarze w powiatowych (i nie tylko) szpitalach nie bawią się ciężarnymi kobietami w ciuciubabkę.

***Byť v pohodě* z dwójką czy trójką dzieci pomaga stałe poczucie bezpieczeństwa i troski państwa zarówno o rodziców, jak i później o ich pociechy.**

Żadnemu politykowi nie przyjdzie też do głowy wtargnięcie do szpitala i znęcanie się nad wykonującymi swoje obowiązki lekarzami. Od ponad 10 lat w Czechach dostępna jest pigułka aborcyjna, którą można stosować do 49. dnia po ostatniej miesiączce. Łatwiejszy jest także dostęp do antykoncepcji. Tabletki „dzień po” można kupić bez recepty.

Kolejnym zjawiskiem odróżniającym Polskę od Czech jest to, że na dzieci decydują się również kobiety starsze, w wieku 35-40 lat. W większości szpitali, i w dużych miastach, i na prowincji, poziom opieki ginekologicznej jest bardzo wysoki. To samo dotyczy przychodni.

Jak informuje Ośrodek Studiów Wschodnich, do lepszych na tle regionu wyników demograficznych Czech przyczynia się też niskowa tendencja w liczbie aborcji. Ów spadek notowany jest od roku 1990.

Dobrze działający państwowy sektor usług medycznych wspomaga także decyzje kobiet poprzez

możliwość korzystania z zapłodnienia in vitro (dla kobiet w wieku 18-40 lat). Dzięki tej metodzie w Czechach rodzi się ok. 7-8% dzieci. Tymczasem w Polsce do państwowego wspierania zapłodnień metodą in vitro wróciliśmy dopiero kilka miesięcy po wyborach z 15 października 2023 r.

Klimat do wychowania

Nasi południowi sąsiedzi nie narzekają na to, że wychowanie dziecka czy dzieci kosztuje krocie. Ceni to sobie też wielu Polaków, których los rzucił do Czech w poszukiwaniu pracy.

z małymi wyjątkami obejmującymi najuboższe rodziny lub pary. Mimo to zaopatrzenie dziecka we wszelkie szkolne niezbędności nigdy nie było dla rodziców problemem.

Na klimat sprzyjający wychowaniu i rozwojowi dzieci wpływa także postawa większości czeskich pracodawców, rozumiejących potrzeby matek. Potwierdzają to statystyki. Wynika z nich, że czeska i polska rzeczywistość bardzo się różnią. Dziś tylko 20% Czeszek posiadających dziecko (dzieci) w wieku do czterech lat pracuje. W Polsce do pracy chodzi niemal 60% matek z dziećmi w tym przedziale wiekowym. Po paru latach sytuacja zmienia się diametralnie. Wskaźnik zatrudnienia czeskich matek mających dziecko (dzieci) w wieku 5-14 lat jest najwyższy w Europie i wynosi aż 93%!

Bycie *v pohodě* z gromadką brzdąków, a potem nastolatków, to także radosne spędzanie wolnego czasu – najczęściej w grupie rodziców z ich pociechami. Podczas gdy w polskich górach najczęściej spotkamy młodych ludzi koło trzydziestki, na czeskich szlakach w Karkonoszach czy Beskidach, gdy widzimy ich rówieśników,

W mniejszych miejscowościach to miejsce w przedszkolu czeka na dziecko, a nie odwrotnie!

Łatwiej tam niż w Polsce zapisać pociechy do żłobka albo przedszkola. W mniejszych miejscowościach to miejsce w przedszkolu czeka na dziecko, a nie odwrotnie! Państwowe żłobki i przedszkola są tanie. Miesięcznie kosztują one ok. 700 koron (ok. 120 zł). Niedrogie są także posiłki dla dzieci. Podobnie rozmaite zajęcia pozalekcyjne nikomu nie rujnują domowego budżetu.

Znacznie lepszy niż nadwiślański jest system opieki zdrowotnej w czeskich szkołach. Nie ma problemu z dostępem do praktycznie żadnego lekarza. Polscy rodzice w Czechach zwracają uwagę na darmowe dla wszystkich dzieci leczenie stomatologiczne w szkołach.

Żadnych przypominających polskie wyprawek dla uczniów nie ma,

to często z maluchami, które dopiero co postawiły pierwsze kroki, albo mają to jeszcze przed sobą. Rodzice transportują je na szczyt albo do schroniska w wymyślnych, niekiedy wyprodukowanych przez siebie nosidełkach i trzymadełkach. Idą *v pohodě*. Z przyjaciółmi, sąsiadami, kolegami z uczelni czy z pracy. I z tradycyjnym czeskim piwem w plastikowym kuflu, kupionym albo w kiosku na środku szlaku, albo wydobytym „samoobsługowo” z rzeki, za kilka koron wrzuconych do drewnianej skarbonki obok. Bo to także jeden z elementów bycia *v pohodě* i nietatwej do zrozumienia nad Wisłą istoty małego (na razie?) praskiego baby boomu.

Chrystian Ślusarczyk



Co dalej z Węgrami?

Orbán bardzo świadomie gra historycznymi kartami i obiecuje naprawę dawnych krzywd

Bogdan Góralczyk

Węgry – w najnowszej historii stosunkowo niewielkie terytorialnie, choć to kraj z wielkimi ambicjami – przechodziły przez burzliwe czasy. Zazwyczaj doświadczały ich pod wodzą silnych, bardziej lub mniej charyzmatycznych liderów, prawdziwych „ojców narodu”, tytułowych Ojczulków. (...) W tym kontekście krótka (1990-2010) faza demokracji liberalnej okazała się jedynie epizodem. Viktor Orbán, który rozpoczynał polityczną karierę jako przekonany liberał, szybko wszedł w buty swoich despotycznych poprzedników, korzystając z bogatego na Węgrzech arsenału politycznych narzędzi autorytaryzmu, a nawet samowładztwa.

Czterej bohaterowie, którzy rządili długo i dlatego odcisnęli swoje piętno na losach kraju, byli oczywiście różni. Franciszek Józef to Habsburg, przedstawiciel jednego z najbardziej wyrazistych rodów panujących w całej Europie i naturalnie Austriak, nie Węgier, co mocno zaznaczył w pierwszych latach swego panowania, gdy był nawet dla Madziarów oprawcą. A jednak Węgrzy i tak go pokochali. Miklós Horthy, ziemianin z pochodzenia, arystokrata z ambicji i zachowań, a wojskowy z kariery i charakteru, też cieszył się wielką popularnością, bo obiecywał, a częściowo spełnił – niestety z poręki Mussoliniego i Hitlera – Wielką Rewizję niesprawiedliwego i bolesnego traktatu z Trianon. Do dziś jednak jego osobowość i rola w historii dzielą, bo odszedł w nieśławie i zmarł na wygnaniu. János Kádár wjechał w listopadzie 1956 r. do Budapesztu na sowieckim czołgu, a jednak i jego po dekadach Węgrzy pokochali, gdyż był „dobrotliwym autokratą”, a w ramach „miękkiej



Viktor Orbán tym się różni od poprzedników, że równie jak władzę kocha pieniądze.

dyktatury”, jaką z czasem zaprowadził, „dawał życie”: uprawiać działkę, dorabiać się, nawet wzbogacić – pod warunkiem, że zwykły obywatel nie kwestionował jego polityki.

Viktor Orbán, jak Kádár człowiek z ludu, też „daje życie”, a nawet rozwinął system i umowę społeczną systemu kádárovskiego w tym sensie, że nie tylko powiada: ja rządę, wy się moim rządowi spokojnie podporządkowujecie, ale też w niepisany sposób daje do zrozumienia, z czego Węgrzy otwarcie żartują: ja kradnę i wy też możecie kraść, stosownie do pozycji i możliwości. Franciszek Józef nie musiał tego robić, bo był bogaty z rodowodu. Miklós Horthy bardziej zważał na protokół i wojskowe ceremonie niż majątek; ważniejsze były dla niego symbole i rękojmie władzy niż gromadzenie dóbr. János Kádár w wymiarze prywatnym był prawdziwym dzieckiem proletariatu – i takim

purytaninem pozostał do końca swych dni. Ci trzej Ojczulkowie kochali władzę, pieniądze były dla nich różne, bo i tak były jej efektem.

Viktor Orbán, klasyczny kuruc, krnąbrny i niepokorny, tym się różni od poprzedników, że równie jak władzę kocha pieniądze. Cała jego, już długa, kariera to gromadzenie dóbr, uwłaszczanie swoich najbliższych i totumfackich, czego symbolami fenomen Felcsút, a ostatnio Hatvanpuszta, jak też takie osoby jak córka Ráhel z mężem Istvanem Tiborcem czy Lőrincz Mészáros. W przeciwieństwie do poprzedników stworzył on System skorumpowany, mało transparentny, mocno oligarchiczny, no i wyraźnie populistyczny, w stylu Kádára. (...)

Ten System jest korupcjogenny, a więc podatny na skandale. Było ich co najmniej kilka: plagiatowy pierwszego prezydenta z nadania Fideszu Pála Schmitta (2012), brutalny ▶

► o podział majątku z Lajosem Simicską (2015), bulwarowo-dekadencki w Brukseli w wykonaniu jednego z ojców założycieli Fideszu, Józsefa Szájera (2020) oraz pedofilski wraz z rezygnacją drugiego prezydenta z nadania Fideszu, pani Katalin Nova (2024). Wymieniam tylko te najważniejsze i najgłośniejsze. A przecież, co istotne, wiele z nich, poczynwszy od „fenomeny Felcsút”, wiąże się też bezpośrednio z Viktoriem Orbánem, jego rodziną i osobami mu najbliższymi. To nie był i nie jest dobry prognostyk na przyszłość. Historia raczej oceni Orbána surowo.

Z aktualnym Ojczulkiem problem jest ten, że osiągnął on dosłownie wszystko, co sobie jako dziecko w skromnym wiejskim domu wymarzył: nie tylko odrestaurował dom, w którym się wychował, a przed jego progami (o 56 kroków!) postawił stadion piłkarski z krytą widownią, zraszanym boiskiem i wyściełaną łóżą; nie tylko ma obszerny dom z dużą działką na Wzgórzach Budańskich; nie tylko przeniósł – zresztą wbrew opinii i oporowi kuratora zabytków – swą siedzibę premiera z gmachu

Nic dziwnego, że w ślad za takimi niebywałymi sukcesami na scenie wewnętrznej, (...) wyszedł również na scenę międzynarodową, gdzie licytuje znacznie powyżej niewielkiego stosunkowo potencjału swego państwa i narodu, grając z największymi tego świata: Trumpem, Putinem, Erdoğanem, Xi Jinpingiem itd. Tyle że są to politycy podobnie jak on apodyktyczni i wyraziści, rządzący jednoosobowo. Bardziej też stawia na Wschód, a nie na Zachód, gdzie – poza Trumpem i wcześniej dość długo kanclerzami Kohlem i Merkel – nie ma zbyt wielu sojuszników. Przynajmniej tych rządzących. Natomiast z instytucjami unijnymi już od dawna jest w otwartym konflikcie, budując swój wyraziście antyunijny, suwerenistyczny, eurosceptyczny „sojusz karmelicki” w opozycji do Brukseli. Z kolei po pełnoskalowej rosyjskiej agresji na Ukrainę otwarcie zadarł też z NATO (i tym samym Amerykanami, poza Trumpem). Cały czas bardziej zdecydowanie stawia na Wschód aniżeli Zachód, jego zdaniem chyłąc się ku upadkowi i „przeżył”. (...)

Franciszek Józef to Habsburg, ale Węgrzy go pokochali. Miklós Horthy, też cieszył się popularnością. János Kádár był „dobrotliwym autokratą” i „dawał żyć”.

parlamentu do dawnego klasztoru karmelitów; nie tylko wykreował bliskiego przyjaciela z Felcsút, dawnego inkasenta gazowego, a potem softysa, na pozycję jednego z najbogatszych, o ile nie najbogatszego obywatela w państwie, podobnie jak wywindował materialnie swoją najstarszą córkę i jedyne, jak dotąd, zięcia; ale wybudował też przecież kolejkę wąskotorową łączącą Felcsút z Alcsútdoboz, czyli miejsce, gdzie się wychował, połączył z tym, gdzie się urodził, a na dodatek w tym ostatnim odrestaurował pobliski, znany mu od dzieciństwa, stary pałac po Habsburgach w Hatvanpuszta, formalnie zapisany na ojca, ale faktycznie należący do klanu, wraz ze stajniami oraz – co już jest nowością – polami golfowymi i dużą salą konferencyjną.

Niewątpliwie bohaterem, być może nawet najważniejszym, tej narracji są nie tylko charyzmatyczni liderzy, Ojczulkowie, ale w nie mniejszym stopniu węgierskie społeczeństwo. Ono tymczasem ma swoją specyfikę. Albowiem warto dokonać porównania jego zachowań czy przekonań nie tyle z partnerami w Europie Zachodniej, ile w Rosji. Richard Pipes (1923-2018), pochodzący z polskiego Cieszyna profesor Harvardu i jeden z najznamienitszych znawców historii Rosji, w magazynie telewizyjnym „Horyzont” tak specyfikował cystą, choć nieco „zardzewiałą” polszczyzną główne cechy określające przekonania i poglądy Rosjan jako społeczeństwa:

- demokracja to anarchia;
- do dobrych rządów potrzebny jest silny człowiek;

- tylko Rosjanie są specyficzni i ważni, wyróżniają się spośród wszystkich innych nacji (a więc są odrębną kategorią, jeśli nie rasą);

- jako tacy, odosobnieni i inni, są na zewnątrz nierozumiani, traktowani stereotypowo lub wrogo;

- nie ufają sąsiadom, z wieloma są skonfliktowani;

- liberałów otwartych na świat i myślących inaczej jest tam 10-15%;

- ten naród, szczególnie po upadku ZSRR, jest w diasporze, z czym prawdziwi Rosjanie nie mogą się w żaden sposób pogodzić.

Jak widać, niemal wszystko pasuje! Węgrzy też czują się pokrzywdzeni przez los i historię, ich specyficzny język sprawia, że czują się wyizolowani, mają rozległą diasporę i traumę Trianon, liberałów u nich mało („Budapeszt vs. prowincja”), z sąsiadami, kiedyś z Małej Ententy, też mają stałe kłopoty. Chociaż, jak się wydaje, największe kłopoty mają... sami ze sobą. W jednym z najbardziej głębokich socjologicznych studiów na ich temat, przygotowanym i opublikowanym już w trakcie funkcjonowania Systemu Orbána, znalazły się m.in. takie ustalenia:

- Ludność kraju stale się zmniejsza: w latach 80. minionego wieku sięgała 10,7 mln, na koniec 2011 r. wynosiła 9,938 mln, a w roku 2023 zmalała do 9,53 mln.

- Bardzo wysoka jest liczba emerytów, oscylująca wokół 3 mln, a badania wskazują na wysoki poziom konserwatywnych wartości w tej grupie.

- Rosnącym problemem i wyzwaniem jest emigracja z Węgier, stale narastająca. Na koniec 2023 r. aż 57% młodych Węgrów widziało swoją przyszłość poza granicami kraju, a proces ten został wyraźnie upolityczniony przez obecne władze, przeciwne relokacjom planowanym w UE i migrantom, ale równocześnie sprowadzające do siebie robotników (głównie z Chin i Azji). Odczuwalne i zauważalne ulgi podatkowe na rzecz polityki prorodzinnej jak do tychczas nie przełamały tego negatywnego trendu depopulacji.

- Nigdy nie rozwiązano problemu Romów, deklarowanych w statystykach na ponad 300 tys. osób,

a w rzeczywistości przekraczających tę liczbę co najmniej dwukrotnie (chodzi o znajomość języka, małżeństwa mieszane, ale też klasowe i rasowe uprzedzenia, biedę i segregację).

- Nadal, głównie w Budapeszcie, istnieje mniejszość żydowska, szacowana na ok. 120 tys. osób. Po stracie blisko 450 tys. osób w trakcie Holokaustu nie jest ona poddawana dyskryminacji, a przejawy prawdziwego antysemityzmu są rzadkie (w przeciwieństwie do uprzedzeń antycygańskich).

- Wielki nacisk położono w Systemie Orbána na wsparcie węgierskiej diaspory w krajach ościennych, a szczególnie w góralskiej enklawie zamieszkiwanej przez ponad 800 tys. Seklerów na południu Siedmiogrodu, których Viktor Orbán rokrocznie odwiedza w lecie i wygłasza tam głośne, programowe mowy (w miejscowości Tüsnádfürdő – Baile Tuğnad).

- Coraz więcej badań wskazuje, że w ramach Systemu Orbána następuje szybka oligarchizacja, z nową elitą władzy i pieniądza skupioną wokół Fideszu, a nawet samego premiera („państwo prywatne”). Jej uprzywilejowanie staje się coraz bardziej wyraźne, a unaocznilo się szczególnie po „aferze pedofilskiej” i ustąpieniu pani prezydent Katalin Novák w lutym 2024 r. Społeczeństwo jest zachowawcze, dość konserwatywne, a aż 72% badanych w 2023 r. na czele wyznawanych wartości wskazało te związane z chrześcijaństwem (66% deklaruje się jako ludzie wierzący), a więc promowane przez obecną władzę, takie jak obrona rodziny, własnych zasobów kulturalnych oraz tradycji, w przeciwieństwie do „nadmiernej wyuzdanego” i nieprzestrzegającego ich liberalizmu.

Orbán, chłopak z ludu, z wrodzonym temperamentem i twardym pragmatyzmem bardzo świadomie gra w te historyczne oraz społeczne karty. Od Franciszka Józefa przejął mit i wizję Wielkich Węgier, kwitujących i szeroko rozpostartych. Mapa Wielkich Węgier, tych z czasów c.k. Monarchii, jest mu bliska, co wielokrotnie pokazał, a nawet udowodnił – pomnikiem mauzoleum na alei Alkotmány, przy wejściu do parlamentu, oraz zawieszeniem jej w swoim

gabinecie. Od Horthyego wziął, ciągle mocno tkwiący w narodzie, a nade wszystko w diasporze (ach, ci Seklerzy!), rewizjonizm po Trianon. Nie raz dał wyraźnie do zrozumienia zebranym przed nim tłumom na masowych wiecach: chcemy na powrót utraconych ziem albo też „nie będziemy kolonią” czy krajem podporządkowanym osobom w obcych mundurach, czy „dobrze skrojonych garniturach” (jak ci wstrętnei eurokraci z Brukseli, którzy nas zdominowali i dlatego trzeba im się przeciwstawić, wywołać powstanie). Zarazem zapewnia: „nie jesteśmy sługami”, co się oczywiście zebranym tłumom podoba. Jak mówił w wystąpieniu okolicznościowym w święto narodowe

niczym Kádár – dzięki zniesieniu obowiązkowych dostaw, obniżeniu rachunków za mieszkanie, prąd czy gaz, a zarazem wskazuje społeczeństwu wrogów zewnętrznych i wewnętrznych (liberałowie, socjaliści, multimiliarderzy – Soros itd.). Wy nie musicie myśleć, macie nas tylko popierać – oto logika tego scentralizowanego i zmonopolizowanego Systemu, osobistego, a nie instytucjonalnego, opartego na politycznej woli, a nie na prawie i normach; gdzie normą – co akurat stanowi nowość w stosunku do poprzedników – jest fałsz, kłamstwo i poddaństwo woli płynącej z góry, a nie niezależność, samodzielność, uczciwość czy przejrzystość.

Viktor Orbán, jak Kádár człowiek z ludu, też „daje życie”.

15 marca 2024 r.: „Jeśli chcemy zachować węgierską wolność i suwerenność, nie mamy innego wyboru, jak tylko zająć Brukselę”, tzn. zagwarantować w Europie i UE wygraną sił suwerenistycznych, w których triumf on jednoznacznie wierzy i takie eurosceptyczne siły buduje.

Od Kádára, dziś niby zapomnianego – choć Orbán tego nie przyznaje, ale to on przecież w tamtej epoce się wychował – przejął natomiast, efektywny jak się okazało, kontrakt społeczny: ja rządzę (wiercie mi, że dobrze i w zgodzie z wyrokami Historii), a wy, obywatele, jesteście rządzeni. Przy czym umiejętnie go rozwinął i dodał: my dzielimy przywileje na górze, wy tam na dole łupicie resztę. Mamy dziś na Węgrzech niepisany, ale powszechnie rozumiany i uświadomiony pakt, umowę społeczną nie do podważenia, w ramach której wszyscy – z założenia – mają być zadowoleni ze swojego miejsca i roli, jak w ramach obowiązującego od 2010 r. Systemu NER – Narodowej Współpracy.

To Viktor Orbán, ojciec narodu i kolejny Ojczulek, pokazuje, jak goić narodowe traumy i rany, niczym Horthy, a zarazem zabliznia rany i likwiduje ciężary socjalne,

Bez poprzednich Ojczulków nie da się należycie pojąć Systemu Orbána i jego logiki. Każdy z przedstawionych tu przywódców był inny, zmagał się z nieco innymi problemami i inną epoką. Łączyło ich jedno: silna, scentralizowana władza, rządy jednoosobowe lub w bardzo wąskim kręgu zaufanych. Narodu na ogół to nie dziwi, bo „zawsze tak było”. Autorytaryzm ma na Węgrzech przyzwolenie, a suwerenistyczne przekonania, tak mocno forsowane przez Orbána, w minionym półtora stulecia tu omawianym, zawsze – skrycie lub otwarcie – stały na czele politycznej agendy. Kreda mówiące o własnej wyjątkowości jest głęboko zakorzeniona w węgierskiej tradycji, w tamtejszej mentalności, w jej mitach, stereotypach, uprzedzeniach, historycznych żalach i niesprawiedliwościach. Orbán do niego wrócił, a co więcej, bardzo świadomie grając tymi historycznymi kartami, obiecuje naprawę dawnych krzywd. (...)



Fragmenty książki Bogdana Góralszczyka *Ojczulkowie. Filary czy przekleństwo Węgrów?*, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2024



GRAND PRESS PHOTO

W czwartek 29 maja zakończyła się XXI edycja konkursu Grand Press Photo. Katarzyna Ewa Żak została autorką Zdjęcia Roku, jury wybrało do finału 64 zdjęcia pojedyncze, 12 reportaży oraz 5 projektów dokumentalnych.

1. Zdjęcie Roku, Katarzyna Ewa Żak: refleksja nad ulotnością obecności i narastającą nieobecnością.
2. Filip Błażejowski, Forum Polska Agencja Fotografów: martwy jeleń pod taflą jeziora, do którego wskoczył, szukając ratunku przed watahą wilków.
3. Karolina Misztal, „Dziennik Bałtycki”: flecista Kacper Dąbrowski ćwiczy z adeptką muzyki podczas festiwalu młodych muzyków w Bremie.
4. Tomasz Tomaszewski, Visum Foto GmbH: przygotowania do ceremonii wudu w rodzinie Nassara z Ouidah w Beninie. Wyznawczyńi wudu rzuca





przepaskę biodrową kobiecie
rzekomo opętanej przez
demoną.

5. Nagroda internautów, Magdaleną Topczewską: Basia i Olek na oddziale onkologicznym Uniwersyteckiego Dziecięcego Szpitala Klinicznego w Białymstoku.
6. Mirosław Pieślak, Gdynia.pl: nieudana próba skoku przez przeszkodę.
7. Albert Słowiński, Akademia Sztuki w Szczecinie: młodzi Polacy na kwaterze podczas pracy sezonowej za granicą.



Moim największym odkryciem są miłośnicy astronomii

Gdybyśmy w kosmosie byli sami,
byłoby to okropne marnotrawstwo przestrzeni



MICHAŁ KUSIAK

– astronom, popularyzator nauki,
odkrywca wielu komet i planetoid

Michał Kusiak (z prawej) jest współodkrywcą, wraz z Michałem Żołądowskim, komety długookresowej C/2015 F2 (Polonia), za co otrzymał Nagrodę Edgara Wilsona, ustanowioną przez amerykańskiego biznesmena zmarłego

w 1976 r. W czasie studiów na Wydziale Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej Uniwersytetu Jagiellońskiego Międzynarodowa Unia Astronomiczna jedną z planetoid nazwała Michalkusiak.

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Prof. Aleksander Wolszczan jako pierwszy odkrył planety znajdujące się poza Układem Słonecznym i otarł się o Nobla. Czy naukowa oraz społeczna ranga odkryć obiektów w kosmosie zależy od ich typu, wielkości, odległości od Ziemi?

– Po krótkiej analizie i subiektywnej ocenie myślę, że odkrycie zawsze pozostaje odkryciem. Na jego rangę, ważność i skalę składa się wiele czynników. Jednym z najważniejszych jest prawdopodobnie czas. Wcześniejsze dokonania czy odkrycia są niejednokrotnie podstawą kolejnych. Z upływem czasu dzięki dokonaniom naukowców i wynalazców otrzymujemy nowe narzędzia, które pozwalają zrozumieć lub dostrzec jeszcze bardziej skomplikowane i złożone zjawiska, prawa czy obiekty. Jeszcze 100 lat temu znalezienie komety było w Polsce dokonaniem pozwalającym rozpocząć pracę nad doktoratem. Dziś takie odkrycia są dokonywane znacznie częściej, teleskopy i narzędzia badawcze są znacznie bardziej zaawansowane. To pozwala zająć się tą tematyką nie tylko zawodowym astronomom, ale często również amatorom, samoukom z wyobraźnią, cechującym się zaawansowaną wiedzą i oczywiście pasją.

Jako naukowiec, który ma na koncie ponad 160 odkryć asteroid, planetoid i komet, a dodatkowo jedną planetoidę nazwaną pana imieniem, trafił pan do międzynarodowych roczników. Czy myślał pan o napisaniu poradnika, podręcznika odkrywcy obiektów kosmicznych?

– Powoli dojrzewa we mnie zamiar wydania własnej, skromnej książeczki na ten temat. Myślę nad jej uniwersalnością i prostotą, ponieważ zauważyłem, że talent do obserwacji astronomicznych mają zarówno osoby młode, jak i starsze. Moje znaleziska są najczęściej opisywane w cyrkularzach Międzynarodowej Unii Astronomicznej. A moja prawie 20-letnia działalność w niektórych przypadkach ma też wartość socjologiczną, gdyż jako odkrywca z tak długim stażem korzystam z przywileju

zapropionowania nazwy przynajmniej dla części obiektów. W Polsce na razie niewiele osób ma taką możliwość. Regularnie zatem z dużą roz wagą razem z kolegą współodkryw cą zastanawiamy się nad nowymi nazwami, honorując niejednokrotnie znanych Polaków.

Czy należy poważnie traktować doniesienia o życiu pozaziemskim?

– W przypadku życia pozaziemskiego jako odpowiedź niech posłuży cytata z Carla Sagana: „Gdybyśmy w kosmosie byli sami, byłoby to okropne marnotrawstwo przestrzeni”. Myślę, że najbliższe dziesięciolecie dużo wyjaśni, jeśli chodzi o potencjalne warunki powstania życia poza naszą planetą. I jest to jedna z najciekawszych dziedzin, którą każdy z nas będzie prawdopodobnie coraz uważniej śledził.

Talent do obserwacji astronomicznych mają w Polsce zarówno osoby młode, jak i starsze.

Co trzeba by odkryć w kosmosie, by zarobić na tym jakieś pieniądze?

– Za odkrycie planet pozasłonecznych przyznano niedawno Nobla, choć niestety nie naszemu rodakowi prof. Wolszczanowi. Co do wątku „odkryj i zarób”, to praktycznie żadne odkrycie nie dało mi profitów finansowych, choć z pewnością przyniosły one inne korzyści i przywileje, w tym wspomnianą możliwość nazywania nieznanymi ciał niebieskich. **W sierpniu na polskim niebie widać „spadające gwiazdy”, jest wielu amatorów ich oglądania. Czy to wynik dobrej widzialności, czy okres szczególnej koniunktury na występowanie tego typu zjawisk?**

– Mówiąc o „spadających gwiazdach”, większość z nas ma na myśli rój meteorów, Perseidów. To drobiny pyłu i niewielkie, lodowo-skalne okruszki pozostawione w przestrzeni kosmicznej przez jedną z powracających komet, kometę Swifta-Tuttle’a. Drobinki krążą po orbicie wspomnianej komety, a jej geometryczne położenie stwarza dobre warunki do ich obserwacji, kiedy Ziemia przecina orbitę tej komety. Lata wysokiej aktywności Perseidów i zazwyczaj

bardzo dobre warunki pogodowe przyczyniły się do dużej popularności obserwowania sierpniowych meteorów. Warto jednak zaznaczyć, że Perseidy nie są najbardziej aktywnym rojem widocznym w naszej szerokości geograficznej. Zdecydowanie ciekawszym i liczniejszym zjawiskiem są grudniowe Geminidy, których z roku na rok możemy obserwować coraz więcej, jednak zimowe warunki, często pochmurne niebo, powodują, że nie są aż tak popularne.

Co się dzieje z obiektami, które „spadły z nieba”?

– Jeśli mówimy o planetoidach czy ich okrucach zwanych meteoroidami – wszystko zależy od ich rozmiaru. W roju meteorów ich okrucy poruszają się zazwyczaj z dużą szybkością, nagrzewają w ziemskiej

atmosferze, roztopiają, a następnie wyparowują. Jeśli są większe, zdarza się, że docierają do powierzchni ziemi – mówimy wówczas o meteorycie. Każde zjawisko „spadania”, jak to pan ujął, jest zatem wywoływane przez jedno mniejsze bądź większe ciało niebieskie.

Zachęca pan entuzjastów astronomii, nawet tych, którzy nie mają teleskopów, tylko komputery, by prowadzili poszukiwania na własną rękę. Skąd mają wiedzieć, że znaleziony przez nich obiekt nie został już dostrzeżony przez kogoś innego?

– Pomagają w tym przede wszystkim matematyka i bazy danych. Dla każdej planetoidy czy komety na podstawie pewnej liczby obserwacji oblicza się i wyznacza mniej lub bardziej dokładną orbitę i wprowadza do bazy danych, która pozwala określić jej położenie na niebie. Łowca komet lub planetoid ma zatem narzędzia i informacje, które może zaczerpnąć z wielu źródeł, i tym samym jest w stanie określić, czy obiekt, który zaobserwował, został już skatalogowany, czy pozostaje nieznanym.

► **Kto ma większe szanse na takie odkrycia w obrębie Układu Słonecznego? Posiadacze teleskopów czy komputerów?**

– Są dwie drogi. Pierwsza to projekty z dziedziny nauki społecznościowej, skierowane do szerokiego grona miłośników astronomii, które często są realizowane przez duże obserwatoria astronomiczne. Te wykonują ogromną liczbę zdjęć, ale nie są w stanie wykonać niektórych rodzajów obserwacji i zostawiają taką sposobność członkom społeczności z całego świata, po to aby tym danym się przyjrzeni. Dobrymi przykładami są tutaj takie projekty jak TOTAS, COIAS albo Zooniverse, które m.in. analizują dane i zajmują się poszukiwaniami nieznanymi planetoid. Wielu obiektów znalezionych dzięki takim projektom nie można samodzielnie nazwać, ale w szczególnie uzasadnionych przypadkach odkrywca taki przywilej dostanie.

Księgi rekordów Guinnessa. A jak wielu miłośników zainspirowało się moją aktywnością i popularyzacją odkrywania komet i planetoid? Trudno stwierdzić, ale z pewnością tacy są.

Czy międzynarodowy konkurs NameExoWorlds jest kontynuowany? Czy udział w nim daje większą szansę na ciekawe dokonania?

– Kampania związana z nazewnictwem gwiazd i krążących wokół nich planet to z pewnością ciekawy sposób na popularyzację astronomii i, podobnie jak nazywanie planetoid, ma dużą wartość społeczną. Miałem okazję być w zespole oceniającym wnioski podczas pierwszej edycji kampanii. Bazując na tym doświadczeniu, myślę, że kampania była świetną okazją do przyjrzenia się temu, jakie autorytety ceni się w Polsce. Kolejne edycje trwają, z pewnością warto wziąć w nich udział. Niedawno miałem okazję

specjalistycznego sprzętu? Trzeba opłacić abonament?

– W sytuacji korzystania z zasobów danych z sond kosmicznych, tak jak w przypadku wielu projektów nauki społecznościowej, jedyną ceną jest nasz czas. Korzystanie z danych jest praktycznie darmowe. Nasz wysiłek, nawet jeśli nie zapracentuje odkryciem w krótkim czasie, z pewnością wzbogaci nas o nowe doświadczenia.

Z czego wynika wysoki odsetek amatorskich poszukiwań Polaków, którzy na tym polu dali się wyprzedzić jedynie amatorom astronomii w Chinach? Jak pan ocenia poziom nauki fizyki i astronomii w naszych szkołach?

– Duża aktywność polskich miłośników astronomii to efekt bardzo skutecznej popularyzacji astronomii przez odkrywców oraz przez takie instytucje jak planetaria. Ale daleki jestem od generalizacji. Wiele szkół dba o swoją renomę i poziom, zachęcając uczniów do czegoś więcej niż zdobywanie ocen i świadectw z paskiem. Widać to np. w sukcesach naszych uczniów w olimpiadach przedmiotowych. Kiedy jednak patrzę na projekty nauki społecznościowej, widzę, że uczestnictwo w nich to bardzo często efekt indywidualnej dociekliwości ucznia i jego zdolności do samodzielnego zdobywania wiedzy. Nie każdy nauczyciel jest dobrym popularyzatorem astronomii, choć znam takie przypadki, ale nie należą one do kategorii powszechnych.

Astronomia pochłania cały pański czas czy ma pan też inne hobby?

– W tym momencie astronomia jest jednym z moich dodatkowych zajęć. Najwięcej czasu poświęcam na jej popularyzację. Ponadto aktywnie działam w kilku innych tematach, pracuję w firmie rodzinnej, zajmuję się turystyką i rozwijam dawną pasję do strzelectwa sportowego. Warto dbać o swoje zainteresowania nie tylko w jednej dziedzinie. Posiadanie odskoczni od jakiegoś tematu jest potrzebne, pozwala zachować dystans i chroni nas przed wypaleniem.

Na niebo na początku roku trafiły nazwy Tym i Grechuta – otrzymały je dwie planetoidy.

Druga droga to bardziej żmudna indywidualna praca, wykorzystanie własnego komputera, dobrego aparatu cyfrowego i przeglądanie zdjęć. Przez wiele lat wraz z Michałem Żołnowskim realizowaliśmy takie obserwacje, odkrywając setki obiektów, wśród których mieliśmy nadzieję znaleźć nieznaną planetoidę. To z pewnością metoda wymagająca znacznie większego wysiłku, ale efekt i smak odkrycia jest o wiele przyjemniejszy!

Wspominał pan, że nawet 13-, 14-latkowie dokonali samodzielnie jakichś odkryć. Ilu jest takich młodocianych poszukiwaczy, którzy z panem się kontaktują?

– Nie było ich wielu. Moi koledzy, którzy odkryli swoje pierwsze obiekty jako nastolatki, są obecnie dorośli. Warto jednak przypomnieć 12-letniego Rafała Birosa, któremu czas poświęcał jego wujek, jeden z bardziej doświadczonych łowców komet. Rafał właśnie w tym wieku odkrył pierwszą kometa – został najmłodszym odkrywcą i trafił do

przeprowadzić plebiscyt „Wyślij nazwę w Kosmos”, o mniejszym rozmachu i promocji, w którym spośród nadesłanych propozycji mieliśmy wraz ze współodkrywcą wyłonić nazwę dla jednej z naszych planetoid. Niektóre propozycje bardzo nam się spodobały – na niebo trafiły dwie nazwy: Tym oraz Grechuta. Z początkiem roku otrzymały je dwie planetoidy. Z pewnością nazw nie można kupić. Warto przestrzec przed praktyką „sprzedawania gwiazd” w internecie. Firmy, które oferują takie kosmiczne pamiątki, trochę niestety żerują na ludzkiej naiwności. Wysłała przez nas nazwa nie ma wówczas wiążącego znaczenia i nie trafia do książek czy encyklopedii, a co najwyżej jest zapisana w bazie danych firmy i na kartce papieru z pamiątkowym nadrukiem.

Dokонуje pan obserwacji za pośrednictwem sond kosmicznych czy obserwatoriów astronomicznych znajdujących się w różnych stronach świata. Czy połączenie z takimi źródłami danych wymaga

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Kipiel emocji

Na razie żyjemy wyborczą chwilą, więc tracimy z oczu to, że za dwa lata z nawiązką możemy się obudzić w Polsce Konfederacji, Brauna i PiS. Bez względu na to, kto wygra wybory prezydenckie. Nawrocki podpisuje pakt u Mentzena – jak pakt z diabłem. Tak, było w tym spektaklu coś diabolicznego – kandydat obywatelski był pokorny, spłoszony, łaszący się. A przede wszystkim słaby. Czekałem, aż Mentzen pogłaszcze go po głowie jak dużego psa. Mentzen o twarzy dorosłego niemowlaka stał się języczkiem u wyborczej wagi, właściwie jęzorem. Potem rozmowa Mentzena z Trzaskowskim. Ten nareszcie wrócił do siebie prawdziwego, więc liberalnego, niezwykle kompetentnego, wcześniej męczył się w nie swoim gorsecie. Jakby teraz się obudził, tylko czy nie za późno? Już widzę, jakie będą żale jego sztabu, jeśli przegra. Czy sztab był tak zły, jak się mówi? Czy nie przemawia przez narzekających gorzko? Że w Polsce jest potęga ciemnoty, do której nie trafiają żadne argumenty?

Internet kipi od emocji wyborczych. Ciekawie jest czasami wyjść ze społecznej bańki – wystarczy na Facebooku otworzyć drzwi w jakimś propisowskim komentarzu i wejść w profil komentującej osoby. Czary-mary i jesteśmy w zupełnie innym świecie – tam też kipi od emocji, ale zupełnie innych. To na ogół są ludzie prości, ich ikonografia – narodowo-kiczowata. Jakbyśmy należeli do innych światów, aż dziwne, że mówimy tym samym językiem. I tak będziemy po tych wyborach żyć: w jednym kraju, ratując się milczeniem w pewnych kwestiach, bo każda rozmowa doprowadzi do konfliktu. Już rozumiemy, dlaczego wojny domowe są zawsze takie okrutne.

Czy gardzę zwolennikami Nawrockiego? Inteligentami tak, a tzw. prostymi ludźmi – nie. Ograniczeni intelektualnie znajdują w Nawrockim swoje odbicie, nawet wypięknione. Jak go nie uwielbiać? Inteligent zakochany w Nawrockim to figura pokraczna, odpychająca. Polaryzacja – zawsze bogata w emocje – teraz nam już zupełnie zdziczała. Dzikie mięso złych emocji. Ale tak jest nie tylko u nas. Marci Shore, znakomita amerykańska historyczka, autorka świetnej książki o polskim stalinizmie, mówi: „Dewiza Trumpa: wszystko wolno, nie ma granic (...). Obecna władza w USA jest niewiarygodna, nieprzewidywalna, zwariowana. Nie uznaje żadnych zasad i nie ma prawdziwych wartości. Polaryzacja w Stanach osiągnęła

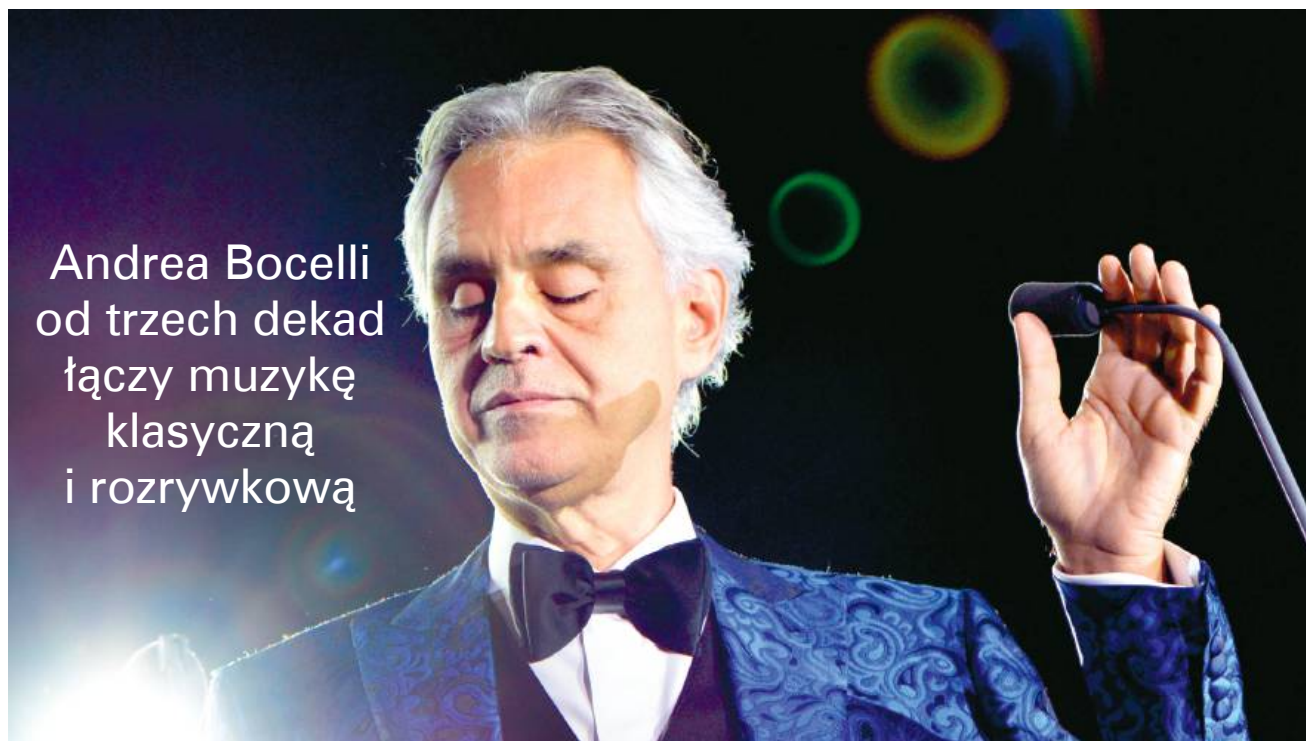
skrajny poziom. Zarówno ukryta, jak i jawna agresja stała się odczuwalna. Mam nadzieję, że się mylę w ocenie sytuacji, ale przy tej ilości broni poważnie się boję, że może dojść do wojny domowej”. Czy wojna domowa w Polsce, gdzie ludzie nie mają broni, jest możliwa? Patrząc na historię, mamy tu niestety bogate tradycje. Nawrocki jako prezydent będzie gmerał w polskiej armii, kupował i korumpował generałów, próbując obalić rząd Tuska. A to igranie z ogniem.

Byliśmy na placu Bankowym i na marszu. Żle reaguję na przemówienia, owacje, skandowanie hasel i tłok, ale było pogodnie, słonecznie, ładnie i optymistycznie. Wzruszająca obecność nowego prezydenta Rumunii – właśnie wygrał z populistą, z którym niedawno ściskali się Nawrocki i banda, która za nim stoi. Patrzyłem na twarze ludzi – było rodzinnie i serdecznie – tak, to jest ta Polska, którą można lubić, nawet kochać. Chociaż generalnie miłość lubię rezerwować dla kobiety i dzieci.

Nie wiem, o co czepiają się Nawrockiego – myślę o tych panienkach lekkich obyczajów, nie znoszę słowa prostytutka, w ramach poprawności politycznej powinno być zakazane. Nawrocki był młody, jeszcze niezbyt zamężny, chciał dorobić. A przy okazji sprawiać przyjemność gościom Grand Hotelu. Przyjemne z pożytecznym. Trochę się przy tym wysilał, więc nic dziwnego, że coś na tym zarabiał. Podobnie było z mieszkaniem, które wytłudził od starego człowieka – przecież to wszystko było dla dobra tego nieszczęśnika! Ustawki kibolskie to też przecież jak turnieje rycerskie, szlachetna męska walka. A potajemne wsuwanie woreczków z nikotyną w czasie publicznych wystąpień? Po prostu chłop się przyzwyczaił. Kto z nas nie ma nałogów? Ale proszę popatrzeć, z jakim wdziękiem! Jak kulturalnie przy tym zasłaniał usta, takim już urobionym gestem, taka mała bokserska podwójna garda. W sumie kulturalny człowiek, świetny kandydat na prezydenta...

Po tych wszystkich rewelacjach wynik wyborów może się wydawać przesadzony, ale po tym, co zdarzyło się w Stanach, lepiej zachować ostrożność. Gdy mój tekst się ukaże, znane już będą wyniki wyborów. Ja ich jeszcze nie znam. I wszystko, co piszę, przy tym błędnie. Albo wprost przeciwnie, szczęśliwie się rumieni. ■

**Polaryzacja – zawsze bogata w emocje
– teraz nam już zupełnie zdziczała.**



Andrea Bocelli
od trzech dekad
łączy muzykę
klasyczną
i rozrywkową

MUZYKA RODZI SIĘ Z CISZY

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Los odebrał mu wzrok, ale ma dar, który porusza miliony. Jego głos rozbrzmiewa na najważniejszych scenach świata. Usłyszymy go również w Polsce. Andrea Bocelli wystąpi 6 czerwca w Poznaniu i 8 czerwca we Wrocławiu. Włoski artysta podpisał pięcioletnią umowę na wyłączność z agencją AEG Presents – liderem w dziedzinie rozrywki na żywo, odpowiedzialnym m.in. za festiwal BST Hyde Park oraz światowe trasy Taylor Swift, Eltona Johna, Paula McCartneya, The Rolling Stones, Céline Dion i wielu innych gwiazd. Dla Bocellego współpraca z tą agencją to nowy początek. Symbol włoskiej muzyki, znany na całym świecie, rozpoczął trasę koncertami w Pompejach, są na niej także, oprócz Polski, Portugalia i Stany Zjednoczone. W 2024 r.

Andrea Bocelli świętował 30-lecie kariery.

Od studiów prawniczych do śpiewu

Andrea Bocelli urodził się 22 września 1958 r. w La Sterza, niewielkiej tokańskiej wiosce niedaleko Lajatico, w rodzinie rolniczej. Od urodzenia miał problemy ze wzrokiem – zdiagnozowano u niego wrodzoną jaskrę. W wieku 12 lat, po wypadku podczas gry w piłkę nożną, całkowicie stracił wzrok.

Céline Dion: „Jeśli Bóg ma głos, to musi brzmieć jak Andrea Bocelli”.

Już jako dziecko pasjonował się muzyką – pierwsza płyta Franca Corellego, podarowana przez nianię, zainspirowała go do marzeń o karierze tenora. Uczył się gry na fortepianie, flecie, saksofonie i gitarze, śpiewał, komponował i rozwijał umiejętności

w szkole dla niewidomych w Reggio Emilia. Również mając 12 lat, zdobył swoją pierwszą nagrodę – za wykonanie słynnej włoskiej piosenki „O sole mio” w Viareggio.

Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie w Pizie. Po krótkim epizodzie pracy w kancelarii zdecydował się całkowicie poświęcić muzyce. Występował w klubach i kawiarniach, zainspirowany twórczością Franka Sinatry, Charles’a Aznavoura i Édith Piaf, a zarobione pieniądze inwestował w lekcje śpiewu. Jego determinacja i talent doprowadziły do podpisania kontraktu z wytwórnią Sugar Music. Przełom nastąpił w 1993 r., gdy Andrea zaśpiewał u boku Zucchero utwór „Miserere”. Rok później zwyciężył na festiwalu w San Remo z piosenką „Il mare calmo della sera”, rozpoczynając światową karierę.

W 2017 r. włoska telewizja Rai 1 wyemitowała film „Muzyka ciszy”, ekranizację autobiografii Andrei Bocellego. Reżyser Michael Radford opowiedział w nim historię chłopca

z Toskanii, który mimo utraty wzroku nie porzucił marzeń. W roli mentora wystąpił Antonio Banderas, a muzykę skomponował Gabriele Roberto. To opowieść o wewnętrznej sile, o ciszy jako przestrzeni, w której rodzi się muzyka – historia małych rzeczy, które stają się czymś wielkim.

Komentując filmową opowieść o swoim dzieciństwie, Bocelli powiedział: „Nie wierzę w zasługi, ale w dar, który trzeba odkryć i pielęgnować. Wiara w przypadek może prowadzić do rozpacz”. Zapytany o kontynuację biografii, żartobliwie dodał: „Moje obecne życie byłoby zbyt nudne na film – lepiej byłoby opowiedzieć o moich historiach miłosnych. To byłoby przynajmniej romantyczne”.

90 mln sprzedanych płyt

Od debiutu Bocelli nagrał kilkanaście albumów studyjnych, zarówno popowych, jak i klasycznych, w tym dziewięć kompletnych oper. Sprzedał ponad 90 mln płyt, a jego „Romanza” stała się jednym z najlepiej sprzedających się albumów w historii. Z kolei „Sacred Arias” to najpopularniejszy album muzyki klasycznej w jednym wykonaniu.

Sławę przyniósł mu także utwór „Con te partirò”, a wersja „Time to Say Goodbye” nagrana z Sarah Brightman stała się światowym przebojem. W duecie z Céline Dion zaśpiewał „The Prayer” – piosenkę nagrodzoną Złotym Globem i nominowaną do Oscara. W 2010 r. jego gwiazda pojawiła się na Hollywood Walk of Fame.

Andrea Bocelli wielokrotnie współpracował z uznanymi artystami, takimi jak Ed Sheeran, Lady Gaga, Barbra Streisand czy Luciano Pavarotti. Śpiewał dla papieży, monarchów i prezydentów, występował w Carnegie Hall i Metropolitan Opera, a także na stadionach i w telewizji.

W wywiadzie dla dziennika „La Repubblica” wyznał, że Pavarotti miał ogromny wpływ na jego życie: „Luciano był dla mnie osobą kluczową. Jeśli dziś mogę śpiewać tak, jak śpiewam, to dlatego, że dzięki niemu wypracowałem właściwą technikę.

Mieliśmy bardzo naturalną relację – myślę, że naprawdę podziwiał mój głos. Zadzwoił do mnie, bym zaśpiewał na jego ślubie. Zaśpiewałem też na jego pogrzebie. A wszystko zaczęło się od szalonej kłótni. Mieliśmy ostrą wymianę zdań przez telefon – nie mogliśmy dojść do porozumienia. Wtedy poprosiłem mojego przyjaciela, maestro Carla Berniniego, by pojechał ze mną do domu Luciana w Pesaro... Nigdy o tym wcześniej nie mówiłem. Byłem młody, wygłosiłem jakieś głupie krytyki w wywiadzie. Pavarotti zabrał mnie do pokoju i powiedział: »Kiedy jesteś nikim, musisz nauczyć się milczeć. Mówię ci to teraz, kiedy jesteś nikim, ale zapamiętaj to na przyszłość, gdy będziesz numerem jeden«. Pogodziliśmy się, byliśmy wzruszeni i się uściskaliśmy”.

Dzięki festiwalowi Pavarotti International Bocelli połączył publiczność operową i popową, stając się prawdziwą gwiazdą. 30 września wystąpi w Arenie w Weronie podczas wydarzenia „Pavarotti 90”, upamiętniającego rocznicę urodzin mistrza.

Dzięki festiwalowi Pavarotti International Bocelli połączył publiczność operową i popową, stając się prawdziwą gwiazdą.

Nie wszystkie występy artysty spotykają się z entuzjazmem krytyków. Jego interpretacje operowe bywają oceniane negatywnie ze względu na niewłaściwą technikę oddechową, błędne frazowanie czy brak zaangażowania emocjonalnego. W repertuarze popularnym, zwłaszcza przy wsparciu technicznym, te niedostatki są niemal niezauważalne. Hiszpański tenor Plácido Domingo określił Bocellego jako „wielki talent artysty z kręgu kultury pop, który nie jest jednak śpiewakiem operowym”.

Mimo to publiczność niezmiennie kocha jego głos. Niewidomy artysta pozostaje symbolem determinacji, wiary w talent i przekraczania granic między światem muzyki klasycznej a popkulturą. Céline Dion powiedziała kiedyś, że „jeśli Bóg ma głos, to musi brzmieć jak Andrea Bocelli”.

Bocelli prywatnie

Jak każdy człowiek, który osiągnął wielki sukces i stał się osobą publiczną, Andrea Bocelli stara się chronić prywatność, ale niektóre fakty z jego życia są powszechnie znane. W 1992 r. poślubił Enricę Cenzatti, z którą ma dwóch synów: Amosa i Mattea. Ten drugi również jest piosenkarzem i czasami występuje u boku ojca. Po 10 latach małżeństwa Bocelli rozwiódł się, a w 2014 r. ożenił z Veronicą Berti, z którą ma 13-letnią córkę Virginie. Jak sam przyznaje, w stosunku do córki bywa zaborczy i kilkakrotnie przeganiał jej adoratorów. Virginie także lubi śpiewać i ma talent.

Miłość między Bocellim a jego drugą żoną trwa już 23 lata, mimo że dzieli ich spora różnica wieku – on ma 66 lat, ona 41. Nie jest o nią zazdrosny, ponieważ – jak zaznacza – spędzają razem niemal 23 godziny na dobę. „Moja żona mówi, że mężczyźni pozostawieni sami robią głupoty. I ma rację. Różnicy wieku nie czujemy – ona jest bardziej

dojrzała, ja jestem dzieciakiem”, wyznał artysta.

Bocelli kocha konie. „Ostatnim życzeniem mojego dziadka Alcide było podarowanie mi konia. Kilka dni po jego śmierci tata spełnił to marzenie i tak pojawiła się Stella – mój pierwszy kucyk. Miałem 10 lat i to była miłość od pierwszego wejrzenia”, wspominał.

Włoski tenor od dziecka jeździ konno, traktując to jako formę terapii. W młodości mieszkał na terenach Maremmy tokańskiej, regionu o dawnych tradycjach pasterskich, i często tam wraca. „Koń jest dla mnie przede wszystkim symbolem wolności – idealnym towarzyszem, który pozwala na autentyczny i bezpośredni kontakt z naturą. Cenię jego inteligencję, sprawność fizyczną, zdolność do okazywania uczuć oraz do wy-czuwania i odzwierciedlania emocji ▶

► i nastroju jeźdźca”, mówił w jednym z wywiadów.

W maju 2021 r. Bocelli wziął udział w „pielgrzymce konnej” szlakiem Via Francigena – starożytną trasą pielgrzymkową. Wraz z grupą jeźdźców i amazońskich wyruszył z Rzymu do rodzinnego Lajatico w prowincji Piza. Wcześniej wraz z rodziną uczestniczył w prywatnej audyencji u papieża Franciszka. Tę „podróż duszy”, jak ją nazwał, odbywał przez ok. 20 dni. Etapy i trasa nie zostały ujawnione, by uniknąć tłumów, ale wyprawę dokumentowała amerykańska ekipa filmowa. Do uczestników dołączył Al Bano – przyjaciel Bocellego, także miłośnik konnych wędrówek. Wspólnie dotarli tak do Teatro del Silenzio w Lajatico.

30 lat kariery

W lipcu ub.r. Andrea Bocelli obchodził 30-lecie kariery. Z tej okazji odbyło się trzydniowe wydarzenie „Andrea Bocelli 30: The Celebration” w Teatro del Silenzio w Lajatico, transmitowane przez włoską

telewizję Canale 5. Podczas imprezy nakręcono film dokumentalny w reżyserii Sama Wrencha, zaprezentowany w październiku ub.r. na Festiwalu Filmowym w Rzymie, a następnie w kinach w Stanach Zjednoczonych i innych krajach.

Od 2006 r. Bocelli organizuje w rodzinnym mieście muzyczne widowiska z udziałem światowych gwiazd. Jubileuszowa edycja była szczególnie bogata i niezapomniana. Na scenie wystąpili m.in. Ed Sheeran, Russell Crowe, Brian May, Eros Ramazzotti, Elisa, Johnny Depp, Laura Pausini, Zucchero, Sofia Vergara, Matteo Bocelli, Virginia Bocelli, Janik Sinner, Lang Lang i wielu innych.

„Na początku martwiłem się obecnością tylu międzynarodowych gwiazd, ale wszyscy byli pełni radości. Po występach w backstage’u organizowaliśmy imprezy – panowała tam wesoła, przyjacielska atmosfera – wspominał artysta w rozmowie z rozgłośnią RTL. – Najzabawniejszy jest Ed Sheeran. Pewna anegdota wiąże się z naszym duetem »Perfect Symphony«. Wystą-

mi piosenkę, a ja zaśpiewałem ją po swoim, lżej. Gdy to usłyszał, stwierdził, że mu się nie podoba, wsiadł w samolot i przyleciał do mnie, żebym zaśpiewał tak, jak on chce. To świetny gość – utalentowany, skromny, sympatyczny i trzeźwo myślący. Spełniłem jego prośbę, choć nie obyło się bez pójścia na kompromis”.

W uznaniu zasług Andrea Bocelli został mianowany radnym ds. kultury i sztuki w Lajatico. Burmistrz Fabio Tedeschi wręczył mu także honorowe klucze do miasta. Żona artysty, Veronica Berti, otrzymała z kolei honorowe obywatelstwo.

Najbardziej znany włoski tenor, od trzech dekad łączący muzykę klasyczną i rozrywkową, prowadzi życie pełne pracy i wyzwań. Nie zatrzymuje się ani na chwilę. Koncerty na całym świecie, próby i podróże wypełniają jego dni. Zapytany, czego dziś pragnie najbardziej, odpowiada z uśmiechem: „Trochę wakacji, żeby odpocząć, ale... mam firmę – moje struny głosowe”.

Agnieszka Zakrzewicz

16-20 LIPCA 2025

KAMIENIOŁOMY KAZIMIERZ DOLNY

17 LIPCA

ZALEWSKI GRUBSON

KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA

THE DUMPLINGS ORKIESTRA SMOLIK // KEV FOX

18 LIPCA

MROZU LOR NOSOWSKA / KRÓL FISZ EMADE TWORZYWO

19 LIPCA

ORGANEK KALIBER 44 MYSLOVITZ • JUCHO DAWID TYSZKOWSKI

BILETY/KARNETY: TICKETCLUB.PL

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczek

Wołanie o przemoc

Końcówka kampanii prezydenckiej stronników i aliantów prawicowego kandydata stała pod znakiem jawnej pochwały przemocy, co powoduje, że bez względu na wynik wyborów obudziliśmy się w kraju śmiertelnie chorym. Kibolskiej biografii Nawrockiego nie dałoby się wybronić inaczej niż zmasowaną gloryfikacją tępej siły fizycznej i bandyckich obyczajów – było tego za dużo, w dodatku pomazaniec Kaczora ani myślał wypierać się chuligańskiej przeszłości i obstawał przy dumnym wspomnianiu bitewnych sukcesów.

Dopóki honorowe wartości „szlachetnej, męskiej walki w różnych modułach” doceniały publicznie pisowskie zakapiory w rodzaju Czarnka czy Jakiego, a zatem ludzie, którym z oczu patrzy mordobiciem, można było tylko wzruszać ramionami. Ale kiedy ustawkowe „me too” objęło także wyznania prezydenta ministranta, a nawet samego prezesa PiS, zrobiło się tak śmiesznie, że aż przerażająco. Zwłaszcza że Kaczyński sięgnął po ostateczność, powołując się na Abła, znaczy, lepszego brata, do którego śmierci osobiście się przyczynił: „Mój brat też w ustawkach, znaczy bójkach, brał udział i co?”. Wyobrażanie sobie żoliborskich bliźniaków biegających ze sztchetami po dzielni przerasta mnie pomimo mojego zamiłowania do metafizycznej dziwności istnienia.

W dziedzinie freak fightów mamy już zaorane, nikt nie wymyśli większego kuriozum. Ale kości zostały rzucone, niebawem nieformalnym hymnem naszej obolałej od ustawek Ojczyzny będzie pieśń autorstwa Olafa Deriglasoffa z kultowego „P.O.L.O.V.I.R.U.S.A”; refren leci tak: „Sztany, glany, chuj złamany, zęby wybite, łeb urwany. Sztany, szkity, chuj przebity, siedmiu rannych, dwóch zabitych”.

Kibole angielscy, niegdyś najbardziej zezwierzęceni w Europie, od lat skutecznie spacyfikowani zaporowymi cenami biletów na mecze Premier League, wyczuli sprzyjający klimat i w minioną środę dokonali rekonstrukcji historycznej na wrocławskim rynku, wzniecając bitwę na stoliki kawiarniane z fanami Betisu Sewilla. W prawackiej narracji na czas wojny potrzeba wojownikowego wodza, dlatego wydzierany gangus z bokserkim talentem, zbratany z przestępczym półświatkiem i gardzący dyplomatyką, jest prezydentem skrojonym na miarę potrzeby chwili. Gruntowne wykształcenie, doświadczenie polityczne, znajomość języków obcych, pochodzenie inteligentkie – to wszystko prawicowy populizm zapisał w głowach swojego elektoratu jako cechy

kompromitujące. Połowa Polaków chciała rządów Chama, a nie „establishmentowego pizdusia” – to jest koszt, z którego łatwo się nie wybudzimy.

Jeśli wybory wygrał Nawrocki, pozostaje mieć nadzieję, że Koalicja Obywatelska zewrze szyki, aby za wszelką cenę przez najbliższe dwa lata kibolski temperament nowego prezydenta mógł się wyrażać wyłącznie w zamaszystości gestu wet. Jeśli jednak wygrał Trzaskowski, idę o zakład, że z prawej strony natychmiast zacznie się narracja o sfalszowanych wyborach i nawoływanie do narodowej ustawki, wszak nawet obecny hymn tego nieszczęsnego kraju podjudza do zbrojnego odwetu: „Co nam obca przemoc wzięła, szabłą odbierzemy!”. Polska gotowa zmienić się w jedną wielką klatkę do walki wręcz i wnoż – jak się z tej klatki wydostać, wiedzieć chciałbym. Emigracja wewnętrzna

Polska gotowa zmienić się w jedną wielką klatkę do walki wręcz i wnoż.

to dobry pomysł, ale najbardziej pomaga nagłe *delirio amoroso* – Wenus ma większą masę od Marsa, zawsze sobie z nim poradzi.

Życzę zatem wszystkim czytelnikom, którzy właśnie zaczynają tydzień w przekonaniu o nowej okupacji, końcu demokracji i nieuchronnym upadku ojczyzny, aby się zakochali na umór. Jan Wiktor Lesman, znany powszechnie jako Brzechwa, zapytany niegdyś, jak udało mu się bez szwanku przetrwać w Warszawie hitlerowską okupację z tak wyraźnymi semickimi rysami bez ukrywania się, wyjaśnił, że wojny nie zauważył, bo był zakochany. Najpyszniejszą anegdotą jest historia jego pobytu na gestapo – zgarnięty został akurat, kiedy niósł ciastka do ukochanej, Niemcy po przesłuchaniu wypuścili go, ale już na ulicy spostrzegł, że zapomniał ciastek, wrócił więc do złowieszczonego gmachu, żeby je zabrać. Faszystowscy policjanci uznali, że żaden Żyd nie odważyłby się na coś takiego, chyba że obłąkany, a takich lepiej nie ruszać, bo to przynosi nieszczęście. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam, tylko miłość nas zbawi. Skoro naród tak faknie kontaktów fizycznych, pójdźmy z tą falą, ale w swoją stronę.

TEATR, KTÓRY WCIĄŻ SIĘ WTRĄCA

Teatr Powszechny w Warszawie obchodzi 80-lecie. Jego oblicze uformowali charyzmatyczni dyrektorzy

Tomasz Miłkowski

Początki sięgają 1944 r., kiedy na prawym brzegu Wisły rodziły się próby odbudowania w zrujnowanej stolicy zawodowego teatru. A teatr nie miał wówczas nic, grał pod ostrzałem artyleryjskim, mimo to powstał, dzięki usilnym zabiegom Jana Mrozińskiego, aktora obdarzonego talentem komicznym i łatwością nawiązywania kontaktu z widzami, przy tym rzutkiego organizatora. Jako szef referatu kultury miejskiej rady narodowej, a potem dyrektor sceny, zainaugurował działalność w ruinach warszawskiej Pragi, w końcowej fazie wojny.

Teatr m.st. Warszawy (tak wówczas się nazywał) pracował w budynku kina Syrena przy Inżynierskiej 4, gdzie już pod koniec listopada 1944 r. grano komedię Józefa Korzeniowskiego „Majster i czeladnik”. Z początkiem 1945 r. przeniósł się do kina Popularnego przy Zamowskiego 20. Budynek wypatrzył Mroziński. Po usilnych zabiegach (zgoda władz cywilnych i wojskowych) i prowizorycznym remoncie kino stało się siedzibą teatru. Premiera otwarcia, „Śluby panieńskie” Fredry w reżyserii Zygmunta Bończy-Tomaszewskiego, odbyła się 8 marca 1945 r. Czesław Kalinowski, który grał płacziwego Albina, wspominał ze wzruszeniem: „Teatr był drugim – nie, jedynym domem dla nas, którzy po tylu tragicznych przejściach i straceniu najbliższych

ludzi i domów, wróciliśmy do ruin Warszawy”.

Dla szerokiej publiczności

Wkrótce teatr obrał nazwę Powszechny jako adresowany do szerokiej publiczności. Znaczniejszą pozycję na mapie Warszawy zajął za czasów kierownictwa artystycznego Ireny Babel (1956-1963), która zastąpiła inscenizacją „Wojny i pokoju” Tolstoja (niemal 250 przedstawień), a potem Szekspirowskiego „Hamleta” z Adamem Hanuszkiewiczem w roli tytułowej (nawet cięty jak brzytwa krytyk Jan Kott oniemiał z zachwytem). I to Hanuszkiewicz potem jako dyrektor Powszechnego (1963-1970) wydzwignął ten teatr do rangi jednej z czołowych scen warszawskich. Wystawiał tu wzbudzające spory inscenizacje klasyki, m.in. szopkowe „Wesele” ze scenografią Adama Kiliana i z Wojciechem Siemionem jako Chochołem, adaptację „Przedwiośnia” Żeromskiego czy wzruszających „Kolumbów. Rocznik 20” Bratnego.

W 1970 r. rozpoczął się kilkuletni remont Powszechnego, po którym teatr wznowił działalność pod dyktando Zygmunta Hübnera „Sprawę Dantona” w reżyserii Andrzeja Wajdy. Dla sceny nastały dobre czasy. Dyrektor harmonijnie łączył wysokie aspiracje artystyczne z oczekiwaniami publiczności (np. „Lot nad kukułczym gniazdem”, „Zemsta”, „Gardierobiany” – wszystkie realizacje Hübnera). Skupił też wokół teatru

grono wybitnych reżyserów, scenografów, kompozytorów, a przede wszystkim zespół aktorski gwarantujący wysoki poziom przedstawień.

W nowe czasy Powszechny wszedł osierocony. Zygmunt Hübner zmarł 12 stycznia 1989 r., w tym samym roku teatrowi nadano jego imię. Po krótkim okresie przejściowym, kiedy dyrektorami artystycznymi byli Andrzej Wajda i Maciej Wojtyśko, kierownictwo artystyczne objął Krzysztof Rudziński, mianowany jeszcze przez Hübnera wicedyrektor, a po jego śmierci dyrektor naczelny. Za jego dyktando teatr zastąpił spektaklami z udziałem gwiazd: Krystyny Jandy, Joanny Szczepkowskiej, Joanny Żółkowskiej, Janusza Gajosa, Władysława Kowalskiego, Zbigniewa Zapasiewicza. Oferta repertuarowa poszerzyła się o współczesne komedie, ale i nową awangardową dramaturgię polską i obcą – terenem jej eksploatacji stała się utworzona przez Rudzińskiego nowa scena dla młodych, Garaż Powszechny, zaimprowizowana na zapleczu teatru, gdzie poddawano próbie m.in. rapowaną wersję „Tłenu” Iwana Wyrypajewa (reż. Małgorzata Bogajewska), „Podróż do wnętrza pokoju” Michała Walczaka w jego reżyserii czy „Porozmawiajmy o życiu i śmierci” Krzysztofa Bizia (reż. Tomasz Man).

Na Małej Scenie przedstawiono sporo kontrowersyjnych tytułów, dotrzymując kroku teatrom specjalizującym się w odkrywaniu nowej dramaturgii zachodniej, m.in. „Kalekę z Inishmaan” Martina McDonagha



w reżyserii Agnieszki Glińskiej i Władysława Kowalskiego czy „Powrót na pustynię” Bernarda-Marie Koltésa w reżyserii Anny Augustynowicz.

Specjalnością Powszechnego za dyrekcji Rudzińskiego stały się odkrywcze interpretacje klasyki, zwłaszcza inscenizacje Szekspira, np. „Król Lear” i „Wesołe kumoszki z Windsoru” w reżyserii Piotra Cieplaka, ale także „Balladyna” Słowackiego w reżyserii Jarosława Kiliana, z jaskrawo jarmarczną scenografią Adama Kiliana. W pamięci zapisały się Molierowskie „Szelmostwa Skapena” zrealizowane przez młody wówczas zespół Montownia.

Powszechny Rudzińskiego należał do najbardziej zapracowanych teatrów, grał często, dawał wiele premier na kilku scenach, ruszał w objazdy i miał publiczność. Ale mimo sukcesów frekwencyjnych i artystycznych zespół nie uniknął konfliktów wewnętrznych – tak wiele indywidualności w jednym miejscu stanowiło potencjalne zagrożenie, część gwiazd z teatru odeszła, pozostali wymogli na dyrektorze powołanie dyrektora artystycznego reprezentującego młode pokolenie – został nim Remigiusz Brzyk.

Nie przyniosło to uzdrowienia sytuacji, przeciwnie, konflikt się zaognił za sprawą niepoważnego „manifestu” nowego kierownika literackiego Roberta Bolesty. Artyści związani od lat ze sceną uznali manifest za

Powszechny stał się przestrzenią różnego rodzaju eksperymentów, nawet za cenę doświadczanych porażek.

obraźliwe wyzwanie. W rezultacie najpierw kierownik literacki, potem dyrektor artystyczny i na koniec naczelny zostali odwołani. Wbrew trudnościom, także finansowym, Rudziński do końca dyrekcji prowadził teatr nieustępujący poziomem realizacji najlepszym scenom stołecznym. Ostatnia jego premiera – „Albośmy to jacy, tacy” w reżyserii Piotra Cieplaka, osnuta wokół „Wesela” Wyspiańskiego – wzbudziła wiele emocji i przyniosła entuzjastyczne recenzje. To był teatr, który boleśnie się wtrącał w polską rzeczywistość.

Po tej trudnej, rozłamowej lekcji nowy dyrektor Jan Buchwald stanął przed zadaniem sanacji. Nawiązał do linii Hübnera, inaugurując dyrekcję premierą „Czarownic z Salem” w reżyserii Izabelli Cywińskiej (Hübner reżyserował ten ważny dramat Arthura Millera w Teatrze TV w 1979 r.), z wybitną rolą Zbigniewa Zapasiewicza. Odważnie sięgnął po najnowszą literaturę polską w spektaklu Waldemara Śmigasiewicza „Kieszonkowy atlas kobiet” według Sylwii Chutnik. Ten pozytywny trend został zatrzymany potrzebą ratowania substancji teatru, będącego w coraz gorszym stanie technicznym. Buchwald doprowadził do zasadniczej

przebudowy gmachu, który zyskał nowoczesne sceny i współczesny wystrój, łącznie ze zmienioną fasadą. Rekonstrukcja trwała cały sezon 2009/2010.

Po gruntownej przebudowie teatr rozbudził nadzieje na rzeczywiste odrodzenie. Prawdopodobnie wiedziony ideą nowoczesności Jan Buchwald w ostatnim sezonie swojej przedłużonej o rok kadencji wprowadził do repertuaru kilka pozycji dyskusyjnych, zaczynając niefortunnie sztuką „Kamień i popioły” Daniela Danisa (reż. Artur Urbański), a kończąc widowiskową klapą, którą okazała się „Casablanca” Michała Siegoczyńskiego. Ale w tym jednym sezonie zespół dał aż osiem premier. Publiczności spodobał się „Zły”

według powieści Leopolda Tyrmanda, grzeszący jednak świadomym nawiązaniem do komiksu. Na dobrą pamięć zasłużył „Komediant” Thomasa Bernharda (reż. Waldemar Śmigasiewicz) z kreacjami Kazimierza Kaczora i Krzysztofa Stroińskiego.

Teatr krytyczny

Po zmianie dyrekcji – w latach 2011-2014 Powszechnym kierował Robert Gliński – w programie widać było próbę zachowania równowagi – teatr nie tylko atakował wyobraźnię widza negatywnymi sygnałami, ale też odwoływał się do pogodniejszych aspektów życia, co poświadcza „Nieskończona historia” Piotra Cieplaka. Z kolei wyrazem konfrontacji z brutalnością świata były monodram Tomasa Błasiaka według „Sebastiana X” Larsa Noréna (reż. Grażyna Kania), adresowany do młodzieży i stawiający pytania o źródła przemocy, oraz nowa adaptacja „Zbrodni i kary” Fiodora Dostojewskiego (reż. Waldemar Śmigasiewicz), poddająca wiwisekcji wirus zabójstwa.

Sezon 2014, choć zdecydowanie lepszy – np. komedia Hanocha Levina „Jakobi i Leidental” w reżyserii Marcina Hyncara z wyśmienitą rolą ▶

► Edyty Olszówki – okazał się ostatnim pod kierunkiem Glińskiego, który złożył rezygnację. Od nowego sezonu teatr objęli Paweł Łysak jako dyrektor artystyczny i Paweł Sztarbowsky jako jego zastępca ds. programowych, nawiązując do idei Zygmunta Hübnera (teatr, który się wtrąca).

W ich pierwszym sezonie przyniosło to dyskusyjne rezultaty. „Dzienniki Majdanu” według Natalii Worobyt (reż. Wojtek Klemm) czy adaptacja „Lalki” Prusa (reż. Wojciech Faruga) przyjęte zostały z rezerwą, ale zainteresowanie wzbudziły „Szczury” według Gerharta Hauptmanna w inscenizacji Mai Kleczewskiej, która umiejętnie wplotła do spektaklu losy emigrantów zarobkowych z Ukrainy.

O ile pierwszy sezon nowej dyrekcji można określić jako czas przegrupowania sił i środków, o tyle następne miały przynieść autentyczny przełom, czyniący z Powszechnego jeden z najważniejszych ośrodków teatru krytycznego.

Klimat wokół teatru budują nie tylko premiery, ale w równej mierze debaty o kulturze i wspólne zagłębianie się w praskie zakamarki.

Drogę ku temu torowały głośne prapremiery, szczególnie legendarny faktomontaż Siergieja Tretiakowa „Krzyżcie, Chiny!” w reżyserii Pawła Łysaka (2015). Młodzi widzowie oblegali transowy dramat Iwana Wyrypajewa „Nieznosnie długie objęcia” w reżyserii autora czy „Wściekłość” Elfriede Jelinek (reż. Maja Kleczewska). Wszyscy ulegli magii „Ksiąg Jakubowych” Olgi Tokarczuk, nawet jeśli inscenizacja Eweliny Marciniak prowokowała różne opinie.

Klimat wokół Powszechnego budowały nie tylko premiery, ale w równej mierze debaty o kulturze, jej zagrożeniach i przyszłości, spotkania z twórcami i wspólne wgłębianie się w praskie zakamarki. Tworzyły go także ważne spektakle gościnne stawiające kluczowe pytania o kondycję człowieka XXI w. Owacjami na stojąco widzowie dziękowali aktorom Teatru im. Węgierki z Białogostoku, którzy gościli z mocnym spektaklem o recydywie postaw

ksenofobicznych „Biała siła, czarna pamięć” (reż. Piotr Ratajczak). Równie gorąco przyjęte zostały spektakle Maxim Gorki Theater z Berlina, prezentowane podczas zorganizowanego przez Powszechny festiwalu „Miało szczęśliwe”.

Tymi spektaklami – własnej produkcji i zapraszanymi, a także obecnością w zespole aktorów pochodzących z zagranicy – teatr próbował nie tylko oswoić widzów z „innymi”, ale również przekonać, że bez „obcych” świat zastęglby w przestarzałych formach, pozbawiony odwagi tak potrzebnej, aby zmieniać rzeczywistość.

Nowe inspiracje

Wyrazem tej odwagi stała się premiera „Kłątwy” Olivera Frlijicia w 2017 r., po której wybuchła burza. Buntownicze przedstawienie spowodowało ataki na teatr, który wyglądał jak oblężona twierdza – wstępu do budynku pilnowali ochroniarze.

małej scenie?” Łysaka) i spektakle drążące mroczne zakamarki najnowszej historii („Sprawiedliwość” Zadari). Wszystko to składało się na spójny program teatru krytycznego, który konfrontował się z najbardziej palącymi problemami współczesności.

Tę bezkompromisową linię programową wsparł Krystian Lupa, dając dwie ważne premiery: „Capri – wyspa uciekinierów” i „Imagine”. Arcydzieła Lupy stanowiły mocny akcent repertuaru Powszechnego, do których doszła współprodukcja jego „Procesu” według Franza Kafki.

Osobne miejsce zajmowały poszukiwania formalne, związane z rzeczywistością wirtualną. Prowadził je m.in. Krzysztof Garbaczewski, autor kilku spektakli-instalacji z wykorzystaniem nowych technologii w czasie rzeczywistym („Nietota”, „Boska komedia”). Powszechny stał się przestrzenią różnego rodzaju eksperymentów, nawet za cenę doznawanych porażek, umacniając pozycję teatru otwartego na nowe inspiracje.

Tak się złożyło, że jubileuszowy sezon zamyka 11-letnią dyrekcję Pawła Łysaka, który kończy ją jako reżyser zaskakująco inscenizacją „Wiśniowego sadu” Antona Czechowa. Legendarny dramat toczy się w przestrzeni zagrożenia, w utrzymanych w szarościach dekoracjach Roberta Rumasa, wypranych z bezpośrednich odniesień politycznych. Z tekstu zniknęły niemal wszystkie ślady rosyjskiej tożsamości, nazwy i nazwiska, aluzje kulturowe. Ten świadomy zabieg pozbawia dramat nalotu opresji. W czasach agresji rosyjskiej w Ukrainie samo wystawienie Czechowa mogłoby budzić obawy, że kultura rosyjska stanowi dla niej alibi. Łysak ucieka od takich skojarzeń, dając spektakl uniwersalny.

Ten mocny akcent potwierdza i tym razem, że teatr się wtrąca. Cóż, hasło wyciągnięte przez Łysaka na fasadę gmachu towarzyszy tej scenie od czasów Adama Hanuszkiewicza. Można się spodziewać, że myśl przewodnia zostanie podjęta przez Maję Kleczewską, współtworzącą treść teatru krytycznego, a od 1 września obejmującą dyrekcję placówki przy Zamoyskiego.

Tomasz Mitkowski

NA EKRANACH

Mission: Impossible – The Final Reckoning

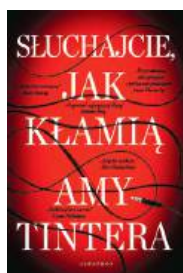
reż. Christopher McQuarrie, prod. USA, już w kinach



Tom Cruise powraca jako Ethan Hunt. Ósma część łączy wątki z poprzednich i rozlicza Hunta z jego wcześniejszych wyborów. Brzmi jak szpiegowski finał, ale niech was nie zwiedzie atrakcyjny punkt wyjścia – fabuły w tym epizodzie praktycznie nie ma. Hunt walczy z morderczą AI i robi wszystko, aby nie dopuścić do końca świata. Zgadza się, oglądaliśmy to już setki razy, ale genialne jest przedstawienie scen akcji, w których pierwsze skrzypce od początku do końca gra Cruise. Prawdopodobnie to ostatni tego typu film: nastawiony na akcję z prawdziwego zdarzenia, będący pełnoprawnym blockbusterem, który powstał tylko po to, aby zadowolić widzów i fanów. „The Final Reckoning” wciąż ma „to coś”, chociaż odstaje od poprzednich części.

Jan Tracz

MIĘDZY OKŁADKAMI



Amy Tintera

Słuchajcie, jak kłamią

tłum. Magdalena Słysz

Albatros, Warszawa 2025

Czy Lucy Chase zabiła przyjaciółkę? Nie wiem, nie wnioskuję, ale lepiej nie mieć z nią nic wspólnego – tak reagują niektórzy. Inni, zwłaszcza w jej rodzinnym miasteczku, są pewni: to morderczyni, która zasłania się niepamięcią. A jaką zgryzotę ma jej obecny facet – uświadomił sobie, z kim dzieli życie, gdy podcaster z gatunku true crime postanowił po latach odrzebać tę sprawę. Skoro i tak wszystko się posypało, a babcia domaga się jej obecności na 80. urodzinach, Lucy wraca do domu, stawia czoła przeszłości. Sarkastyczna bohaterka, która co rusz w myślach przymierza się do ukatrupienia kogoś, budzi wbrew temu żywą sympatię. Wszystko, co przemawia na jej korzyść, chłonie się więc z nadzieją, ale tropy prowadzą w różnych kierunkach. A podcaster umie się dogrzebać zaskakujących rzeczy. Amy Tintera dotychczas pisała dla młodych dorosłych, ta książka jest dla dorosłych bezprzymiotnikowych. Przymiotników pochwalnych za debiut w wyższej kategorii wiekowej można by jej wypisać cały ciąg, w pełni zasługuje.

Aleksandra Pańko

Marcel Beltran, David García Cames,
Miguel Ángel Ortiz**Kafka na Maracanie**

tłum. Barbara Bardadyn

SQN, Kraków 2025

Jak wiadomo, piłka nożna jest najważniejszą wśród rzeczy nieważnych. Równie istotna jest literatura – forma odczuwania świata. I oto mamy dzieło, które łączy te dwie rzeczy poruszające duszę, zbiór wspomnień o historycznych meczach, osobach i zdarzeniach w piłce nożnej. To 95 meczów, które przeszły do historii sportu, w tym te fundamentalne, „ogłądane” przez takie osoby jak Pablo Picasso, Bob Marley czy Marilyn Monroe. W polskim wydaniu mamy też rozdziałiki napisane przez polskich dziennikarzy o krajowych znakomitościach. Nie brakuje więc takich postaci jak Wojciech Kuczek, Jerzy Pilch czy Karol Wojtyła. Książka eksploruje granice między rzeczywistością a fikcją, oferując czytelnikom doskonałą, fascynującą roz(g)rywkę, bo jeśli są futbol i książki, to reszta jest nieistotna.

Rafał Pikuta

NA POWAŻNIE

Ludzki i łaskawy cesarz

Opera „Łaskawość Tytusa” to ozdoba Festiwalu Mozartowskiego, który odbywa się w Warszawie do 29 czerwca. Historia ta w sposób bardzo atrakcyjny i przystępny ukazuje sytuację, gdy podważa się modny schemat, że każdy występik trzeba ukarać surowo, tj. śmiercią. W przedstawieniu z finezyjnie zaprojektowanymi kostiumami mamy wykonawców z Niemiec, Włoch, Bułgarii i Polski.

Bronisław Tumiłowicz



Wolfgang Amadeusz Mozart, „Łaskawość Tytusa”,
reżyseria Anna Sroka-Hryń, dyrygent Benjamin Bayl,
Warszawska Opera Kameralna, premiera 8 maja 2025

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

NIE TYLKO KOMARY



**MESZKI
SĄ NAJAKTYWNIJSZE
WIECZOREM,
NAJCHĘTNIEJ ATAKUJĄ
W MIEJSCACH SŁABO
NASŁONECZNIONYCH**

Stefan Niesiołowski

W wielu rejonach, zwłaszcza nad wodami, na łąkach, w zacienionych, wilgotnych lasach, a czasami na podmiejskich działkach lub w centrach miast, atakują nas drobne owady, prawie zawsze uważane za komary. Bardzo często jednak chodzi o owady zupełnie inne, także należące, jak komary, do rzędu muchówek (*Diptera*), nieraz kuczmany (*Heleidae*), bardzo drobne – to te przypadki, gdy coś nas pogryzło, a nic nie widzieliśmy – i przede wszystkim nieco większe meszki (*Simuliidae*). Samice meszek odżywiają się krwią ptaków i ssaków (również ludzi). Mogą przenosić wiele chorób i pasożytów, a ich ślina bywa toksyczna, co przy masowym ataku może doprowadzić do śmierci ofiar.

Meszki to nieduże (2-5 mm), na ogół gęsto owłosione, ciemne owady występujące we wszystkich prawie regionach kuli ziemskiej. Mimo stosunkowo dużej liczby gatunków prezentują jednolity typ budowy. W Polsce żyje ok. 50 gatunków meszek, na świecie ok. 1 tys. i ciągle opisywane są nowe. Ich stadia przedimaginalne, czyli larwy i poczwarki, żyją tylko w wodach

bieżących, zarówno w wolno płynących wielkich rzekach, jak i na odcinkach źródłowych potoków, w małych strumieniach i wodospadach. Unikają wód zanieczyszczonych i dlatego są organizmami wskaźnikowymi czystości wód bieżących.

W ostatnim czasie w związku z poprawą czystości wielu rzek w Polsce meszki pojawiają się coraz częściej, nieraz masowo, w miastach leżących nad rzekami. W miesiącach wiosennych np. sygnalizuje się masowe występowanie meszek w Warszawie. W przeciwieństwie do meszek larwy i poczwarki komarów żyją wyłącznie w wodach stojących lub bardzo wolno płynących, najczęściej w małych zbiornikach, nawet w naczyniach na deszczówkę, wysychających kałużach, stawach, kanałach i na terenach bagiennych.

Larwy meszek są beznogie, a pod względem ubarwienia przypominają podłoże. Za pomocą specjalnej przyssawki na końcu ciała, złożonej z wieńca haczyków, przyczepiają się najczęściej do wodnych roślin, kamieni i różnego rodzaju przedmiotów pod wodą. Larwa przytwierdza się do podłoża za pomocą wydzieliny gruczołów przednich. Gruczoły te produkują też długą nić, dzięki której larwa penetruje teren, nie odrywając

się od podłoża. Niektóre gatunki meszek w Afryce przyczepiają się do krabów i krewetek. Znany jest także przypadek żyjących w Tadżykistanie larw meszki *Simulium ephemero-phylum* przyczepiających się do larw jętek z rodzaju *Baetis*.

Za pomocą specjalnego aparatu filtracyjnego złożonego z kilku rzędów różnej wielkości szczecin przypominających wachlarz larwy filtrują wodę i wychwytyują zawieszoną organiczną złożeń z detrytus (martwa materia organiczna), bakterii, glonów (głównie okrzemek), tzw. seston. Mogą one także zeskrobywać pokarm, głównie glony, z podłoża. Robią to zarówno larwy mające aparat filtracyjny, jak i pozbawione go z rodzajów *Twinnia* czy *Gymnopais*. Larwy meszek pożerają również drobne larwy owadów wodnych, przede wszystkim z rodziny *Chironomidae*, choć są to przypadki dość rzadkie. Generalnie odfiltrowują one wodę, przyczyniając się do jej oczyszczania.

Larwy mają jednak zdolność przemieszczania się, np. gdy podłoże, do którego są przyczepione, wynurza się z wody w warunkach suszy. Do przemieszczania się w środowisku służy nieparzysty wyrostek w części tułowiowej, tzw. noga, lecz ich zdolności migracyjne są ograniczone.

Charakterystyczne dla nich jest tworzenie olbrzymich skupisk, zwłaszcza na podwodnych roślinach w nurcie wody. Czasami na 1 cm kw. powierzchni liścia znajduje się ponad 200 larw pokrywających grubą warstwą zanurzone rośliny.

Jak większość larw muchówek wodnych larwy meszek są apneustyczne, czyli oddychają całą powierzchnią ciała. Na końcu ciała mają pierzaste wyrostki nazywane skrzelami analnymi, ale służą one przede wszystkim do osmoregulacji, czyli regulacji ciśnienia komórkowego.

Różne gatunki meszek zasiedlają różne środowiska. Istnieją gatunki charakterystyczne dla potoków górskich, wysokogórskich, a nawet wodospadów, dla rzek podgórskich i dużych rzek nizinnych. Jednak najczęściej larw rozwija się w średniej wielkości rzekach nizinnych, takich jak Warta, Odra, Bug, Wieprz czy Widawka. Jeden gatunek *Simulium sedecimfistulata* znaleziony w Puszczy Kampinoskiej jest endemiczny, czyli występuje tylko w tym regionie.

W Polsce żyje ok. 50 gatunków meszek, na świecie ok. 1 tys. i ciągle opisywane są nowe.

Po kilku tygodniach, chociaż czas ten jest bardzo różny u różnych gatunków i uzależniony od pory roku – u larw zimujących to czasami sześć-osiem miesięcy, w pokoleniach letnich kilka tygodni – larwy przepoczwarczają się. Te zimujące są wyraźnie większe od larw następnych pokoleń, a w konsekwencji większe są także postacie uskrzydłone pierwszej generacji. Poczwarki znajdują się w kokonie przedzonym przez larwę. Owady dorosłe, czyli postacie uskrzydłone (stadia imaginalne), wylatują z wody i żyją kilka tygodni. Samice niektórych gatunków są krwio pijne, z kolei samce nie pobierają pokarmu lub odżywiają się sokiem roślinnym. Po opuszczeniu wody meszki gromadzą się na nadbrzeżnych roślinach, czasami wręcz je oblepiają. Samice gatunków krwio pijnych po krótkim czasie odlatują w poszukiwaniu żywicieli, nawet do 20 km od miejsca wylęgu. W przypadku

gatunków niekrwio pijnych nie stwierdzono takiego zjawiska.

Generalnie meszki są najaktywniejsze wieczorem, przed zachodem słońca, a w mniejszym stopniu rano. Najchętniej atakują w miejscach słabo nasłonecznionych, przy temperaturze powietrza 14-24 st. C, średniej wilgotności i słabym wietrze. Gdy temperatura spada poniżej 7 st. C, aktywność meszek maleje. W dni deszczowe i zimne meszki chowają się w zaroślach i na drzewach, siadając na spodniej stronie liścia, a także, chociaż mniej chętnie, wśród roślinności łąkowej. Liczebność różnych generacji jest różna, na ogół najwyższa wśród generacji wiosennych.

Krwio pijność niektórych gatunków zależy od warunków życia larw. Są to tzw. gatunki krwio pijne fakultatywne. W zależności od temperatury wody, w której rozwijały się larwy, szybkości prądu i stopnia zanieczyszczenia oraz ilości substancji odżywczych zgromadzonych przez larwy, same uzupełniają zapasy białek i węglowodanów

niezbędnych do wyprodukowania jaj. Od tego zależy, czy muszą odżywiać się krwią. Stąd wynika różnicowanie pod względem stopnia agresywności tych samych gatunków meszek w różnych regionach. Jedne populacje są krwio pijne, drugie nie. W niektórych miejscach warunki życia larw były gorsze i wyklute z nich samice muszą uzupełnić zapasy substancji odżywczych, gdzie indziej nie jest to konieczne.

Meszki tworzą roje setek, a nawet tysięcy osobników i atakują najbardziej miękkie, wrażliwe części ciała ofiary, przede wszystkim podgardle, uszy, szyję i brzuch. Wchodzą w oczy, uszy i do nosa, co wywołuje niepokój zwierzęcia, bieganie w koło i chaotyczną ucieczkę. Owłosienie i grubość skóry nie stanowi przeszkody, gdyż meszki wykorzystują znajdujące się w skórze naczynia włosowate. Krew pobierają nie tak jak komar, który ma do dyspozycji „igłę”

w kształcie strzykawki, ale rozszarpując naczynie krwionośne żuwaczkami i zlizując krew aparatem gębowym.

W przypadku masowego występowania meszek zwierzęta na pastwisku są praktycznie bezbronne. Śmierć krowy następuje przy ok. 20 tys. nakłuć. Przyczyną śmierci może być też mechaniczne zablokowanie oddychania z powodu opuchnięcia górnych dróg oddechowych. Przede wszystkim zaś do śmierci prowadzi jad, który znajduje się w ślinie przedostającej się do rany podczas pobierania krwi. W jej skład wchodzi proteaza, które w niekontrolowany sposób rozkładają białka. Toksyny w ślinie oddziałują również na węgetatywny układ nerwowy. Efektem pokąsania przez meszki jest „choroba meszkowa”. Jej objawy u ludzi to opuchnięcie zaatakowanych miejsc, podwyższona temperatura, bóle, złe samopoczucie, dreszcze i wymioty. Niekiedy wymaga ona leczenia szpitalnego. Przypadki śmierci ludzi po ataku meszek, co prawda już dawno, miały miejsce w Kanadzie, na Syberii, Alasce i Bałkanach.

W Polsce wielokrotnie zdarzały się masowe kłęskowe pojawy meszek, które prowadziły do padnięcia wielu zwierząt, głównie krów, rzadziej koni. Sygnalizowano także uciążliwość meszek dla ludzi, ale często uznawano je za komary. W niektórych regionach meszki regularnie występują masowo, szczególnie w okolicach środkowej Warty, Konina, Gorzowa Wielkopolskiego, na Mazurach i Pomorzu Zachodnim.

Dla ludzi pokąsanych nad jeziorami, rzekami czy na łąkach lub działkach nie ma jednak większego znaczenia, jak nazywają się owady, które ich pogryzły. Kilkakrotnie byłem proszony o stwierdzenie, jakie to owady praktycznie uniemożliwiały siedzenie w ogrodzie. Okazywało się, że meszki. Ale trzeba im oddać, że jak wszystkie wodne zwierzęta odgrywają rolę w funkcjonowaniu ekosystemów, w niektórych istotną. Są pokarmem wielu gatunków i same pochłaniają znaczne ilości materii organicznej.

Stefan Niesiołowski jest entomologiem, nauczycielem akademickim, profesorem nauk biologicznych

Koziołek Matołek
jest kochany
przez dzieci.
Za to niekoniecznie
przez wszystkich
dorosłych

Marek Górlikowski

Sukces ma wielu ojców, Koziołek Matołek ma ich trzech. Począyna się w kawiarni. Nie ma jeszcze kształtu, imienia, jest pragnienie. Jan Gebethner z Marianem Walentynowiczem przy stoliku kawiarni Lourse'a w Hotelu Europejskim dochodzą do wniosku, że trzeba wydać w Polsce historię obrazkową. Późniejsze wydarzenia wskazują, że musi to być wiosna lub jesień 1932 r. (...)

Jan Gebethner nie chce patriotycznej agitki, chce zarobić. Rok 1932 to wielki kryzys, bezrobocie, upadki firm, rok wcześniej z powodu bankructwa samobójstwo popełnia warszawski księgarz Jakub Mortkowicz, znajomy Gebethnera. Ale 1932 to też rok filmowej nagrody Oscara dla Walta Disneya za animowaną „Myszki Miki”. (...) Gebethner chce sprawdzić, czy i w Polsce to się może udać, na razie na papierze. Ma rysowników, ma tekściarzy, ma wszystko.

Duet Walentynowicz-Makuszyński zna się z pracy dla Gebethnera przy książkach Makuszyńskiego. No i zna się z kawiarni. Kornel nazywa Marysia „Walenty”, Maryś niezbyt lubi Kornela. (...) Po schadzce w Hotelu Europejskim Gebethner z Walentynowiczem jadą do sanatorium w Otwocku, gdzie Makuszyński siedzi przez cukrzycę. Od tego momentu nie ma jednej wersji, jak powstało słowo i jak ciałem capa się stało.

Marian Walentynowicz: „Przed przystąpieniem do pracy nad książeczką ilustrowaną szukaliśmy przy butelce wina bohatera. Koty i psy odpadały jako zbyt często używane. Ptaki były mało fotogeniczne, konie

FINEZJA SMĘTKU TEJ KOZIEJ MORDY



Ilustrator Marian Walentynowicz.

niezgrabne jako ludzie i za duże. Tak samo krowy. Po długich poszukiwaniach podsunąłem mu jedno słowo: »koziołek«. Powiedział Kornel: »Koziołek Matołek, Pacanów«. (...) Na trzeci dzień przyniósł do wydawnictwa gotową książeczkę”. (...)

Janina Gluzińska-Makuszyńska, żona Kornela: „Kornel był w sanatorium w Otwocku, podleczał swoją cukrzycę. I tam odwiedzili go pewnego dnia Walentynowicz z Gebethnerem, namawiając do napisania pierwszego w Polsce komiksu dla dzieci, a gdy mąż wydawał się niezbyt przekonany, przypomnieli mu o zalewie »dziecięcej szmiry«. Komiks wtedy w latach 30. stawał się w Polsce modny, był już Pat i Patachon, Flip i Flap, Dodek i Lopek. Kornel był niezwykle wrażliwy na poziom języka książek dziecięcych i tych, które mogły łatwo z braku innej literatury

dziecięcej wpaść w ręce. Zgodził się. Długo deliberowali nad bohaterem. Zwierzątko? Ale jakie? Pies? Kogut? Może koziołek? Koziołek Matołek – zawołał Kornel. To świetny pomysł”.

Czy spisał przygody Matołka w trzy dni, jak pamięta Walentynowicz? Raczej niemożliwe, ale i tak duże wrażenie robi na mnie mała liczba skreśleń w starannie napisanych w poprzek strony zwrotkach, przechowywanych w Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem. Zwykle kartki w linie, jak w zeszytach szkolnym do pierwszej klasy z polskiego. A tam pierwszy tytuł: „Szalone przygody Koziołka Matołka”. Skreślony, autor zmienia go na „120 przygód Koziołka Matołka”.

Wchodzi nawet w paradę Marysiovi, bo rysuje projekt pierwszej strony, między zwrotkami kreśli piórem portrety Matołka i jego rodziców.

Poniżej w ośmiu zwrotkach kozia saga: ojciec – cap Wojciech Broda i żona Koziołkówna: „Mieli syna cud kozłatko / Co sam włożył już na stół / Beczał pięknie, był roztropny / A na imię miał Matofek”.

Ambitni rodzice wysyłają go do kowala do Pacanowa, by wrócił podkuty, tak spełni ich oczekiwania, a jemu przybędzie chwały. Matofek przez 117 lat wędruje po świecie, a dzieci mogą to zobaczyć i przeczytać o tym na dalszych stronach.

A jednak i tę część Makuszyński wyrzuca jak pierwszy tytuł. Ale „powieść drogi” pozostaje. Pacanów też, Matofek idzie się tam podkuć, jednak nie dla ambicji rodziców, tylko by inne kozy wiedziały, czy da się to przeżyć.

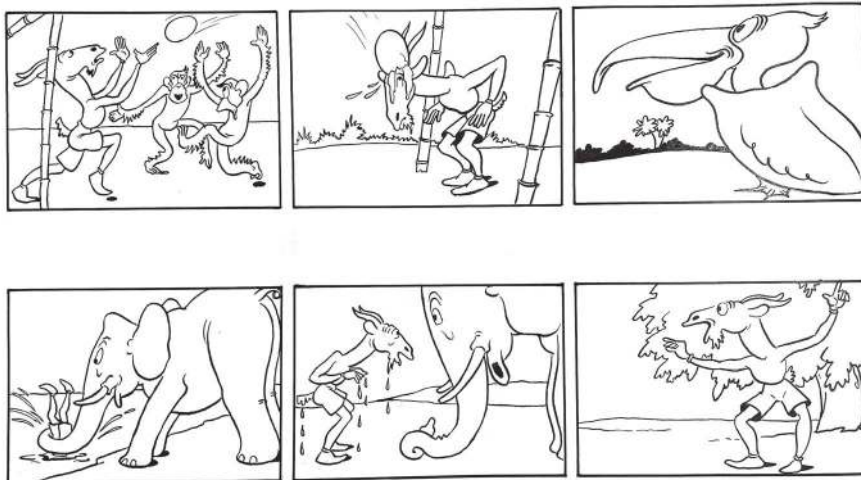
I rusza rollercoaster przygód, warunek konieczny dobrego filmu akcji. Zasada zawsze ta sama: bohater w przerażających kłopotach, a jednak szczęśliwe wyswobodzenie, znowu niespodziewane kłopoty, znowu nieoczekiwany ratunek – i tak na przemian do szczęśliwego końca. (...)

Poziomy kolorowy 24-stronicowy album z sześcioma obrazkami na każdej stronie to był hit. Do 1932 r. tak wydanej książeczki dla dzieci w Polsce nie było, jeśli wydano coś w kolorze, to z jednym obrazkiem na stronie, a nie kilkoma składającymi się na historię. A jeśli ukazywała się historia obrazkowa, to czarno-biała i tylko w gazecie.

Jerzy Szyfak, literaturoznawca, scenarzysta komiksowy: – Panowała opinia, że książka jest czymś lepszym od komiksu, który ukazywał się w zwykłej gazecie, był tani i na niższym poziomie. Wydając to w formie książki, od razu to nobilitowali. To już nie jest gazetowa popierdółka, tylko dzieło skończone. A jeszcze „Koziołka Matofka” można było kupić wyłącznie w księgarniach, a nie w zwykłych kioskach. (...)

Walentyńowicz do postaci i drugich planów używa kredek. Stosuje podstawową zasadę komiksu: zbliżenia, a więc wszystko, co ważne, przysuwa w kadrze do oka widza. (...)

Adam Rusek, historyk komiksu: – W gruncie rzeczy „Koziołka Matofka” można czytać bez rysunków i się



Szkic do komiksu o Koziołku Matofku.

pojmie, o co tam chodzi. Ale kto by to chciał czytać bez rysunków? Te rysunki stanowiły magnes, który decydował o powodzeniu Kozła Matofa.

40 lat później Papcio Chmiel, autor „Tytusa, Romka i A'Tomka”, gdy zobaczy w gazecie „Świat Młodych” komiks „Jonka, Jonek i Kleks” Szarlota Paweł, nazwie ją „Walentyńowiczem w spódnicy”. „To miał być komplement, ale zrobiło mi się wtedy trochę smutno, ponieważ nie lubiłam rysunków Walentyńowicza, bo to kiczem i Disneyem załatwywało”, powie „Polityce” Paweł.

Adam Rusek: – Komplement? Szarlota Paweł nie rysowała rewelacyjnych komiksów, nie oszukujemy się. Papcio Chmiel nie cenił Walentyńowicza, powiedział mi kiedyś, że Szarlota go naśladowe, bo rysuje tak charakterystycznie stopę, że pięta odstaje. Ja uważam Walentyńowicza za artystę. Ale często, kiedy chciał szybko zarobić, stawał się rzemieślnikiem. Na pewno w „Koziołku Matofku” widać inspiracje Disneyem, lecz nie kopiowanie. (...) Walentyńowicz rysował doskonale w różnych stylach, mógł skopiować Disneya, ale nie zrobił tego, Matofek to jego własna kreska.

Jerzy Szyfak, literaturoznawca: – To nie słowo tu kupiło czytelników, tylko jego obrazek.

Makuszyński pewnie by się z tym nie zgodził, jak nie zgadzał się od razu, by słowo podporządkowywać obrazkowi.

Marian Walentyńowicz: „Nie cierpiał poprawek, musiałem z nim staczać boje o strofki, w których wprowadzał np. 10 słoń. Tłumaczyłem Mu, że dzieci będą liczyć, więc muszę te 10 słoń narysować, a rysunek jest mały, mało w nim miejsca i zresztą po co przysparzać mi tyle roboty. Był wtedy zły i z trudem przebagałem Go, aby poszedł mi na rękę. Od ręki zmieniał strofkę, ale był wściekły”.

Na pierwszym wydaniu „120 przygód Koziołka Matofka” widnieje data „1933 rok”, ale album trafia do księgarni specjalnie przed świętami Bożego Narodzenia, 28 listopada 1932. Idealny prezent pod choinkę. Koziołek jest promowany w radio, Makuszyński na dziesięć dni przed świętami opowiada dzieciom, jak go spotkał i usłyszał jego przygody, pojawiają się artykuły, nie tylko w gazetach wydawnictwa Gebethnera i Wolffa. „Kurier Nowogródzki” uznaje komiks za najlepszy gwiazdkowy prezent. „Wiadomości Księgarskie” drukują połączone kadry z rysunkami Walentyńowicza, bez słów Makuszyńskiego. Reklama zapewnia: „Można sobie wyobrazić, co wynikło, gdy najdowcipniejszy pisarz i najdowcipniejszy rysownik zapragnęli sprawić dziecku radość na Gwiazdkę. (...) każdy rysunek i każdy wiersz to salwa śmiechu, i to nie tylko dziecka, ale najbardziej zatwardziałego dorosłego melancholika”. (...)

Marian Walentyńowicz: „Gdy wydawca zażądał następnego tomu, ▶

znow poszła butelka wina. Zdecydowaliśmy postać Koziołka Matołka do wojska. Ale tu wyszło lenistwo Kornela, wojsko było dla niego obcym tematem, nie chciał się nad nim wysilać, z tego powodu już na szóstej czy siódmej stronie Koziołka z wojska wyrzucono. Napisał i ten tom tak bardzo szybko, że nie zdążył się ze mną naradzić, o czym postanowiliśmy uprzednio. Stałem wobec faktu dokonanego”.

„Druga księga przygód Koziołka Matołka” jest gotowa w kwietniu 1933 r. na Święta Wielkanocne. Trzecia księga – na Boże Narodzenie 1933. Ma być ostatnia. Matolek dociera w niej do Pacanowa, przedtem jeszcze ulega wypadkowi, myśli, że nie żyje, i spisuje testament: Makuszyńskiemu zapisuje czerwone spodnie, Walentynowiczowi rękawiczki i buty. W Pacanowie okazuje się, że cała wyprawa jest bez sensu, bo „kozy”, które kują, to nie zwierzęta, lecz kowale o nazwisku Koza.

Skąd taki pomysł? Pochodzenie przysłowia: „W Pacanowie Kozy kują”, wyjaśnia w październiku 1932 r. w „Przewodniku Wrzesińskim” Stanisław Wasylewski, kolega Makuszyńskiego z ławy szkolnej (...). Pacanowscy kowale o nazwisku „Koza” słynęli ze zręczności tak wielkiej, że doczekali się przysłowia. Makuszyński musi znać tekst Wasylewskiego, bo sam też w „Przewodniku Wrzesińskim” publikuje.

Koziołek osiada w Polsce kochany przez dzieci. Za to niekoniecznie przez wszystkich dorosłych.

Wanda Borudzka, sama pisząca utwory dla dzieci, spodziewając się, że trzecią częścią przygód autorzy kończą cały cykl, podsumowuje w „Wiadomościach Literackich”: „Są to przygody nie tylko matołki, ale przede wszystkim dla matołków. Dobrze wiemy, jak dzieci za tą książką szaleją i ile stąd przyjemności doznaje nakładca. Mimo to jest to brukowiec w typowej postaci. Jeśli nie seksuologiczne mordy, włamania, kradzieże, to przynajmniej skoki do środka ziemi, padanie na tęb



Komiks już w kolorze.

do wody, obcinanie i porastanie bród (...), dowcipy związane z funkcją siadania (kleszcze raka w ogonie itp.). (...) Szczęściem już koniec. Matolek wrócił do Pacanowa (z którego bodajby był nie wyrza!). Walentynowicz musi wiernie naśladować matołkę skoki tekstu. Myli się jednak, jeśli przypuszcza, że dzieci przeniknęły finezję smętku tej koziej mordy”.

Już jako mały chłopiec zauważyłem na końcu każdej księgi „Koziołka Matołka” zapisane przez Walentynowicza tajemnicze liczby. W ostatnim kadrze wydanej po wojnie księgi czwartej jest to np. liczba 1440. Adam Rusek, który jest największym znawcą komiksu w Polsce, uważa, że Walentynowicz w ten sposób zapisywał liczbę namalowanych przez siebie oryginalnych kadrów przedruków, czyli rycin.

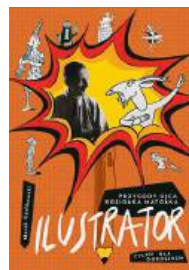
Dokładne dane o nakładach „Koziołków Matołków” przed wojną nie są znane: badacze historii komiksu spierają się, czy było to sześć czy pięć wydań

„120 przygód...”, pozostałe księgi miały po cztery lub pięć wznowień. Ale nawet gdyby przyjąć po cztery wydania każdej z książeczek sprzedane przed wojną w dziesięciotyśięcznym nakładzie, daje to w sumie 160 tys. egzemplarzy, gigantyczny nakład. Z wielkich umów wydawcy z Makuszyńskim, które przetrwały wojnę, wynika, że za każdy tyś egzemplarzy komiksu Gebethner płacił pisarzowi 100 zł. Żadna umowa z Walentynowiczem, który nad każdym obrazkiem musiał pracować dłużej niż pisarz, nie zachowała się. Może dostaje więcej, ale jeśli nawet tyle samo co Makuszyński, jest to 16 tys. zł. (...)

Wśród badaczy trwa dyskusja, czy „Koziołek Matołek” to komiks, Krzysztof Teodor Toeplitz uważał, że nie, bo tekst Makuszyńskiego bez obrazków jest czytelny, a obrazki bez niego nie; bo postacie nie

mówią w dymkach, a słowa nawet nie znajdują się wewnątrz ramek z rysunkiem. Zdaniem Jerzego Szyłaka współczesny komiks wrócił do takiej samej formy jak „Koziołek Matołek”, a więc jest on komiksem. Dla pokoleń czytelników to dysputa bez znaczenia, bo przecież słownikowo matołek to mały, szpetny półgłówek, kretyn, tymczasem imię Koziołka Matołka noszą ulice, stoją jego pomniki, pisze się o nim prace, kręci filmy z capem w roli głównej. Raz nawet Matolek zostaje aresztowany przez cenzurę: Wojskowej Radzie Ocalań Narodowego (WRON) nie podoba się w czasie stanu wojennego rysunek z maszerującym Matolekiem w mundurze z bronią i przyglądającą mu się z drzewa wrona – pocztówka z rysunkiem z księgi drugiej znika z kiosków. Za to w 2005 r. Europejskie Centrum Bajek w Pacanowie imienia Koziołka Matołka otwiera sam minister kultury.

Fragment książki Marka Górlikowskiego *Ilustrator. Przygody ojca Koziołka Matołka tylko dla dorosłych*, Znak, Kraków 2025



Jonathan Kennedy

Konkwistadorzy nie byli pierwszymi Europejczykami, którzy postawili stopę na amerykańskiej ziemi, kilka stuleci wcześniej bowiem na zachodni brzeg Atlantyku przypłynęli żeglarze ze Skandynawii. W przeciwieństwie do Hiszpanów wikingowie nie szukali złota ani niewolników, ale ziemi do wypasu zwierząt, drewna do budowania i takich towarów jak kły morsa, które mogli sprzedawać w Europie. Według dwóch sag islandzkich napisanych w XIII w. Nowy Świat po raz pierwszy ukazał się oczom Europejczyków na przełomie mileniów, kiedy jeden ze statków zboczył z kursu w drodze z Islandii na Grenlandię – wtedy to na północno-zachodnim wybrzeżu Atlantyku zostały założone dwie skandynawskie kolonie. W kolejnych latach z Grenlandii wyruszyło kilka wypraw w celu zbadania wybrzeża nowo odkrytego lądu.

Z relacji wikińskich podróżników wynika, że kraina nazwana przez nich Winlandią, była przyjaznym miejscem do osiedlenia. Thorvald Eriksson, przywódca jednej z tych wypraw, oznajmił: „Jakże tu pięknie [...] W tym miejscu chciałbym wybudować dla siebie dom”. Jednak ten niedoszły kolonista zginął wkrótce ugodzony strzałą, kiedy wraz ze swoimi ludźmi został zaatakowany przez skrælingów, jak wikingowie nazywali zarówno Inuitów, jak i Indian północnoamerykańskich. Wkrótce do Winlandii przybył Thorfinn Karlsefni, wiodąc ze sobą grupę – w zależności od sagi – 60 lub 160 mężczyzn oraz pięciu kobiet, a także żywy inwentarz. Znaleźiska archeologiczne wskazują, że osiedlił się w L'Anse aux Meadows, na północnym krańcu Nowej Fundlandii. Ale wikingowie napotkali tak zaskakujący opór ze strony miejscowej ludności, że po kilku latach porzucili plany i wrócili na stosunkowo bezpieczną Grenlandię.

Skrælingowie żyli w małych wspólnotach, zajmowali się polowaniem na ssaki morskie i nie mogli przeciwstawić się najeźdźcom tak skuteczną obroną jak wielkie imperia Meksyków czy Inków. Dlaczego więc Cortés i Pizarro byli w stanie podbić olbrzymie obszary Ameryki Południowej i Środkowej, a Karlsefniemu i Erikssonowi pięć wieków wcześniej nie udało się skolonizować Ameryki Północnej? Odpowiedź na to pytanie nie kryje się jednak w zdolnościach militarnych czy państwowotwórczych. Pod pewnymi względami żeglarze ze średniowiecznej Skandynawii – znani pod różnymi

Zaraza konkwistadorów

Hiszpanie skolonizowali
większą część obu Ameryk,
ponieważ wspierały ich w tym
bakterie i wirusy



Obraz przedstawiający wstawiennictwo św. Sebastiana, do którego modlono się o ochronę przed zarazą.

► nazwami jako Normanowie, Rusowie, Waregowie i wikingowie – wydawali się o wiele lepiej predysponowani niż XVI-wieczni Hiszpanie do założenia kolonii w Ameryce.

Oczywiście budzili również powszechny lęk i taki ich wizerunek przetrwał do dziś. W komiksie „Astérix i Normanowie” jeden z wikingów przyznaje, że zabił 24 wrogów, ponieważ chciał „podać przyjacielowi w prezencie słubnym duży serwis czaszek [...], ale wszyscy

rdzenni Amerykanie. Istnieje proste epidemiologiczne wytłumaczenie tego faktu. Społeczności żyjące w odległych rejonach północnego Atlantyku były zbyt małe i na tyle odizolowane, że nie potrafiły sobie radzić z chorobami zakaźnymi w ten sam sposób, co mieszkańcy Europy kontynentalnej.

Wiele patogenów ze Starego Świata, np. ospa, w późnośredniowiecznej Hiszpanii miało charakter endemiczny. Nieustająco krążyły one

Paszę trzeba tam zebrać w trakcie krótkiego sezonu letniego, żeby móc nią nakarmić zwierzęta hodowlane w czasie długiej, mroźnej zimy. Ale gdy wybuchła zaraza, nie było komu zbierać plonów, więc do choroby doszła klęska głodu.

Islandia zdołała przetrwać, ale o wiele mniejsze i bardziej oddalone od siebie osady na Grenlandii około połowy XV w. przestały istnieć. Choć dowody na to są dość skąpe, do zniknięcia tamtejszych skandynawskich osadników najprawdopodobniej przyczyniły się właśnie choroby zakaźne. Około 1430 r. na Grenlandii pojawiła się ospa. Nie ma wprawdzie żadnych danych świadczących o wybuchu epidemii dżumy, ale nietrudno wyobrazić sobie, że wraz z dostawami zboża na statkach przybyły również zarażone nią szczury. Alfred Crosby wskazuje, że jeśli tak się stało, to „przyczyny gwałtownego upadku w XV stuleciu tej forpocztę staną się całkowicie jasne”. Wobec nieodwołalnego końca kolonii na Grenlandii i problemów, z jakimi borykali się na Islandii, wikingowie porzucili plany zasiedlenia Winlandii.

Ponad 500 lat po wikingach Europejczycy podjęli kolejną próbę osiedlenia się w Ameryce Północnej. W 1539 r. Hernando de Soto, jeden z podkomendnych Francisca Pizarra,

Jako pierwsza w 1241 r. Islandię zaatakowała ospa, uśmiercając około jednej trzeciej ludności.

znajomi wpadli na ten sam pomysł”. Wikingowie w przeciwieństwie do skrælingów dysponowali bronią ze stali. Słynęli również jako znakomici wojownicy, byli cenionymi najemnikami w całej Europie i tworzyli elitarną gwardię wareską strzegącą bizantyjskich cesarzy. Ponadto Skandynawowie okazali się niezwykle sprawnymi budowniczymi państw. W IX w. władca Rusów Ruryk został poproszony przez zwaśnione plemiona z północno-wschodniej Europy o objęcie nad nimi władzy, co zapoczątkowało dynastię, która przetrwała ponad 700 lat i dała nazwę Rosji. Mniej więcej w tym samym czasie Normanowie osiedlili się w północno-zachodniej Francji, skąd następnie podbili Wyspy Brytyjskie i Królestwo Sycylii obejmujące także obszary południowych Włoch i Afryki Północnej.

Hiszpanom udało się skolonizować większą część obu Ameryk, ponieważ wspierały ich w tym bakterie i wirusy, tymczasem wikingowie byli tej pomocy pozbawieni. Co więcej, ze względu na swój odosobniony tryb życia europejscy mieszkańcy Grenlandii i Islandii byli niemal tak samo narażeni na działanie patogenów ze Starego Świata jak

wśród ogromnej populacji Eurazji i Afryki, więc większość dzieci mających z nimi kontakt albo umierała, albo nabierała odporności. Ale te same choroby w koloniach na wyspach północnego Atlantyku co jakiś czas pojawiały się za sprawą statków przybywających z Danii i Norwegii, wybuchała epidemia, zarażali się wszyscy niemający odporności, po czym wygasała, gdy miejscowa ludność albo umierała, albo zyskiwała odporność. Wydaje się więc mało prawdopodobne, by garstka wikingów próbująca się osiedlić w Winlandii przyniosła ze sobą śmiertelne choroby zakaźne.

Społeczności w odległych rejonach północnego Atlantyku były na tyle odizolowane, że nie radziły sobie z chorobami zakaźnymi tak jak mieszkańcy Europy.

Powtarzające się epidemie stanowiły poważne ciosy dla społeczności, które i tak już miały kłopoty z przystosowaniem się do trudnych warunków małej epoki lodowej. Jako pierwsza w 1241 r. Islandię zaatakowała ospa, uśmiercając około jednej trzeciej ludności. Potem na początku XV stulecia – ponad 50 lat po pojawieniu się czarnej śmierci w kontynentalnej Europie – wybuchła tam epidemia dżumy, zabijając dwie trzecie mieszkańców. Bardzo wysoka liczba ofiar śmiertelnych to konsekwencja trudności, z jakimi wiąże się uprawa ziemi na dalekiej północy.

wyruszył na poszukiwanie kolejnych skarbów. Dzięki bogactwom, które zgromadził w Peru, zebrał prywatną armię składającą się z 600 żołnierzy, 200 koni oraz 300 świń i dotarł w pobliże zatoki Tampa na Florydzie. W ciągu kilku następnych lat wędrował po terenie obecnych południowo-wschodnich Stanów Zjednoczonych, docierając aż do Tennessee, a może nawet i Arkansas. Ekspedycja de Sota napotkała przedstawicieli kultury Missisipi, najbardziej ludnego i najlepiej zorganizowanego społeczeństwa prekolumbijskiego Ameryki Północnej.

W numerze 22. błędnie podaliśmy nazwisko Zofii Jurczak, autorki tekstu „Sztuka kąpiele”. Autorkę i Czytelników przepraszamy.

Alfred Crosby opisuje ten „godny podziwu” lud jako „krewniaków” Meksyków. Kolonizatorzy zaobserwowali, że zamieszkane przez nich obszary są gęsto zaludnione i pokrywają je rozległe pola uprawne z leżącymi między nimi dużymi osadami, w których na szczytach kopców ziemnych znajdują się świątynie. Jak dowiedzieli się jednak od miejscowych, dawniej żyło tu jeszcze więcej ludzi, ale rok lub dwa lata wcześniej doszło do wybuchu epidemii. W trakcie wędrówki oddział de Sota natknął się na kilka opuszczonych wiosek, a w chatkach na gnijące zwłoki ludzi zmarłych w wyniku zarazy. Podobnie więc jak w przypadku podboju imperium Inków, patogeny ze Starego Świata wyprzedziły samych Hiszpanów. Choroby zakaźne mogły tu dotrzeć drogą lądową z Ameryki Środkowej, przybyć z wcześniejszymi gośćmi z Europy albo zostać przywleczone przez plemię Calusa, które żyło na południowo-zachodnim wybrzeżu Florydy i na początku XVI w. docierało czółnami na Kubę, utrzymując z jej mieszkańcami kontakty handlowe.

Późną wiosną 1542 r. de Soto zmarł na żółtą febrę nad brzegami Missisipi. Źródła nie są zgodne, gdzie dokładnie to nastąpiło: czy na terenie Luizjany, czy Arkansas. Nie znalazłszy wielkich bogactw, pozostali członkowie wyprawy wrócili w końcu do Nowej Hiszpanii. Gdy pod koniec XVII w. obszary wokół rzeki Missisipi badali Francuzi, większość opisywanych przez de Sota dużych osad i ziem uprawnych zniknęła. Zadbane niegdyś pola kukurydzy przemierzały teraz bizona, a większość społeczności tubylczych wróciła do życia opartego częściowo na rolnictwie, a częściowo na zbieractwie. Kultura Missisipi, najbardziej rozwinięta cywilizacja Ameryki Północnej, która rozkwitała przez ponad 500 lat, po prostu przestała istnieć. Według najbardziej prawdopodobnego scenariusza jej ludność wyginęła za sprawą następujących po sobie fal chorób zakaźnych przyniesionych przez Europejczyków. Patogeny ze Starego Świata mogły przywlec niedoszli konkwistadorzy z ekspedycji de Sota, ale biorąc pod uwagę skalę spustoszeń, źródeł epidemii musiało

być więcej. Niewykluczone, że jednym z nich była angielska kolonia w Wirginii, pierwsza kolonia założona w 1607 r. na stałym lądzie Ameryki Północnej.

Europejskie osadnictwo w Ameryce Północnej kończyło się powodzeniem tylko wówczas, gdy kolonizatorom pomagały patogeny ze Starego Świata. W 1607 r. angielska firma handlowa próbowała na obszarze obecnego południowego Maine założyć kolonię Popham, ale po 14 miesiącach porzuciła to przedsięwzięcie, w dużej mierze z powodu oporu ze strony licznych, dobrze uzbrojonych tubylców. Mniej więcej

Podczas gdy wcześniejsze próby kolonizacji Nowej Anglii spotkały się z zaciekłym oporem rdzennej ludności, teraz pielgrzymi znajdowali opuszczone wioski i chaty pełne szkieletów. W jednej z takich porzuconych wiosek zbudowali zresztą swoją pierwszą osadę, a zimę przetrwali dzięki zbożu i fasoli pozostawionym przez tubylców, a nawet wykopując żywność wkładaną zmarłym do grobów. Edward Winslow, jeden z przywódców osadników, napisał, że „z pewnością opatrność to sprawiła, żeśmy znaleźli owo zboże, inaczej nie wiem, jak byśmy sobie poradzili”.

Wiele patogenów ze Starego Świata, np. ospa, w późnośredniowiecznej Hiszpanii miało charakter endemiczny.

w tym samym czasie Francuzi usiłowali założyć osadę w pobliżu dzisiejszego Chatham na Cape Cod, ale nie powiodło im się to z podobnych przyczyn co Anglikom. W końcu w 1620 r. niewielka grupka angielskich separatystów, którzy wcześniej przebywali na wygnaniu w holenderskiej Lejdzie, wylądowała na północnoamerykańskim brzegu i zdołała stworzyć pierwszą stałą osadę w Nowej Anglii.

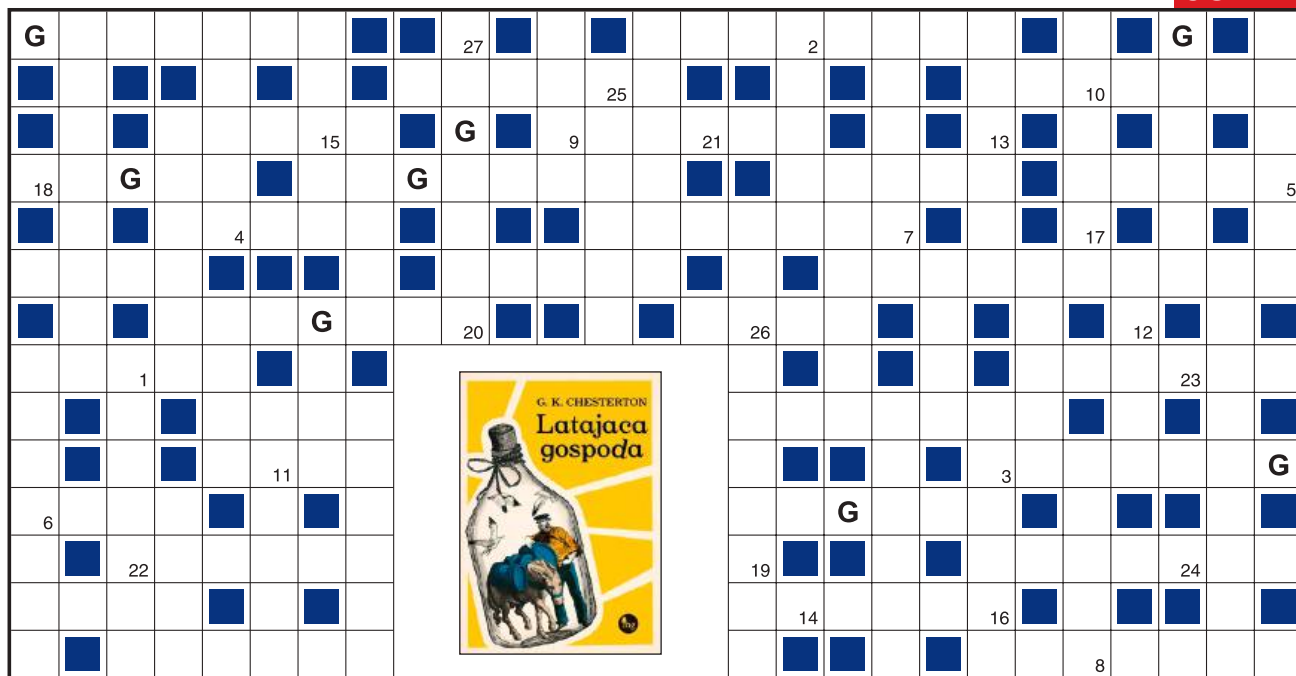
Dlaczego to właśnie tzw. pielgrzymom udało się ta sztuka? Wcale nie dlatego, że byli lepiej przygotowani czy bardziej liczni. Wynikało to raczej z tego, że pomiędzy 1616 a 1619 r. przez obszar położony nad Zatoką Massachusetts przeszła straszliwa epidemia, przyniesiona zapewne przez pływających po tamtych wodach europejskich rybaków lub kupców. Niektórzy uczeni uważają, że była to ospa, zdaniem innych – wirusowe zapalenie wątroby. Tak czy owak, szacuje się, że w wyniku epidemii zmarło 90% tamtejszej ludności. Gdyby współcześni Amerykanie chcieli zachować ścisłość historyczną, to w Święto Dziękczynienia powinni dziękować przede wszystkim patogenom ze Starego Świata, bo to dzięki nim udało się założyć kolonię Plymouth.

Pokazuje to, jak ogromną wiarę w siebie pokładali pielgrzymi, ale również jak niepewne było ich położenie podczas pierwszych kilku miesięcy pobytu w Nowym Świecie.

Spustoszenia, jakie przed 1620 r. epidemia uczyniła wśród rdzennej ludności, przysłużyły się kolonistom także w inny sposób: zachwiały równowagę sił pomiędzy rywalizującymi ze sobą plemionami indiańskimi. Szczególnie boleśnie dotknięci zarazą Wampanoagowie byli gotowi wejść w sojusz z Anglikami, aby wzmocnić swoją pozycję wobec konkurencyjnych ludów, z którymi epidemia obsesała się łagodniej. William Bradford, inny ważny przedstawiciel pielgrzymów, uważał Tisquantuma (zwanego również Squanto), Indianina uczącego osadników, jak przetrwać w nowych warunkach, za „specjalne narzędzie zesłane przez Boga”. W rzeczywistości Tisquantum skłaniał się do współpracy, ponieważ kilka lat wcześniej jego plemię zostało całkowicie unicestwione przez zarazę.



Fragmenty książki Jonathan Kennedy'ego *Patogeneza. Jak zarazki ukształtowały historię świata*, tłum. Mariusz Gądek, Filtry, Warszawa 2025



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery G ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 27 utworzą końcowe hasło.

- zacząć listu „cnym...”
- Cześnik nie chciał
- fragment tekstu od wcięcia
- każde z państw koalicji antyhitlerowskiej
- dodatkowe pismo lub kuchenny
- formularz do badania opinii

- punkt szczytowy, największe nasilenie
- neguje istnienie Boga
- dodatkowe mecze o awans do Ekstraklasy
- jej lotem – bardzo szybko
- coś pięknego, wypieszczonego
- Akihito lub Franciszek Józef I

- piernikowy ludzik ze „Shreka”
- prezydentka Sheinbaum lub modelka Schiffer
- zabawa taneczna w kawiarni, restauracji
- zasada postępowania, maksyma życiowa
- bałtycki nazywany pomuchłą
- morska ryba rażąca prądem
- imię reżysera Kazana
- o niespodziewanym powodzeniu
- ziemski albo Srebrny
- wykopany na plaży lub zapadła dziura
- ...z Lusignan, król Jeruzolimy
- wyszywanie wzorów
- swawole, igraszki
- chroni posła, sędziego
- ostrzegawczy sygnał samochodowy

- francuski trunek z gwiazdkami
- ojciec legendarnej Wandy
- melodia z zegara
- często na niej magnes
- do transmisji danych, przesyłania sygnału
- podłużny dekolot
- supermarket z PRL
- pobierane dawniej na rogatce
- przeciwieństwo szkolnego prymusa
- wałkoń, próżniak
- koło dla gimnastyczki
- chęć, pragnienie czegoś
- wtedy morze się cofa
- wstręt, obrzydzenie
- fajtlapa, niezłada
- niegdyś ozdobna zasłona
- czasem trzeba kogoś do niego postawić
- czasowe powstrzymanie się od jedzenia
- nawąchał się go doświadczony żołnierz
- blok z otworami używany do budowy

- gdy karany popełnia znow przestępstwo
- wąski, długi, głęboki rów tektoniczny
- odgłos uderzenia młotkiem
- dźwięk strumyka, przyciszonych rozmów
- wstrząs psychiczny
- zakazany temat
- nad nią Oksford
- ...wenecka uprawiana na włókno
- wombat, kangur lub diabeł tasmański
- wystawne przyjęcie, biesiada
- kompozytor „Tannhäusera”
- odgłos pracy silnika
- występ, wyrostek, nibynóżka
- młody lasek
- najmniejsza część drużyny harcerskiej
- zlepek dźwięków, słów, pojęć

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1224”. Do rozlosowania książki „Latająca gospoda” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 8 czerwca 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1221” z nr. 20: *Zły dobrego nie pogłaszcze.*
Nagrody otrzymują: Zenon Lewiński z Dębina, Barbara Rosińska z Krakowa, Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

Polacy poza Polską

Dużo teraz się mówi o Polakach głoszących za granicą, o tych 695 tys. mieszkających, pracujących bądź uczących się poza Polską. My zastanówmy się nad tymi, którzy mają Kartę Polaka albo chcą się repatriować do kraju przodków.

Karta Polaka funkcjonuje od roku 2008, była adresowana głównie do rodaków żyjących na terenach dawnego ZSRR, miała im ułatwić przyjazd do Polski, naukę, pracę. Po 17 latach jej obowiązywania konsulowie mają już na tę sprawę wyrobiony pogląd.

Po pierwsze, krąg osób, dla których karta została stworzona, zmniejsza się. A zainteresowani nią coraz częściej słabo identyfikują się z polskością – znajomość języka i zwyczajów przodków jest u nich niewielka. Jak więc ich kwalifikować? To trudne. Po drugie, karta jest wygodnym dokumentem dla osób krążących między Polską a Ukrainą, Rosją, Białorusią, Kazachstanem... Takich, które chcą w Polsce pracować albo prowadzić działalność gospodarczą. Stała się więc bardzo atrakcyjna. Konsulowie zwracają zaś uwagę, że coraz częściej we wnioskach o Kartę Polaka przedkładane są fałszywe dokumenty. I to jak sfalszowane! Otóż są preparowane na oryginalnych drukach z czasów ZSRR i na maszynach z tamtego czasu. Wszystko w nich się zgadza. Z wyjątkiem jednego – taki dokument nie istniał w czasach ZSRR albo carskiej Rosji – został stworzony teraz. Ale jak to sprawdzić? Zwłaszcza gdy kontakty z władzami danego kraju, np. Federacji Rosyjskiej, są ograniczone? Nasze służby weryfikują zatem te dokumenty i wyłapują fałszywki.

Jest jeszcze jeden ważny element. Od wybuchu wojny w Ukrainie mamy więcej odmów przyznania

Karty Polaka, także ze względu na sprzeciw ABW. Spójrzmy jeszcze na proporcje. W 2024 r. wydano 18,6 tys. Kart Polaka. Odmów było 426. Karta wydawana jest na 10 lat. Konsul może jej nie przedłużyć. Może też ją unieważnić. Od 2008 r. unieważniono 1830 Kart Polaka. Z rozmaitych przyczyn, np. gdy stwierdzono fałszerstwo dokumentów albo gdy osoba posiadająca kartę dopuściła się zachowania uwłaczającego Rzeczypospolitej.

Na marginesie warto dorzucić kilka zdań o repatriantach. To też był program dotyczący byłego ZSRR. O tyle dla nas trudny, że repatriant po przekroczeniu granicy Rzeczypospolitej z automatu zostawał obywatelem Polski. Program repatriacji ma jednak niezbyt szeroki zakres. W 2023 r. konsulowie przyjęli 404 wnioski o wydanie wizy repatriacyjnej. W 2024 r. – 533. Prawie dwie trzecie repatriantów stanowią osoby przyjeżdżające z Kazachstanu, jedną trzecią – z Rosji. Inne kraje to margines.

Funkcjonowanie programu jest ograniczone zarówno biurokracją (załatwianie repatriacji, weryfikacja dokumentów, czekanie w kolejce – to zabiera wiele lat), jak i możliwościami finansowymi Polski. Repatrianci przechodzą przez ośrodki adaptacyjne, w Pułtusk lub Środzie Wielkopolskiej, gdzie uczą się polskiego, i otrzymują pieniądze na zagospodarowanie. Większość, ok. 80%, traktuje Polskę jako kraj docelowy. Tu zostają, zapuszczają korzenie. Niewielka grupa wyjeżdża dalej, niektórzy wracają.

W sumie – szlachetna inicjatywa, ale w skali państwa to margines.

Attaché

Prezydent Francji Emmanuel Macron i sekretarz generalny Wietnamu Tô Lâm podczas uroczystości w Świątyni Literatury w Hanoi, 26 maja 2025 r.





PENETRACJE

press

MAREK WAŁKUSKI, OD ROKU 2002 KORESPONDENT POLSKIEGO RADIA W WASHINGTONIE

Mam poczucie, że to atrakcyjne zawodowo dla mnie i cenne dla Polskiego Radia, Polski i naszego regionu. Pamiętam, jak kiedyś, gdy chcieliśmy mieć stanowisko Białego Domu w sprawach dotyczących Polski, wysyłało się mejl do Departamentu Stanu i odpowiedź przychodziła albo nie, a jeśli już, była to zwykle zdawkowa formułka dyplomatyczna. Teraz mogę zapytać samego prezydenta USA. Dzięki obecności w ścisłym korpusie Białego Domu mogę stawiać na porządku dziennym sprawy dotyczące Polski, naszego regionu czy Ukrainy. I to w rozmowach z najwyższymi urzędnikami w USA. Awantura w Gabinetie Ovalnym uświadomiła mi, że jestem nie tylko obserwatorem, ale również uczestnikiem historycznych wydarzeń. Choć przyznam, że Ameryka staje się krajem, który coraz mniej mi się podoba. Napisałem książkę o 50 rzeczach, które lubię w Ameryce. A kiedy patrzę dzisiaj – nie tylko na politykę zagraniczną administracji Trumpa, ale także na to, co się dzieje w samym kraju, w mediach, na uniwersytetach – to widzę, że wiele rzeczy, które tu ceniłem i lubiłem, po prostu odchodzi.

ANGORA

MARCIN PALADE,
ANALITYK

Na jaki wynik mogą liczyć dwaj główni kandydaci?

– 51% dla Nawrockiego, 49% dla Trzaskowskiego. Nawrocki może liczyć na 65-70% głosów wyborców Mentzena. Porównywalną liczbę wyborców Brauna. Nawrocki może też liczyć na niemal 100% wyborców Jakubiaka, 10-15% wyborców Hołowni, 10% Biejat, 10-20% Zandberga. Trzaskowski może liczyć na 12-15% głosów wyborców Mentzena, 75% Hołowni, ok. 85% Biejat, zapewne na 70% wyborców Zandberga i tak jak w przypadku Biejat – 85% głosów Senyszyn.

Twój STYL

JACEK CYGAN, AUTOR TEKSTÓW PIOSENEK, POETA, PROZAİK, SCENARZYSTA

Na rzymskiej Piazza Farnese mieliśmy przez lata ulubioną restaurację Ar Galletto. Wąsaty szef Giovanni to nasza miłość od pierwszego wejrzenia, odwiedzaliśmy go potem co roku. Kiedy za pierwszym razem wpatrywaliśmy się w kartę dań, nie rozumiejąc połowy nazw, zarządził: „Ja wam wybiorę”. I wskazał rigatoni con pajata, czyli z podrobami. Rigatoni to makaron z prążkami. „A wiecie, po co te prążki? Żeby się sos utrzymywał”, wyjaśniał. „Wino? Tylko nasze, miejscowe, cesanese – szczerp z Lacjum. Mój dziadek to pił. I pradziadek też!”. Kiedy kolejny raz wybraliśmy się do Ar Galletto z przyjaciółmi, chciałem sam nalać nam grappę. A Giovanni mówi: „Dam ci całą butelkę, ale musisz mi zapłacić za nią 1 centa, a potem zaserwować wszystkim gościom w lokalu”. Ubrał mnie w firmowy fartuch i rozlewałem! A kiedy szedł na emeryturę, dałem mu jego zdjęcie zrobione przeze mnie, powiększone, w ramce, z małą fotografią Ewy i moją w rogu. Był wzruszony, powiesił w restauracji.

zwierciadło

JULIA PIETRUCHA,
AKTORKA, WOKALISTKA

Ja nie wiem, czym jest wolność w obecnych czasach. Jak ją definiować. Mam wrażenie, że żyjemy jednocześnie w ogromnej pruderii i w świecie, który widział i słyszał już wszystko. Bardzo mi się pod tym względem podobały lata 20. ubiegłego wieku. Mam wrażenie, że Warszawa tamtych lat to był egzotyczny świat wysokiej kultury i poszanowania manier w połączeniu z otwartością i rozpustą, która mogłaby zawstydzić dziś niejednego. Moim zdaniem wszystkie mity i postawy mogą funkcjonować w społeczeństwie, pytanie, jak bardzo pozwalamy, by na nas wpływały.

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – myśl, której autorką jest Zofia Kossak-Szczucka.



DO TEGO, BY DOBRZE SIĘ NAM DZIAŁO, POTRZEBNE SĄ MŁODE RĘCE I STARA GŁOWA.



Aby język giętki...

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO O ZADŁUŻENIU POLSKI

Musimy pożyczyć ponad 500 mld zł, by na bieżąco płacić odsetki od rosnącego zadłużenia, i zaciągać nowe pożyczki, aby spłacać stare.

KS. ADAM BONIECKI O KAROLU NAWROCKIM

Wiadomo, że jest człowiekiem słabego charakteru, ale lubiącym uciekać się do siły.

MAREK KONDRAT O POLITYKACH

Widzę ludzi, którzy wybierają politykę jako zawód dający im szansę na karierę. Kiedyś myślałem, że to tylko idee. Wyzwolilem się już z takich naiwnych myśli.

PROF. JAN ZIELONKA O KRZYSZCIE DEMOKRACJI

Nie jest w stanie ogarnąć czasu i przestrzeni, które uległy zmianie pod wpływem internetu. Traci więc sprawczość we wszystkich sferach naszego życia.

PROF. MAGDALENA ŚRODA O KRZYSZTOFIE STANOWSKIM

Cynik oberwał porządnie. Błazen został jednak potraktowany jak błazen.

KAROLINA SZOSTAK O SOBIE

Zawsze byłam komplementowana i nadal tak jest. Fakt, że przytyję, niczego nie ujemie mojej inteligencji. Gruby schudnie, a głupi nie zmądrzeje.

AGATA KULESZA O MARCINIE DOROCIŃSKIM

Jest niezwykle pracowity i pięknie potrafi cieszyć się ze swojej kariery.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarze redakcji:

Agata Gogółkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,

Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,

Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Jan Ordyrński, Jacek Palkiewicz, Rafał Piłkuła,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszc, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Idąc na Czarodziejską Górę



Julita Malinowska (ur. w 1979 r. w Otwocku), doktor sztuki, absolwentka ASP w Krakowie, studiowała także na UMCS i na Uniwersytecie w Wolverhampton w Wielkiej Brytanii; mieszka i pracuje w Warszawie. Jej malarstwo wpisuje się w zauważalny od kilku lat na świecie nurt powrotu do sztuki figuratywnej. To wielowątkowe historie tworzące spójną kompozycję, którą można interpretować na różnych poziomach. Zafascynowana twórczością Davida Hockneya także pokazuje umowne, syntetyczne tło, a kobiety i mężczyźni są u niej pewnymi figurami, typami postaci. Podobnie jak Hans Castorp z powieści Thomasa Manna „wytrącona chorobą ze schematycznej codzienności (...) podejmowałam refleksję nad życiem, jego celem i sensem – pisze. – Choroba na nowo wyznacza granice ciała, a świadomość tego pozwoli wypełnia przestrzeń wewnątrz nas i bywa, że niesiemy ją w sobie, jak udzielne księstwo, przez resztę życia”.



BWA Jelenia Góra
ul. Długa 1
do 7 lipca



INTRYGUJĄCA HISTORIA, NIESPODZIEWANE ZWROTY AKCJI,
CZARNY HUMOR I SZOKUJĄCY FINAŁ



PUNKTY ZWROTNE

Reżyseria DAVID MARQUÉS

DIEGO
PERETTI

JOSÉ
CORONADO

CECILIA
SUÁREZ

GEORGINA
AMORÓS

W KINACH OD 6 CZERWCA



powszechny

Teatr, który się wtrąca

Adamczyk
Bendyk
Czachor
Duszyński
Fiedorczuk
Ilczuk
Lange
Met
Nieżgoda
Paradowski
Robaszkiewicz
Rucińska
Ryfa Ri
Sikora
Smolar
Stoczyński
Świeżewski

Kobieta samotna

spektakl inspirowany scenariuszem
Agnieszki Holland i Macieja Karpińskiego

**premiera
warszawska
14.06.2025
premiera
poznańska
Malta Festival
28.06.2025**



homework: Córka, Skakun